S

Franciscan Fathers, Inner Quadrangle

ELLICOTT CITY, MARYLAND

Franciscan Fathers, Minor Conventuals

ELLICOTT CITY, MARYLAND

CZŁOWIEK BEZ PRZESZŁOŚCI

MIECZYSŁAW SMOLARSKI

CZŁOWIEK BEZ PRZESZŁOŚCI

POWIEŚĆ

Franciscan Fathers, Oliver Conventuals

ELLICOTT CITY, MARYLAND

SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA I. RZEPECKIEGO
1922

Drukarnia „Rotacyjna", Marszałkowska 148.

I.

— Panie! proszę uważać!

Piotr Czarski drgnął i doznał dziwnego wrażenia. Rozsunęły się oto nagle kotary, zasłaniające od pewnego czasu świat jego świadomości i spojrzał, jakby zbudzony nagle z długiego snu, w ów barwny i wirujący krąg, jaki roztaczało przed nim życie wielkomiejskie.

Pozwolił wymijać się przechodniowi, a potem mimowolnym ruchem przesunął ręką po czole, jakby chcąc zdjąć z myśli ciężar ostatni, ale pojął rychło, iż widział wszystko, chociaż nic prawie nie pamiętał.

Skąd on tutaj? Gdzie jest? Co porabia? Zdawało mu się, iż zna miasto to i ulicę, ale musiał dawno w niem nie być i nie wczoraj je opuścić. Jak daleki szmer odbiegłej fali zadźwięczało mu w uszach własne jego imię i nazwisko, jak coś obcego prawie, zatrzymanego w umyśle przez częste powtarzanie mechaniczne, a pozatem—pustka świadomość podróży i niezwykłych, jakby chorobliwych widziadeł, wspomnienie nocy bezmiernej wśród zjaw to straszliwych, to znowu przedziwnie słodkich, a potem szarugi bezdennej, coś przerwanego przez wstrząs fizyczny, straconego bezpowrotnie.

Zrodziła się w nim nagle trwoga o spokój wracającej myśli, lęk przed tłumem, przerażenie na widok ruchu ulicznego. Wcisnął się w kąt pod wystawą sklepową, nie wiedząc, gdzie obrócić się i pójść, samotny, ach! jak samotny!

Czy było tak zawsze? Kim jest? Jak wygląda? Gdzie ma krewnych, znajomych, ów cały świat bliskich, który otacza jednostkę społeczną? Czem zajmuje się, skąd wyszedł i dlaczego tu właśnie znalazł się w chwili ocknięcia? Czuł się młodym i zdaje się, iż młodym był wczoraj.

Mimowoli oczy jego zwróciły się ku framudze wystawy, ozdobionej długiem, wąskiem lustrem czworokątnem. Zniszczone zwierciadło odbijało już tylko zarysy niewyraźne. Czarski z trwogą prawie skierował ku niemu twarz. I oto ujrzał ją o oczach głębokich, czarnych, ustach wysuniętych nieco i zmysłowych, a o skroniach lekko zapadłych, a przyprószonych siwizną...

Nie! nie pamięta siebie. Albo odmiennym był wówczas, gdy po raz ostatni patrzył się w zwierciadło, albo nie znał siebie nigdy... Jedynie w oczach dostrzegał jakiś nieobcy sobie zarys i błysk, które łączyły go i własną jego dawną duszę i osądził wreszcie, iż nie widział siebie dawno, że twarz ma młodą, ale przez przyprószenie srebrem włosów bardzo się zestarzał.

Radość jednak z odzyskanej świadomości ożywiła go znowu. Opuścił framugę wystawy i szedł dalej, bawiąc się widokiem obcych ludzi. Sprawdził, iż jest takim, jak oni, nie lękał się już więcej, ale witał z uśmiechem muzykę ulicy, turkot pojazdów. Potrącano go, a on szedł pochylony nieco i bardzo blady, nieświadomie i niewprawnie laską znacząc sobie wprzódy drogę, gdyż myśl jego nie oswoiła się jeszcze z otaczającym światem, pracowała silnie, zatrzymywała się

chwilami i nie nadążała za szybkim, błyskawicznym tokiem wrażeń.

Mało zwracano uwagi na samotnego przechodnia. Zbyt daleki był od ludzi przeżyciami swemi, by zadzęli się nim zajmować. Szedł długo i powoli, aż usiadł na ławce przy przystanku tramwajowym w cieniu drzew. Jakaś starsza kobieta podeszła doń i zaczepiła go jękliwym, przeciągającym głosem.

— Jestem biedna... nie mam na chleb... proszę łaski pana...

W zamyśleniu wyjął portfel... Zwrócił dopiero wówczas uwagę i przeraził się, widząc, jak mało posiada pieniędzy. Złożył jednak datek w chudą i pomarszczoną dłoń kobiety, a sam drżącemi rękami szukał, czy nie znajdzie jakiejś kartki, zapisku... Lecz nie było tam nic... ani śladu adresu, zajęcia ni zawodu.

Pustka wszędzie, jakaś straszliwa w tej chwili! Jakiś brak w pamięci i poczucie, iż łatwej mogłoby wrócić wspomnienie z dawnych lat, niż z tych chwil czy miesięcy niedawnych i najbliższych. Szalony mrok, gdziekolwiek obrócić się... Z własnego ubrania i wyglądu nie mógł sam określić „czy należał do ludzi zamożnych, do tych, którym „dzieje się dobrze," czy był „czemś," czy coś znaczył? Stał się teraz własnym cieniem... Imię tylko i nazwisko.

Zmierzch już zapadał. Od przypylonych kurzem drzew wionęła świeża woń ogrodu. Aleje wypełniały się. Czarski dawno nie siedział już sam na ławce. O jego ramię oparło się nagle ciało jakiejś dziewczyny. Wzdrygnął się... To dotknięcie obudziło w nim przykry dreszcz, coś bolesnego i dręczącego zarazem. Nieuchwytny cień kobiety przesunął się przez jego myśli. Nie rozu-

miał przyczyny, ale cierpiał. Ach, jakże cierpiał! Stoczył się znowu w przepaść bezświadomości.

Nie był to jednak sen, ale omdlenie ducha. Gdy obudził się znowu, panował już mrok, rozświetlony przez lampy elektryczne. Ruch wokół jeszcze był żywy, ale cienistość alei i nieprzejrzystość mocy koiła zbyt ostre zarysy zjawisk lekką mgłą tajemnicy. Od parków płynął powiew świeży. Czarski zaczerpnął go i pił z rozkoszą. Postanowił iść dalej. Świadom był, iż w życiu jego zmieniło się coś, że musi wykreślić z niego to, co każdy człowiek zapisuje sam na noszonej z sobą karcie. Był człowiekiem—bez przeszłości.

Czy chorował? Chyba tak... Musiał przechodzić jakąś mózgową chorobę. Świadom był braku swego, rozumiał, iż musi go ukryć. Żywił w sobie nieokreślony lęk, iż uważać będą go za obłąkanego. A jednak chyba nie... Umysł jego pełen już był jasnej świadomości, bystrzejszej może, niż u otaczających go. Jak gleba pożoga dotknięta chwyta chciwie krople deszczu, tak on z podwójną siłą poddawał się wrażeniom, które mogły uświadomić go—coś nie z przeżyć bodaj już, ale z doświadczenia przypomnieć. Wyzbył się też już wszelkiego znużenia, czuł się rzeźki, silny, poczuł nawet głód.

Spostrzegł z przerażeniem, iż portfel wyciągnięto mu widocznie podczas snu. W kieszeni od kamizelki znalazł drobny zwitek pieniędzy, który wcisnął tam, dając jałmużnę żebraczce. Głód nalegał, więc wstał i udał się do jednego z ogrodów, które wołały muzyką pod cienie schnących drzew. Na białej trybunie, w drewnianem wgłębieniu półowalnem grała wojskowa orkiestra. Przeważna część stolików była już zajęta. Przy jednym z nich zauważył kilka kobiet w towarzy-

stwie wojskowych. Jedna z nich, odwrócona od niego, przystrojona była w suknię bladoniebieską, odsłaniającą część białych pleców i ramiona. Nagle z piersi wydarł mu się straszny krzyk. Bez namysłu rzucił się ku niej i zawołał:

— Ty tutaj? Jak mogłaś to uczynić!

Wątła i smutna twarzyczka o bladobłękitnych oczach zwróciła się ku niemu z przerażeniem:

— Kto pan jesteś? Nie znam pana...

Omylił się. Zrozumiał to w tej chwili. Musiał czuwać nad każdym krokiem, nie dać uwieść się żadnej ułudzie, co zdawała się wieść go do przeszłości. Zajście zwróciło już wokół uwagę. Ale on przesunął z zakłopotaniem ręką po czole i wytłomaczył się pokornym głosem, nie dozwalającym na żaden protest:

— Wybaczcie państwo. Złudziło mnie podobieństwo.. Sam nie wiem, czego szukam... Jestem znużony, bardzo znużony...

Nie tłomaczył więcej tych zagadkowych słów.

Wówczas ta sama młoda panna, która zadrżała przedtem słysząc, jak odezwał się do niej niespodzianie a brutalnie, poruszona naraz kobiecą tkliwością, rzekła doń:

— Niech pan siadzie przy nas... Nogi chwieją się pod panem. Zresztą—zamyśliła się—musiałam gdzieś widzieć pana... Ale nie w życiu...

— Nie w tem życiu?—spytał.

— Ach nie! Ale w pismach lub na fotografji... Może zresztą i spotkałam pana. Ale było to już dawno...

Nie odpowiedział; milczał. Uchylił kapelusza i odszedł śpiesznie w drugi kąt ogrodu. Zasiadł przy stoliku i zapominając o zamówionym przez siebie posiłku, zasłuchał się w muzyce.

Płynęła ona, hałaśliwa nieco i odbijała się od owalnego, białego wgłębienia za estradą. Zdawała się przemykać przez gałęzie drzew, czepiać się liści, a potem na oczy rzucać kwiaty wiosenne. Czarski słuchał jej z nieznaną rozkoszą, pił ją całą świeżością i bezpośredniością wrażeń. Co grano, nie wiedział, nie pamiętał, ale przed oczami jego przesuwał się świat w dekoracji teatralnej, dwoje kochanków, kościół... Wrażenia te poczęły już skupiać się w jakąś nową myśl twórczą, ale naznaczoną piętnem niemocy, a bolesną wkońcu przez swoją bezsilność.

Świadomie oderwał się od dźwięku, opanował siebie, zobojętniał, spożył posiłek, poczem gnany dziwnym niepokojem, porzucił miejsce i znalazł się znów na ulicy. Chodził długo... Nie miał przy sobie żadnych dowodów osobistych, nic już prawie pieniędzy, lękał się wejść do hotelu, chciał przytem spędzić noc, mając obok jakichś życzliwych ludzi. Gdzie szukać ich? Zobaczył światło w pokojach, na parterze jednego z domów, które wtuliły się w drzewa alei. Dostrzegł przez otwarte okno siwego pana, piszącego przy biurku i dziewczę może siedemnastoletnie, pochylone nad książką. Zauważył długi, ciemny warkocz ozdobiony u góry motylem z jedwabnej wstążki. Ludzie ci wydali mu się dziwnie cisi, zaufania godni.

Otwarł żelazną furtkę od ogrodu, stanął pod drzwiami na parterze i zadzwonił.

Z bijącem sercem czekał.

Czekał dość długo. Wołano kogoś, szukano. Po chwili poczuł na sobie wzrok. Ktoś patrzył nań, odsłoniwszy zwewnątrz małe, obwiedzione metalem okienko.

— Kto tam?

Wówczas nieznajomy dziwnym głosem,

świadom śmieszności, szaleństwa prawie tego, co czyni, poszukał natunku w tem jedném, co ocaliło z jego przeszłości i odparł:

— Jestem Piotr Czarski. Przyjechałem zdaleka. Proszę o nocleg.

II.

Kilka osób wracało późnym wieczorem przez ulice miasta. Towarzystwo było dość liczne, rozbiło się zatem na drobniejsze grupki i na przedzie szła panna w bladoniebieskiej sukni, rozmawiając żywo z idącym obok niej wojskowym.

Było już dosyć późno i minęła godzina lub dwie od pory, gdy to wesołe i zżyte z sobą kółko opuściło stolik w ogrodowej kawiarni. Zapomnieli już wszyscy o dziwacznym nieznajomym, którego pojawienie się spłoszyło na chwilę spokój, spędzonego przez nich beztroskiego wieczoru.

Podążali znowu przez aleje, gdy naraz panna pochwyciła dłoń towarzysza i szepnęła nerwowo:

— On tutaj! Ten sam, który rozmawiał dzisiaj z nami.

Na tle odsłoniętego jeszcze a jasno oświetlonego okna, rysowały się postacie trojga ludzi, starca, nieznajomego mężczyzny i dziewczyny. Zdawali się siedzieć w zamyśleniu i skupieniu.

— Pani go zna?—zawołał, tłumiąc wzburzenie, wojskowy.

— Ach!—odpowiedziała panna, śmiejąc się sucho.—Widzę, że muszę zaspokoić pańską ciekawość. Czyż nie widział pan jednak, iż to był człowiek szalony?!

— Kto to jest? Pragnę raz dowiedzieć się..

— I nie dowie się pan... To, co myślę, nie jest mniej szaleńcem od postępku tego nieznajomego. Nie mogę zresztą ręczyć za swoją pamięć. Nie mogę przypuszczać rzeczy niepraw dopodobnych. Inaczej wyglądała ta twarz, gdy widziałam ją po raz ostatni. Zmieniła się.. Minęło od owej pory cztery lub pięć lat! Jakżeż łatwo mi dzisiaj omylić się. Podejrzenia moje zresztą są bezzasadne, niemal niemożliwe... Czy wyobraża pan sobie, iż ktoś zdołałby dziś na pięć lat zniknąć bez śladu, wywołać tem ogromne wrażenie, utaić się przed ciekawością ludzką, umrzeć, a potem—zmartwychwstawać? Zresztą, jeżeli niemylę się, to dowiemy się wkrótce z pism. W każdym razie niezwykły to człowiek... Co przeszedł, że tak się zmienił?...

— Ale kto on? Panno Stefo! Niech mi pani powie kto?

— Przysięgam, iż w życiu mem nie odegrał żadnej roli i nie znałam go nawet osobiście. Przez krótką chwilę patrzyłam na jego istnienie z daleka, obca, związana z niem tylko przez jego znajomych. Tu zresztą nie jest najważniejszem to, czy ja go znałam... W istocie całkiem nie o to chodzi. Cała waga zagadnienia leży w tem, czy to on jest, o którym myślę, czy to on wrócił z drugiego świata?

— I kto to jest?

— Może dowiemy się jutro... Proszę mnie nie badać, gdyż—wszak pan wie—my, kobiety, ulegamy nieraz urojeniom. Zainteresował mnie poprostu ów nieznajomy, a gdy zbliżył się do mnie, przejął mnie współczuciem bolesny wyraz jego twarzy. Wyobrażałam sobie, iż wiem dlaczego on cierpi, iż wiem nawet, dlaczego pomylił się, podchodząc do mnie. Ale to są wszystko rzeczy

bez znaczenia. Jest godzina późna, czuję się znużoną i w tej chwili mogłabym uwierzyć nawet w tajemniczą zjawę. Zresztą myśl ta męczy mnie...

— Czy to był człowiek obłąkany?

— Tak, to chyba był człowiek obłąkany. Pójdźmy dalej!

III.

Tajemniczy nieznajomy dumał długo. Nie rozbierał się, gdyż sen nie schodził mu na powieki, a wyobraźnia jego pracowała ciągle silnie, podniecona nadmiarem wrażeń.

Przeważnie krążył po pokoju. Siadał niekiedy znużony na fotelu, ale wkrótce zrywał się, nie mogąc wytrwać na miejscu, ożywiony jakiemś zagadnieniem, poruszany ciągłym przelotem myśli.

— A zatem ten człowiek, który przyjął mnie tak gościnnie, nazywa się Raul, Raul Adamiecki. Zapomniałem wszystkich, dotyczących mnie szczegółów, pamiętam jednak, iż istnieli kiedyś tacy Raullowie, młodzi, dzielni i piękni. Dobrze jeździli konno, szukali przygód, podobali się kobietom i czyny ich stawały się tematem do powieści. Ten przeżył swój świat, ma dziwaczne dzisiaj imię, jednak w rysach twarzy i ruchach jego pozostała jakaś szlachetność. Ale panienka-wnuczka nosi na imię Lucy, nazywa się już całkiem nowocześnie. Przyjęli mię odrazu jakby należącego do rodziny. Nie pytali o nic, choć zdawało się mi niekiedy, że spoczywa na mnie ich wzrok badawczy. Zdaje się, że słyszeli coś o mnie, ale musieli stracić mój ślad od lat.

Ja jednak nie znam ich. Czuję, iż jeślibym

znalazł się w podobnym splocie wrażeń, jaki przeżyłem w przeszłości, widmo jej mogłoby do mnie wrócić. Co znaczyła ta kobieta jasnowłosa, do której zwróciłem się w ogrodzie? Czy przeżyłem kiedyś coś podobnego?

Wybiła godzina trzecia, a człowiek bez przeszłości chodził jeszcze po pokoju. Zaraz po wejściu tutaj zgasił światło, gdyż przeszkadzało jego rozmyślaniom. Chodził przy nikłym blasku księżyca, który sączył się przez okno. Krążył trawiony gorączką bezsenności, uderzając się od czasu do czasu o sprzęty, nieruchomiejąc potem, gdy głośniejsze stuknięcie rozległo się wśród ciszy, lękał się bowiem, iż kogo hałasem tym obudził.

Spokój jednak panował w całym domu. Zegar tylko tykał nieustannie. W ciemności poczynały snuć się jakieś widma. Zdawało się, iż wystarczy zawołać je, a ożywią się krwią i ciałem, ale wołane straciły w tej chwili zarysy i przepadały w nieskończoność. Pozostawał jedynie bezowocny, nużący trud mózgu, walka ze zmorą, zawisanie nad przepaścią.

Nieznajomy zapalił wreszcie światło, stanął przypadkowo znów przed dużem zwierciadłem i ujrzał całą swoją postać. Zwróciła jego uwagę wielka, smutna zmarszczka na czole. Nie wyrzeźbił jej sam wiek... W tej jednej zmarszcze głębokiej i silnie narysowanej taiło się może jakieś gwałtowne przejście, jakaś tragedja, coś strasznego, co ludziom zwykle łamie życie.

A jednak w przejściu tem była widocznie jakaś własna, nieznana światu, ponura tajemnica. Czytał to we wzroku ludzi, którzy go przyjęli... Znali część tylko, nie wiedzieli wszystkiego. Gdyby wiedzieli o wszystkiem, może nie otwarliby przed nim wrót swego mieszkania,

gdyby znali to, co on czuł tylko, byliby szybko zamknęli przed nim drzwi na łańcuch lub odesłali go do domu obłąkanych.

Czy w bruździe na czole leży wspomnienie nieszczęścia tylko, ciężkich przejść czy potwornej winy? Czy ulega on majakom ledwo rozbudzonego umysłu? Co było od owej chwili gdy zasnął, do pory, kiedy się przebudził? Co znaczą te zniszczone ręce człowieka ciężkiej fizycznej pracy, które ukrywać począł, gdy je spostrzegł. Skąd w północnie jeszcze przywędrował, kim był dawniej, skąd znalazł się w tem mieście?

Odszedł od lustra i skierował się ku posłaniu. Na stoliku zobaczył książkę otwartą. Zostawiono mu ją, by ją czytał, czy też chciano dać dowód uprzejmej pamięci. Odwrócił pierwszą kartę... Fotografja... Nie myli się... To on! on sam młodszy może o dziesięć lat. Włosy bujne, oczy patrzą z młodzieńczą żywością w świat... Tytuł: „Oceanidy", a nazwisko—Piotr Czarski!

Książka czytana widocznie wielokrotnie. Nieco zniszczona już... Karty niektóre założone. Na końcu spis całego szeregu dzieł innych, wydanie piąte i dziesiąte. Książka przyniszczona już, ale ogłoszona jako powtórzenie dawnej, pojawiła się znać, gdy on już—nie istniał.

Świadczyły o tem daty, dwie przy jego nazwisku. Dwie grupy cyfr, z których zamyka się życie ludzkie.

A jednak śmierć jego nie musiała być pewna, skoro przywitano go ze zdziwieniem, ale nie cofnięto się przed nim jak przed upiorem. Musiał zniknąć niespodziewanie, musiał z życia wycofać się bez śladu.

Czarski nie czuje się już na siłach, by trwać dłużej w mroku zagadki. Otwiera drzwi i wchodzi do drugiego pokoju. Burzy się w nim krew,

jest podniecony. Obudzi z niemacka swego gospodarza i zmusi go do odpowiedzi. Lub nie... zwróci się doń jak człowiek do człowieka i powie mu: Zlituj się i powiedz, kto jestem? Co stało się ze mną, że uważaliście mnie za umarłego?... Dlaczego odszedłem z pośród nas... Mów mi, gdyż o sobie nie wiem nic!

Chce już wejść, ale zatrzymuje się, gdyż słyszy równy, lekki oddech. Nie lękano się go snać, gdyż drzwi stąd i do następnego pokoju są otwarte.. Posuwa się naprzód cicho... Trochę światła przenika z sypialni jego przez otwarte drzwi aż tutaj. Widzi długi, zapleciony warkocz czarny, usuwający się z białej poduszki i uśpioną, słodką twarz dziewczyny.

Spokój jej snu spływa nań i wystarcza na to, by się opamiętał. — Szalony jestem! ledwie odzyskałem świadomość, już chcę wolność utracić... Przecież ci ludzie nie uwierzą mi, jeśli zacznę im o sobie opowiadać. Jawi ciągle przedemną jak widmo dom dla obłąkanych.

Stale świadom tego jest i zarazem drży przed tem jak przed grozą ostateczną. Nie chce mącić też słodkiego snu dziewczyny. Spogląda na nią w zamyśleniu. Przemoże się... utai rozterkę swoją przed ludźmi... Dowie się wszystkiego wcześniej lub później.

Cofnął się cicho na palcach. Nie mogąc usnąć, wziął do ręki tom „Oceanid“:

— Płynie fala chybka, świeża, żywa
Pianą rzuci, gdy się z brzegiem spotka,
Płynie fala giętka i pieściwa,
Kołysząca jakby wiersza zwrotka.
Ponad piasek umoszac się złoty
Piersią swoją pochyla się do dna,

Bierze w wirów go taneczne sploty
I rozrzuca lekka i swobodna.

W ciemnych mrokach czy blasków powodzi,
Poprzez miasta płynie i bezdroża,
I żeglarzom, wędrującym w łodzi
W oczy bryzga, wpadając do morza...

— — — — — — — — — — — —

Książka upadła. Czarski pochylony dumał, gdyż czuł, iż znajdzie się „poza brzegiem“ i pisać już nie będzie. Przygarbiony życiem człowiek płakał za nieznaną a beztroską młodością swoją.

IV.

Nazajutrz rano starszy pan o długich, siwych wąsach, a twarzy ściągłej i pogodnej wszedł do pokoju, w którym umieścił wczoraj gościa. Czarski nie spał już, ale nie wstawał jeszcze. Patrzył nieruchomo w okno, które prześwietlał blask słoneczny. Nie chciał budzić się, by nie myśleć.

Starszy pan powitał go, a potem usiadł przy nim.

— Muszę z panem pomówić — rzekł poważnie.

Nieznajomy drgnął. Więc tak prędko przyszła ta chwila! Śmiertelny lęk ogarnął go, by z udręką swoją się nie zdradzić. Woli natychmiast wstać, rzucić ten dom i pójść w szeroki świat, niż dać poznać, iż nie wie, gdzie był od kilku lat, rok temu, wczoraj jeszcze o tej porze. Któż zrozumie go, iż jest człowiekiem zupełnie normalnym, takim, jak inni, jedynie z jed-

nym strasznym brakiem świadomości? Pytać go będą... Jaką dać odpowiedź?

— ...Wróciłem z dalekiej podróży—rzekł.

Adamiecki potrząsnął głową.

— Domyślamy się tego. Nie o to chodzi nam jednak. Kiedy zniknął pan bez śladu po przejściu, które pana spotkało, było takich wielu, którzy przypuszczali, że udałeś się w podróż daleką.

Czarski dodał mechanicznie:

— Ach! tak... po przejściu, które mnie spotkało...

— Rozumieliśmy dobrze, jak silnie musiało ono poruszyć pańskie struny nerwowe. Niestety! rozgłos nie pozwalał panu ukryć się. Musiały więc być przyczyny, byś zniknął tak, że sądzono, iż nie żyjesz. Jesteśmy jednak zawsze wielbicielami dzieł pana. Ja i moja wnuczka. Wszak znalazł pan tutaj wczoraj tom swoich poezji. Zwrócił pan uwagę?

— Tak...

— To Lucy pomyślała o tem. Może nie przyjęliśmy pana tak, jak należało, ale czy mogę zapytać pana...

— Proszę...

— Czy jest panu tutaj dobrze?

Czerski odparł poprostu:

— Przybyłem tu niespodziewanie i nieznajomy. Pojawiłem się jak wędrowiec daleki, znużony i smutny. Nie myślę taić tego, co możecie sami zauważyć. Daliście mi łóżko, dach i ciepło. Nie spytaliście gdzie i skąd podążam. Czyż nie muszę wam być wdzięczny?

Adamiecki szarpnął wąsa:

— Nie rozumiemy się... Nie o to chodzi... Miło nam byłoby zaliczać się do pana przyjaciół.. Oddawna kocham piękno i podziwiam sztukę.

Jako dyletant, dyletant oczywiście... Ale chcieliśmy zapytać się, czy pan odjeżdża zaraz... czy nie chciałby u nas trochę pozostać? Przypuszczam, iż powrót w ojczyste stosunki musi wywrzeć na panu pewne silniejsze wrażenie. Obiecujemy na ten czas pokój do pracy, spokój zupełny, a jeśli zechcesz i znajdziesz niekiedy— raz na kilka dni jaką chwilę—towarzystwo ludzi życzliwych.

— Dziękuję, ale naprawdę nie ośmieliłbym się...

— Ach, tylko szczerze... bez fałszywej grzeczności... Nam sprawisz pan jedynie radość, a sam nie zaciągasz żadnych obowiązków. Zostajesz pan?

Czarski wyciągnął serdecznie dłoń:

— Póki będę mógł, zostaję!

Adamiecki nie wydał się jeszcze zupełnie zadowolony.

— Przyjemność, którą pan nam sprawia, wymaga także usługi wzajemnej. Spodziewam się, że będziemy żyli dobrze i dlatego lękałbym się pana czem urazić. Może złożyć się jednak, iż przydałoby się panu zobowiązać mnie... Wyczerpały się chwilowo pieniądze, wypłacane panu przez wydawców.

— Nie odbierałem ich oddawna...

— Ach, tak! więc tem więcej proszę. Domyśla się pan, że jestem człowiekiem majętnym. I mnie zdarzało się jednak niekiedy, że znalazłem się bez pieniędzy podczas podróży. Proszę mną rozporządzać... Człowiek równie sławny, jak pan, nie potrzebuje lękać się, że mi nie odda...

Tu starszy pan wyjął, nie licząc, zwitek pieniędzy i położył go na stoliku. Widząc jednak zamyślenie w oczach gościa, wyrzekł żywo:

— Proszę jednak nie zastanawiać się nad tem wszystkiem. Proszę zostać naszym przyjacielem.

Ale „człowiek bez przeszłości“ wyrzekł tylko:

— Niech pan powie mi jedno jeszcze... Czy każdy, kto widział mię już dawniej, domyśli się, że jestem Czarskim?

— Drogi panie! Trudno to powiedzieć. Zapewne, iż możnaby poznać. Ogół sądzi jednak, że już nie żyjesz... Twarz podobna jest, ale zmieniła się....

— Siwe włosy...

— Tych niewiele.

— Zmarszczki na czole?

— Może to zmienia pana najwięcej. Jest też coś we wzroku. Coś innego, nowego... Ale dlaczego pan pyta o to?

Czarski ujął go znowu za rękę:

— Gdybym chciał ukryć się, utaić moje nazwisko... Czy nie zdradziłbyś mnie?...

— Ależ oczywiście! Mogę ręczyć za nas.

— Proszę nie wchodzić też w powody... Umarłem dla świata i do pewnego czasu nie chcę ożyć znowu. Mam tajemnicę. Nie chcę, by wiedziano o moim powrocie... Niech wierzą, iż jestem w grobie, niech sądzą, że zaginąłem, niech przypuszczają zresztą, co chcą, ale ja nie chcę już ciekawości ludzkiej. Niestety, nie wobec wszystkich mogę pozostać nieznany. Ale panu niech wystarcza, że mój stan nerwów nie pozwala mi na rozgłos, nie pozwala mi na zwracanie na siebie tysięcy oczu ludzkich.

Starszy pan ucieszył się widocznie.

— Cóż milszego może być, jak dopomódz panu?

— Nazywam się Niemira... tak, Jan Niemira. Gdyby nie to, iż nieznośnem mi jest mieć u pana dług, nie dałbym się poznać nawet wydawcy. Ale to konieczne... Niech pana nie dziwi też, ale podróżowałem wśród różnych warunków i przez

długi czas. Okres ten minął mi jak dzień jeden. To zdarza się... Wszak prawda... Myślimy o rzeczach ważnych.. Są kraje, gdzie niema kalendarzy... Mam do pana zaufanie... Od jak dawna nie było tu wieści o mnie? Mogę nie być tego świadomy, gdyż pogłoski jakieś mogły przecież przychodzić okólną drogą... Od jak dawna nie mieliście odemnie wiadomości?

— Od pięciu lat.

— Ach! tak. I ja sądziłem podobnie. Jakże szybko przeszedł mi ten czas! Tak, tak! ja to wiem. Nie byłem tu od pięciu lat!

V.

„Nieznajomy“ postanowił zostać w domu, w którym ofiarowano mu schronienie tak gościnnie. Uczuwał dotkliwie bezwzględny brak znajomych i potrzebę towarzystwa osób życzliwych. Przeszłość cała jawiła mu się dotąd w oczach jak jedna czarna plama i odczuwał bezmierny lęk samotności. Zdawało mu się, że zdołałby raczej zaprzyjaźnić się z każdym człowiekiem, niż czuć tak, iż jest w społeczeństwie sam jeden. Równocześnie rad był, iż spotkał ludzi w których szczerość mógł uwierzyć, gdyż odczuwał nieufność wobec całego plemienia, z którego pochodził. Zdawało mu się, iż wszędzie czyha mań chęć wyłudzenia tajemnicy, skrywana nienawiść lub szyderstwo. Lękał się ludzi, a nie mógł bez nich żyć, lękał się pierwszych kroków w społeczeństwie, a czuł, że musi je postawić.

W południe udał się do księgarza.

— Czy mogę mówić z zarządzającym księgarnią?—zapytał.

— Prosimy o kartę.

— Wolę przedstawić się osobiście.

— W takim razie proszę poczekać.

Usiadł na krześle i przerzucał leżące na stole książki. Nazwiska były przeważnie nowe, nie mówiące mu nic. Forma ich także zmieniła się. Jedne zdawały zajmować się teozofją, inne poezją i opiewały chętnie radość życia. Niewiele było dzieł naukowych. Już z pierwszych kart widział, że zupełnie zmieniły się poglądy, kształtowały nowe pojęcia, potworzyły nowe szkoły. Nawet wiedza poczynała wychodzić poza dawne systematy i myśleć więcej o doli ludzkości. Czuł jednak, że to wszystko nie jest mu właściwie obce, gdyż on, człowiek dnia wczorajszego, przewidywał to, mówił o tem, już przeważnie tworzył dawniej jak ci współcześni pisarze. Pośród dzieł, które dostrzegał, zauważył też książki podpisane swojem nazwiskiem. Wszystko wznowienia? Nie! Są i rzeczy nowe. Nie widział ich w druku jeszcze, ale przypomina sobie, iż posiadał ich rękopisy. I te utwory zresztą wyszły już przed kilku laty....

Powoli jednak przestał zastanawiać się nad tem wszystkiem. Ogarnął go nastrój dziwny. Wydało mu się, jakby ktoś przed wzrokiem jego podniósł zasłony. Zmieniło się wokół wiele, chociaż miejsce tem samem zostało. Jakaś chwila odfotografowana z przeszłości pojawiła mu się przed oczami. Wspomnienie odbite wiernie, żywe, ruchliwe jak kinematograf. Nie grał w tem roli, ale słuchał i patrzył. Widział z daleka, dostrzegał, jakby w pomniejszeniu.

Oto młody autor wszedł do księgarni. Urządzona była jeszcze odmiennie, zauważyć można każdy szczegół. Czekał tak samo jak on obecnie, ale zatrzymał się koło stołu z wydawnictwami i wziął do ręki „Revue de deux mondes.“ Przyniósł

zsobą rękopis, którego strzegł pilnie. Chciał zobaczyć go w druku, przyszedł z nim tu, choć domyślał się, że będzie to napróżno. Za mało był jaskrawy, zbyt był prosty, czuł zbyt wiele i myślał za głęboko...

Czarski nie dowiedział się już dziejów tego rękopisu. Książka wyszła z czasem, a ze źródeł jej trysnęły strumienie twórczości i tego olbrzymiego rozgłosu, którym teraz cieszył się widocznie. Nie dbał o to jednak w tej chwili. Zbyt przejęty był urokem dostrzeganego obrazu i zbytnią wypełnił go nadzieją na przyszłość. Oto wróciło mu wspomnienie dlatego, iż był tam, gdzie przeżył jakąś ważniejszą w życiu chwilę. Przeszłość jego przywiązała się do miejsc, w których jakaś myśl lub wrażenie zostawił skutkiem nieznanego strasznego wypadku. Oderwała się od jego pamięci, lecz obrazy jej musiały zostać w świecie rozproszone. Przy pewnym wysiłku woli może mógłby odczytać zapisane kiedyś karty. I może opowieść ich czytać będzie, jakby treść ich przeżywał znowu i istotnie.

Obraz ostatni spłoszył sam zbyt prędko, ale na miejscu jego zdawał się czytać słowa:

— Nic nie zginie bez śladu, co stało się raz, każdą chwilę zobaczymy kiedyś powtórnie.

Dla „człowieka bez przeszłości“ słowa te świeciły blaskiem jak jasne światło nadziei. Natychmiast jednak przejął go lęk. Ogarnęła go obawa przed tem, czego nie znał i trwoga przed cierpieniem.

Opanował się siłą i wrócił do życia realnego. Wobec wyrazistości jednak minionego już obrazu doznał wrażenia widza, który świeżo wyszedł z teatru. Musiał znów oswajać się z nagłą zmianą otoczenia.

Któryś z pracowników zaprosił go do gabi-

metu. Wielki wydawca przesunął po nim pobieżnym, obojętnym wzrokiem i rzucił doń słowa konwencjonalne:

— Czem mogę panu służyć?

Gość spojrzał nań badawczo, poczem wyrzekł głosem cichym, ale pewnym:

— Jestem Czarski!

Księgarz zwinął się i pobladł widocznie. Wzrok jego z niezwykłą siłą wyrazu spoczął na przybyłym na czas mgnienia błyskawicy. Wystarczył ten czas, by poznał głośnego autora. I w tej chwili rozległ się głos, modulowany uprzejmie, a pieszczący miękkością aksamitu:

— Jakżeż cieszę się, iż widzę znów szanownego pana. Nie zapomniałem nigdy, myślałem podczas nieobecności, dbaliśmy o imię i sławę, robiliśmy, co się dało...

— Przyszedłem odebrać rachunki—odparł gość.

— Rachunki... ach panie! to nie będzie rzeczą łatwą. Obliczenia z tylu lat! Pan wie zresztą zapewnie, w jak trudnych znajduję się warunkach. Nie mówię, zresztą, iż nie zajmę się tem w najbliższym czasie, ale rozumie pan: tu chodzi nie o drobne kwoty... Dbałem o rozgłos pana... Tu chodzi o sumy poprostu olbrzymie.

— Nie żądam tego z dnia na dzień...

— Ach!—odetchnął księgarz.—Nie byłoby to zresztą możliwe. Ale mogę już dziś służyć pewną zaliczką, zaliczką poważną...

— Czy przez czas mej nieobecności nie wypłacał pan nic mi?

— Nie słyszałem o spadkobiercach...

— Kto upoważnił pana do wydawania moich dzieł?

— O! przecież byliśmy w tak dobrych zawsze stosunkach. Czegóż zresztą nie robię zawsze dla

sztuki, a zwłaszcza dla poezji! Czyż mogłem pozwolić zaginąć nazwisku szanownego pana?

— A skąd pan otrzymał moje rękopisy?

— Ach! — westchnął wydawca. — Niemało trzeba było rozwinąć inwencji. Gdy pan zniknął po stracie jej...

— Po czyjej stracie?..

— Proszę wybaczyć mi. Przysiągłem sobie nie poruszać tak drażliwego tematu. Otóż ja byłem pierwszy, który dowiedziałem się o tem. Korzystając z tego, iż odwiedzałem pana nieraz, poszedłem jeszcze raz. Szuflada z rękopisami była jeszcze otwarta...

— Panie! tam musiały być także moje listy!

Księgarz podniósł się z godnością.

— Jestem człowiekiem honoru. Spaliłem wszystkie, nie czytając. Schowałem tylko rękopisy, gdyż nie mogłem pozwolić ze względu na dobro sztuki, by spoczęły w archiwum policyjnem. Jeśli jednak w listach było coś, co czytać byłoby niedyskrecją, to mnie pan zawdzięcza to, iż zniknięcie jego osłonięte było tak bezwzględną tajemnicą.

— Czy pan wie, jak należałoby nazwać jego postępowanie?

Zagadnięty odparł dumnie:

— Wiem tylko, iż dzięki niemu zyskało piśmiennictwo i zyskał pan, który przychodzi w tej chwili do znacznych kapitałów Straciła może jedynie ciekawość publiczna, która lubi wertować przejścia skandaliczne. Czy działałem jako przyjaciel, niech pan osądzi?

Czarski zamyślił się; wyrzekł potem:

— Nie chcę wchodzić w pana pobudki. Niewątpliwie postępował pan bezprawnie i niewątpliwie oddał mi przysługę z przyczyn tych lub innych. Musiałem do pana przyjść, gdyż wyma-

ga tego moje położenie obecnie. Uregulujemy swoje stosunki i uprawnię to, co pan uczynił i na przyszłość z mojemi dziełami czynić będzie. Muszę jednak położyć nacisk na rzecz jedną... Może być, iż przyślę kiedyś jakiś swój nowy utwór. Donieiesz pan wówczas, iż ja żyję i przysłałem go naprzykład—z Włoch. Ale narazie o obecności mojej tutaj i istnieniu nie ma wiedzieć nikt. Dla pana jestem Czarskim, dla wszystkich innych umarłem i jestem—Janem Niemirą. Czy rozumie pan?

— Rozumiem—odparł księgarz chłodno.— Nie widzę w tem nawet interesu, by wbrew pańskiej woli rozgłaszać przyjazd jego na cztery wiatry.

— Godzimy się zatem! Zostawię panu adres i poproszę o rachunki oraz o część należności. Resztę wypłacisz mi pan według możności. „Za życia“ nie skarżyłem się na pana,—dodał uprzejmie.

Wydawca zerwał się, widząc, że gość odchodzi. Odprowadził go aż do drzwi, polecając w księgarni:

— Jeśli pan Niemira, Jan Niemira zechce przyjść kiedy, proszę donieść mi o tem natychmiast. Nie mam ważniejszych gości!

VI.

— Czem jest pamięć ludzka?

Słowa te piszę ja, Piotr Czarski, piszę przy świetle u siebie w pokoju, ale dusza moja wtulona jest w tę czarną noc, która roztacza się teraz za oknami.

Z ciemności zrodzony duch, samotny, na całym świecie samotny!

Czy zrozumiecie mnie wy, którzy przeklina-

cie swoją pamięć? Czy zrozumiecie niepokój mój, gdy stoję wobec nierozwiązanych zagadek? Gdyż ja nie jestem bez przeszłości, nie! żyłem między wami, wędrowałem tu i tam, wy znacie mnie, a ja nie wiem, czy was poznam? Tysiąc niebezpieczeństw otacza mnie, czyhających tylko na to, bym wydał się. Lada chwila pojawi się ktoś, z którym żyłem kiedyś dzień po dniu. Lada chwila uściśnie mi dłoń ktoś, z kim rozstałem się może przedwczoraj.. Na tę myśl ogarnia mię obłędny strach, gdyż jeśli poznają straszliwy brak mojej pamięci, gotów jestem dusić, zabijać, byle obronić ten skarb, którym jest dla mnie wolność.

Sądzicie, iż jestem obłąkany.. Nie! Mój mózg tylko przechodzi przez wstrząśnienia podobne do obłędu. Czy nie słyszeliście o głośnym pisarzu cudzoziemskim, który zapomina kim jest, jak się zwie i błądzi potem tygodniami wśród głodu i o żebraczym chlebie? Czy nie czytaliście o tym lub owym? Szczęśliwszy jestem już od nich, gdyż zbudziły się uśpione władze mego umysłu, wiem, kto jestem i przypominam sobie wszystko, prócz tego jedynie, co było w mojej własnej przeszłości.

Zgubiłem gdzieś książkę, w której zapisywałem dzieje swego życia. Zniknęło pismo, którem powleczone były białe karty. Mógłbym mieć dzisiaj sławę, majątek, ale straciłem zato wszystko, do czego się przywiązałem, zginęła mi nawet możność płakania z przyczyny dawnych strat, cieszenia się z powodu trudnych, mozolnych trjumfów, drżenia na myśl o dawnych wzruszeniach miłości, więc wolę kryć się w ciemnościach, wolę stać się—niczem.

Najboleśniejsze są chwile, gdy nawiedza mnie tęsknota za tem, co minęło. Gdy podzymają

wokół mnie gonić się widma blade tego, o czem nie wiem, a co było niegdyś całą duszą moją. Rozumiem, iż póki nie pochwycę tych pierzchających cieni, nie mogę iść naprzód, nie mogę już zaczynać życia na nowo i jestem jedynie rozbitkiem bez celu.

W ciemne mroki nocy spoglądam posępny i pochmurny. Oto tam wspomnienia tkwią, wtulone w gąszcz kwitnących ogrodów, przyległe do nieznanych pokojów, może zostały przy jakimś dalekim, obcym mi dzisiaj warsztacie. Przeżycia swoje zostawiłem wszędzie, gdzie byłem, część serca, część uczuć i część pamięci. Czy rozumiecie wy, iż pamięć jest przystanią na chwilę znużenia i samotności, że dziś trudno jest żeglować mi, gdyż nie mogę dowolnie wrócić do brzegu!

Jeżeli pamięć wasza wspomina nam złe czyny, to wdzięczni jej jesteśmy za to nawet, iż pozwala nam ocenić się w chwilach porachunku. Jeśli pełna jest strat bolesnych, to wtóruje nam melodją swoją w chwilach melancholji. Jeśli mówi o czynach świetnych i wielkich, to pociesza nas w chwilach upadku, gdyż jeden złoty zyskany łaur lub jedna róża miłości, która znienacka upadnie nam do stóp, mówią nam o tem, że żyliśmy nie napróżno.

Nie posiadam z tego na razie nic, same tylko mroki zagadki. Kryją się w nich postacie otaczających mię kiedyś ludzi, złych i dobrych, życzliwych i zdradzieckich. Jak długi cień wlokę za sobą przeszłość, która towarzyszem może mi stać się albo wrogiem, ten zaginiony w drodze „dzień wczorajszy“, który tak samo może zawieść mię do więzienia, jak teraz obsypał mię sławą, chociaż nie mam odwagi z niej korzystać.

Czy lękam się? Czasem tak... Przeważnie jednak stoję jedynie dlatego trwożny, iż znajdu-

ję się u wrót Nieznanego. To, co było wczoraj rozstrzygnie o tem, co stanie się jutro, gdyż nie masz skutków bez przyczyny. To jedno wiem i czuję, że cierpiałem więcej od was wszystkich i że półki nie wyznam wam sam, nie dowiecie się o tem, co utaiłem niegdyś przed wami, co skryłem w bezmiernej nocy, co czuję, a czego dziś— sam nie wiem.

W głębi bezmiernych korytarzy, w które wchodzę teraz, nie widzę jeszcze światła nadziei.

Ale oto jawi mi się jakaś cudowna twarz kobieca, przedziwna a subtelna, otulona przez złote włosy. Jawi mi się tak we mgle, że nie poznałbym jej, ale serce mi drży i woła, by jej szukać. Czy żyje jeszcze, czy umarła, czy kocha mnie, czy zaginęła w przestrzeni? Nie wiem, ale pragnę iść do niej śladem w ślad, gdziekolwiek przeszłość wiedzie mnie, choćby na szafot!

VII.

W pięknem otoczeniu staroświeckich mebli siedział pan Raul Adamiecki. Siedział i dumał, od czasu do czasu otrząsając popiół z cygara. Pogodny odblask późnego popołudnia padał na jego zamyśloną twarz estety, człowieka, który przeżył wiele. Czuł, iż gdyby nie dziwny zbieg okoliczności byłby już ostatnim wykwitem i krańcem swego wielowiekowego rodu, czuł słabość swoją wobec wielkich przejawów życia, których nie mógł zrozumieć i odgadnąć, ale w duszy chował jeszcze wielkie, bezgraniczne prawie zamiłowanie piękna, wykształcone przez szereg pokoleń. Całe pieśni umiała mu śpiewać wytworna linja sprzętu, kobiecą miękkością pieściły go zarysy starych

bronzów, olśniewał jego oczy każdy półton w zagięciach kotary, tak teraz przy nadchodzącym zmierzchu widoczny.

Popełnił kiedyś ostatnie szaleństwo w życiu i owocem jego była mała Lucy. Mówiono, iż miał onegi pojedynek a przyczyną tego była cudna dziewczyna w kawiarni. Opowiadano też, iż wskutek jakiegoś zobowiązania strzelał do siebie po nocy poślubnej, a zanim przyszedł do zdrowia, posłaniec konny przybiegł i przywiózł mu list, w którym miały być tylko słowa: Żyj i ciesz się szczęściem swojem!

Była to jednak przeszłość niezgłębiona z przed wielu, wielu lat, bajka niezbadana nigdy, a w każdym razie niepowrotna.

Dziś obok namiętności do piękna, pozostała mu jeszcze Lucy. Na tej, małej onegi, teraz rozwijającej się dziewczynce skupił wszystkie echa minionej młodości, patrzył w nią i nadsłuchiwał, czy dusza jej nie opowie mu kiedy coś jeszcze z doznanych przezeń wrażeń.

Ale dziewczyna ta była już odmienna od tego, co widział sam dawniej. Odmienna i od tych panien z „białych dworków“ i od tych salonowych „lwic“, które dawniej budziły się już w podlotkach. Wzbogacona życiową siłą z krwi swojej babki, z zachwytem patrzyła w nieznany, jak mrowie kłębiący się świat i marzyła, a była przytem nerwowa i subtelna.

Fala książek, które ciągle szły i między któremi trudno było wybierać, towarzystwo rówieśniczek, w którem obracała się, nie pozwoliło jej uniknąć wiedzy żadnych tajników życia, a tem czarowniejszemi czyniło je przez kolorowe światła barwnych latarni. Śpiąca żądza poznania światła budziła się w niej przedwcześnie! Zachwycała się poezją i muzyką, wyobraźnia jej pracowała żywo,

wprowadzając nowe oświetlenie nawet do dawnych bajek. A obok tego miała niekiedy takie porywy serca, iż starszy pan szczycił się nią, choć i lękał się o nią, gdyż przez długie lata samotności wypielęgnował w sobie cześć dla pięknych gestów i szlachetnych czynów, choć nie rozumiał już tych burzliwych sonat, przy których śnił i przeżywał je sam w młodości.

Minęło już dni kilkanaście od czasu, gdy Czarski zapukał do drzwi ich mieszkania. Lucy z początku zdawała mu się cieszyć się, a dnie jej spływały w podnieceniu i radości. Otaczała opieką jego pokój, choć poeta zagłębiony w zadumie, prawie nie zważał na nią. Sława jego wywoływała jej ciekawość, a widoczna troska współczucie. Najwierniejszym przyjaciółkom nie wydała tajemnicy jego istnienia cieszyła się tem, że o życiu jego i istnieniu wie ona tylko, niemal sama, że tuż, o jedne tylko drzwi, ukrywała się zagadka życia autora „Oceanid."

Ale od pewnego czasu stała się chmurna i niechętna. Gdy przebywała w domu, próżno zachęcał ją pan Raul, by wstała od książki. I oto teraz z salonu ozdobionego w rzadkie, staroświeckie dzieła sztuki, dobiegły go dźwięki fortepianu. Ktoś grał i robierał melodję niespisaną. Palce tracały w klawisze delikatnie, niekiedy myliły się i uderzały fałszywie, poprawiały się potem, ale w muzyce tej, improwizowanej widocznie, drgała znów jakaś pełna talentu muzycznego tęsknota, jakieś marzenie nieuchwytne.

Zmarszczył czoło siwy pan, jakby starał się sens odgadnąć. Słuchał tego, co śpiewało nawet w wahaniach, nawet w dysharmonji. Starał się zrozumieć to, co zbierało się jednak w jakąś harmonijną, a narzucającą się słuchaczowi całość, a potem zawołał krótko:

— Lucy!

Zmieszane, nerwowe tony urwały się nagle. Słychać było krótki dźwięk przymknięcia fortepianu, a potem pojawiła się wyniosła, delikatna postać dziewczęcia.

Stary pan poprawił się w krześle, zapalił nowe cygaro, a potem rzekł:

— Lucy! Dlaczego nie grasz ćwiczeń? Dlaczego zaniedbujesz Beethovena?

Młoda panna nie odparła nic. Usiadła na brzegu bujającego się fotelu i zapytała poprostu:

— Dlaczego gniewasz się, dziadku?

— Za czem tęsknisz, o czem marzysz?...

Dziewczyna milczała znowu przez chwilę, a potem odrzekła:

— Czy ty nie uważasz, że mam talent, że gram pięknie?

Starszy pan uśmiechnął się:

— W każdym razie dużo będziesz musiała pracować! Szczęściem, że gościa naszego niema w domu. Ne byłyby mu przyjemne podobne dysonanse.

— Trzeba próbować, ale zobaczysz, jak ułożę potem melodję. Będzie płynąć cicho i spokojnie... Będzie później jeszcze łamać się, by się wyspowiadać. A potem kwiatami pieścić i całować, całować!

Powiedziała to z wybuchem, a potem wyszeptała pokornie:

— Zresztą nie będę tego grać jeśli przykrość ci to robi, dziadku!

Potrząsnęła następnie głową i spytała:

— Powiedz mi, dlaczego ty właściwie przyjąłeś u siebie tego Czarskiego?

— Nie sądziłem, by mała moja była taka niegościnna... Stronisz od niego i jesteś mu niechętna.... A powiedz mi, cóż pożyteczniejszego mogłem uczynić, jak to, by było mu u nas dobrze

i wygodnie... Sama zachwycałaś się nim dawniej, czytywałaś jego wiersze...

— Czy nie wydaje ci się dziwnem, iż zjawia się on tak nagle, po latach, gdy wszyscy uważają go już za umarłego. Nie mówi nic, skąd przychodzi, a przybywa do nas właśnie... Zdaje się taić coś i ukrywa swoje nazwisko. Czy nie widzisz w tem nic dziwnego?

— Chcesz zapewne, bym pytał go o jego tajemnice?

— Ach! nie o to mi chodzi. Ale dlaczego właściwie tak zaraz przyjąłeś go... Ty nie zrozumiesz tego... W tem jest jakiś los... Niezwykły może los dziadku...

— Wiedziałem tylko, kim on jest, zresztą spotykałem go już dawniej.

— Kiedy to było, on zdaje się tego nie pamiętać.

— Spotykałem go i bywałem nieraz w kole jego przyjaciół. Skoro nie chce mówić o tem, nie pytam go. Zresztą—może mnie nie pamiętać. Dla mnie wystarcza to, że mogę opiekować się nim obecnie, gdy widocznie strudzony jest i smutny. Wszak to wielki, wielki poeta! Zresztą, wszak widzisz, że mu nie potrzeba od nas niczego, prócz życzliwości. Tak wiele przebywa sam, tak rzadko bywa z nami.

— Cenię cię za to. Cenię cię, że otwarłeś przed nim drzwi i że jesteś dla niego taki dobry!

Lucy podniosła się i rzekła:

— Pozwól mi grać!

— Zostań trochę przy mnie. Widzisz i ja jestem sam. Zmierzch nadchodzi.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy:

— Czy ty kochałeś kiedyś bardzo?

Adamiecki drgnął. Otwarł szeroko oczy i spytał głosem zlekka podniesionym:

— O co chodzi ci, Lucy?

— Czy ty sądzisz, że można pokochać takiego tajemniczego gościa? Że wprowadzając go w swój dom mogłeś obudzić we mnie coś, co spało jeszcze wczoraj? Nie mówię tego, że tak jest, ale jeśliby było tak, czy radziłbyś mi stłumić, póki mogłabym to uczucie do tego jedynego, nadzwyczajnego? Czy jako człowiek z duszą i niedbały o przesądy, odpowiedziałbyś mi wówczas: jeśli zdołasz wzbudzić wzajemność, to go kochaj! Mów mi, ufam ci dziadku.

Dziewczyna siadła już u kolan pana Raula, ale ten podniósł się nagle prawie groźny i rzekł:

— Dziecko! Jakie ty dziecko jesteś! Ale czy ty naprawdę myślisz postąpić, jak ci radzę?...

— Sądzę, że tak—odparła cicho dziewczyna.

— Posłuchaj mnie! To co mówisz, jest szaleństwem. Odesłałbym cię zaraz stąd, gdyby nie to, iż wiem, że jedynie marzysz i jesteś dziewczyną bardzo niedorosłą. Ale to jest człowiek nie dla ciebie, rozumiesz, nigdy nie dla ciebie! Życie takich ludzi jak on ma czasem karty, których czytać nie należy i nie wolno. Nie pytam go, bo niczego nie chcę się dowiedzieć, ani nigdy nie dowiesz się, czego się domyślam... Nie dla niego już takie istoty, jak ty, może raczej kobiety rozkwitłe, gotowe na wszystko dla szaleństwa. Kwiat twego życia złamałby się prędzej, zanim by płatki swoje rozchylił. Gotów jestem utaić jego nazwisko, dać mu dom, ale nie dla niego już takie niewinne dziewczęta. Rozumiesz mnie? Idź lepiej grać.

Lucy podniosła oczy zroszone od łez.

— Słucham cię, dziadku.

I tak popłynęły w salonie Adamieckiego w wieczór owy srebrne dźwięki „sonaty księżycowej."

VIII.

Są pewne idee przewodnie, które kierują w pewnych epokach życiem i działaniem wysilnych ludzi.

Czarski dążył tak obecnie do pewnego celu, choć odległego od wszelkich dążeń teraźniejszości, a chciał posiąść tajemnicę swojej przeszłości. Rzecz łatwa na pozór piętrzyła jednak przed nim nieprzebyte trudności, gdyż trwoga bezmierna, pozostałość po chwilowych wstrząśnieniach umysłowych, uniemożliwiała mu zapytania najprostsze.

Czyż zresztą barwę wrażeń i wydarzeń zdołałyby mu powrócić słowa ludzi? Czy nie wróciły one wówczas do niego jako określenie puste i zniekształcone. Pamięć zdołałaby mu ożywić jedynie to, co tąciłoby w sam tak czuły instrument jego duszy. Świadom był, iż struny pozostały tam nieporwane i nietknięte, ale od nieznanych przyczyn zależało trącenie w tę lub ową. Czyż nadto ludzie najbardziej świadomi mogli wiedzieć o istotnej katastrofy jego przyczynie, którą ukrył kiedyś może sam w najgłębszy myśli swych zakątek? Czy zresztą, wiedząc nawet, nie wystrzegaliby się mówić z nim o tem?

Gdyby napotkał w swej pamięci na tem węzeł tragiczny, rozwiązałby niewątpliwie cały splot przyczyn i wydarzeń. Czułby się zapewnie wówczas wolnym, zdolnym do nowego życia i skłonnym do podążania naprzód jak inni. Istniało jeszcze nadto pozatem drugie jeszcze istnienie, tajemnica nieznanych pięciu lat. Wszystko wskazywało mu na to, iż musiał wtedy powędrować gdzieś, spędzić je w śnie półżycia, przebyć wśród ludzi obcych i dalekc.

Trzeci już byt rozpoczynał Piotr Czarski, końcowy zapewne i z pierwszym zawiązany. Może to właśnie kulminacyjne siły, które spowodowały dawniej wybuch jego wielkiego talentu, zamąciły potem zwykłe jego władze umysłowe. Przejście, które spotkało go, stało się tem tragiczniejsze, że z drugiego bytu obudził się samotny. Nie znalazł nikogo przy sobie, kto cieszyłby się z jego dalekiego powrotu, powiódł myśli jego przez krainę dawnego istnienia i zaprowadził go do domu, z którego wyszedł przed laty.

Nie przypuszczał tego, iż może mieć znajomych w najbliższem swojem kole, którzy sami nie zechcą dać mu się poznać. W śmiertelnym lęku sam odciął się od świata przez przybranie cudzego nazwiska, a teraz chodził, wędrował pochylony po Warszawie, szukając wskazówki od przypadku.

Podążał, nacisnąwszy kapelusz głęboko na oczy, przekonany i pewny siebie, że ukrył się przed ciekawem okiem ludzkiem, zadumany i milczący. Najchętniej wychodził przed zmrokiem, a gdy mijał znowu dzień, który nie przyniósł mu nic takiego, co rozjaśniłoby zagadkę, wówczas błądził wzrokiem po wystawach lub pytał się twarzy przechodniów.

Z dziwną energją nieraz przechodził szeregi ulic, starając się sobie coś przypomnieć. Podążał wolnym krokiem, zatrzymywał się przy wystawach, nadawał sobie pozory błąkającego się przechodnia bez zajęcia. Nie domyślał się tego, że już zwróciła uwagę jego postać, snująca się o zmierzchu lub przesuwająca się w świetle latarni i że patrzono nieraz pytająco w jego oczy piękne i głębokie, onieśmielające zamyśleniem.

Zdarzyło się raz, iż wszedł na boczną ulicę, na

której nie był jeszcze. Przechodził pod domem wielopiętrowym, bezstylowym, nie odbijającym od ogólnego szablonu. Światło dosyć odległej lampy elektrycznej oświecało bramę otwartą i sień ciemną, taką, jak dziesiątki innych. Czarski szedł i śledził swój cień, przedłużający się na bruku. Chciał już przejść na drugą stronę, gdy zatrzymał go turkot zbliżającego się pojazdu. Wystarczyło to zatrzymanie się na mgnienie oka, by stał dalej jeszcze ogarnięty dziwnem wrażeniem. On znał ten dom! Bywał tutaj kiedyś!

Nieświadomy tego co czyni, ulegając nagłej ciekawości, szybko przeszedł sień jedną i drugą i skierował się na schody. Mimo mroku, jaki panował na nich, podążał w górę, zatrzymał się przed jednemi z drzwi i zadzwonił.

Zaledwie uczynił to, już chciał się cofnąć. Zrozumiał, że albo myli się, albo odtwarza scenę z przed lat. Uczucie, które go przywiodło, silniejsze było od zastanowienia się. Przeraził się, chciał powracać już, kiedy przed nim drzwi otwarto.

Wówczas ogarnęła go chęć, by scenę odegrać aż do końca. Czynił doświadczenie nad samym sobą, nad trafnością przeczuć swoich, a ostatecznie cóż go złego spotkać mogło?

— Czy mogę widzieć się... zapytał wahającym się głosem.

Zdziwiona trochę młoda służąca spojrzała mu w twarz, a potem widząc jedynie wielkie zakłopotanie w niej, odparła:

— Owszem, proszę.

Wszedł do saloniku. Otoczenie i sprzęty nie przypominały mu nic. Zbliżył się wówczas do otwartego okna i wchłaniał świeże, ciepłe jeszcze mimo jesieni powietrze. Nie! nie mylił się. On

ELLICOTT CITY, MARYLAND

ten widok znał. Siedział kiedyś przy tem oknie i rozmawiał wpatrując się w niebo i daleki sznur kamienic. Tutaj przeżył coś, kogoś odwiedzał tutaj ongi.

Nie miał czasu na rozmyślanie. Na progu stanęła panna. Była smukła, miała włosy blond. Ta sama, do której zbliżył się w pierwszy wieczór po odzyskaniu świadomości. I znowu na mgnienie oka wyciągnęły mu się do niej ręce. Opanował się jednak, wiedział że błądzi złudzony jakiemś podobieństwem. Stłumił wzruszenie i wyrzekł spokojnym już głosem:

— Pani wybaczy mi! Omyliłem się. Zadzwoniłem w inne drzwi. Szukałem kogoś znajomego.

Ukłonił się i chciał odejść. Ale panna zbliżyła się doń, podała mu uprzejmie rękę i wyrzekła dobitnie:

— Niech pan zostanie. Skoro złożyło się tak, już że pan znalazł się u mnie, niech pan zostanie, panie Czarski!

Zadrżał. Trwożliwym wzrokiem spojrzał na przybyłą. Próbował tłomaczyć jej:

— Pani wybaczy... Jestem Niemira, Jan Niemira.

Panna zaśmiała się.

— Niech pan będzie dla innych, kim pan chce. Ja oddawna poznałam pana. Ponieważ nie wyczytałam w dziennikach nic o pana przybyciu więc domyśliłam się, że pan nie chce, by o nim wiedziano. Starałam się być dyskretną, daleką wielbicielką. Nawet mój narzeczony nie wie nic o moich przypuszczeniach. Zadowolona jednak jestem, że przypadek wciąż przyprowadza pana do mnie.

— Ach! pierwszy raz było to tak niemiłe! Zachowałem się haniebnie! Rozstroiła mnie mu-

zyka. Pani wie, że muzyka działa nieraz dziwnie. Zwłaszcza, gdy się tworzy coś... Zanadto idzie się za wyobraźnią można ulec nawet urojeniom. Zresztą przecież to jasne — dodał, tłomacząc się, że to było potem dla mnie bardzo przykre. Pani musiała to zrozumieć.. Chociaż mogła także myśleć, że jestem chory.. Nie! to było poprostu urojenie, błąd, za który bardzo przepraszam.

— To nie było tylko urojenie. To było pewne drobne zapewne podobieństwo, o którem słyszałam nieraz. Nietylko też nie gniewałam się na pana, ale naprawdę zostałam wówczas z ciężkiem sercem, gdyż pomyślałam sobie, iż pan może nie jest szczęśliwy. I to właśnie chciałam mu powiedzieć, by nie sądził, że żywi doń jakiś żal, by wiedział, że zawsze może liczyć na mnie..

— Nie chciałbym urazić pani, ale pragnąłbym dowiedzieć się, skąd mnie zna? Nie byłem w kraju od lat, od lat... Tyle wrażeń, tyle różnych wrażeń! Nie mam pamięci do nazwisk, chociaż doskonale pamiętam twarze... Zdaje mi się, że musieliśmy znać się dawniej?

— Nie! nie znaliśmy się, chociaż odwiedzałam Ewę. Ale przecież i tak o panu wszyscy wiedzieli.. Tyle fotografji... Posiadam i ja jedną, niech pani spojrzy. Stoi dotąd na mojem biurku.

— Pani odwiedzała Ewę?.. Ach! tak, to moja fotografja! Pani mieszkała tutaj przed pięciu laty?

— Nie. Tutaj mieszkał również jeden z naszych znajomych. Wątpię jednak, czy pan i tutaj odwiedzał go? Wszak przebywał przeważnie w innem mieście.

— Tak! przebywałem wówczas przeważnie w innem mieście. Ale i tutaj widocznie musiałem przychodzić. Zapewne dlatego pomyliłem drzwi. Dziękuję bardzo, że pani przyjęła mnie

tak uprzejmie i wybacza mi moje zachowanie się wówczas wieczorem w ogrodzie... Mam nadzieję, że pani zechce istotnie pamiętać, że jestem w Warszawie pod cudzem nazwiskiem.

Nie dziwię się temu. Wszak to rzecz drobna, jeśli panu z tem wygodnie w podróży. Chciałabym zaspokoić jednak ciekawość.... Czy pan pisał co przez te pięć lat?

— O tak! pisałem dużo. Nie drukuję jednak. Ogłoszę wszystko, gdy powrócę znowu i wyjawię, kim jestem. Dziś męczy mię natarczywość ludzka. Podróżowałem wiele sam za granicą. Byłoby klęską dla mnie, gdyby dowiedział się tu ktoś o moim przyjeździe.

— Odemnie nie dowie się... Pan patrzy gdzieś... Na ten portret..

Czarski pobladł. Wzruszenie jakieś ogarnęło go. On ten portret znał, był już tutaj istotnie u kogoś. Spoglądała mań zagadkowo, ściągła męska twarz. Patrzyły weń oczy nieludzkie prawie, tak wiele mówiące a tak pomroczne. W zaciśniętych zlekka, wąskich wargach tkwił wyraz cynizmu czy zawodu. Twarz ta w tej chwili zdawała się nabierać życia i patrzyła milcząc na Czarskiego. Policzki zdawały zlekka rumienić się, a usta poruszyły się zagadkowym uśmiechem nienawiści lub melancholji. Ten portret żył i zdawał się czekać na chwilę, by przemówić.

Wówczas pannа starała się odwrócić uwagę gościa. Szybko przechodząc z tematu na temat, rzekła doń:

— Może pan interesuje się. Mam tu na ścianie dwa sztychy ze szkoły flamandzkiej. Dostałam je w roku zeszłym. Jaki niezwykły i cenny podarek. A tamten portret... To już dziś rzecz obojętna... Po co patrzeć... Co minęło, to zaciera

zwolna czas... To prawda, że ten człowiek żył w naszem kole... Tyle już przeszło czasu. I cóż dla pana może dziś znaczyć portret Henryka Hessego?

A Czarski odparł:

— Mówi pani słusznie; ale to był człowiek z naszego koła. Jak dziwnie patrzy jeszcze dzisiaj na mnie ten portret Henryka Hessego!

IX.

Rozmowa nadspodziewanie długo przeciągnęła się. Czarski nie mógł oprzeć się temu urokowi, jaki wywarło na nim spotkanie się z osobą znaną choćby pośrednio, a widocznie życzliwą. Chętnie także przyjmował te grzeczności, jakie powoduje rozgłos i sława, zapomniał powoli o przeżyciach ostatnich czasów, zastanawiał się chwilami, czy nie wejść znowu w świat i nie odgrywać na nim swej roli.

Czyż słusznie obawiał się? Czyż nie zawsze uda mu się wytłomaczyć braków pamięci podróżą długiem oddaleniem od kraju? Dlaczego usuwał się od tych radości i korzyści, które okupił sobie zapewne dawniej żmudną pracą i niejednem cierpieniem? Jest sam, nie ma wokół siebie nikogo z bliskich, ale tem łatwiej przyjdzie mu stworzyć sobie życie pełne blasku i szczęścia, jakie pozyskać może jedynie człowiek pełen uczuć a doświadczony. Obudził się dawny świetny autor „Oceanid". Żartował... Wygłaszał zdania paradoksalne i zabawne. Nawet uśmiech, jakiś uśmiech odwiecznie zamarły, wybiegł mu na usta. Odwrócony od portretu Henryka Hessego spoglądał jedynie na miłą twarz panny lub wy-

raziste, a wspaniałe wycieniowanie zarysy flamandzkiego sztychu.

Nie mówił o przeszłości, gdyż po co? Cóż ona mogła zajmować go w tej chwili? Chciał nie myśleć o niej i popłynąć po fali bieżącej. Nie licząc się z tem, co przed godziną jeszcze stanowiło dla niego wszystko, całe dążenie i pragnienie, łudził się, że przed nim jak przed innymi roztacza się świat wesoły i otwarty.

Dowiedział się, iż towarzyszka jego nazywa się Stefa Mirówna i jest literatką. Musi ciężko pracować, by zarobić na byt i ma narzeczonego, który niebardzo jej się podoba. Godzi się na ślub, gdyż nie chce zostać sama, a nadto nie może uczynić żadnych poważnych zarzutów człowiekowi, który stara się o jej rękę.

— Czy słusznie pani zamierza postąpić? — spytał gość.

— Wszakże pan wie, że małżeństwo w naszych kołach nie sprzęga ludzi na zawsze. Gdy zechcą, rozchodzą się... Miłość stała zdarza się tak rzadko...

— Czy nie traci na tem szczęście?

— Zapewne, ale gdzież ono jest? Niech pan spojrzy na półkę z książkami. Stoją obok siebie Rousseau i wiersze Woltera. Jeden uważał, że zerwanie się miłości jest największem nieszczęściem świata, drugi radził żyć i używać. A dalej stoją księgi teozofów... Dusze wybrane schodzą się z sobą raz na tysiąc lat i to zdarza się już przy końcu ich ziemskiej wędrówki. Ale gdy miłość takich istot znów zerwie się na ziemi, odchodzą smutne, gdyż przez niezbadany czas szukać się będą znowu, będą błądzić i dążyć do siebie samotne.

— Tak! gdy miłość taka zerwie się...

— Ale spotkanie takie zdarza się rzadko. Może wówczas miałby słuszność Rousseau, gdyby znał tę teorję.

— Pani studjuje teozofję?

— Tylko jej praktyczne zasady. Sposoby leczenia się, działanie na odległość. Niech pan przyjdzie kiedy do mnie, gdy zbierze się więcej osób. Może pan zostać nawet Niemirą, Janem Niemirą, jeśli znakomitemu autorowi to dogodnie. Mówi się wówczas wiele o duchach. Wszyscy wierzymy w nie pozornie, choć mało myślimy o tem później. Ja nawet w życiu miałam dziwny przypadek. Ukazałam się na odległość w obcych warunkach, w obcem mieście...

— Nie rozumiem tego.

— Myślałam wówczas wiele o swoim narzeczonym. Jestem religijną.

— Mimo teozofów?

— Mimo teozofów. Modliłam się i płakałam. Nieświadomie przeleciałam przestrzeń tajemniczemi skrzydły i gdy tutaj klęczałam, wysyłając ducha w modlitwie, on zobaczył mnie podążającą ku sobie, spłakaną i smutną, w dalekiem mieście, dalekiej stronie.

— Rozdwojenie się osobowości?...

— Widzę, iż pan słyszał o tem. Ale na zebraniach naszych pojawia się postać ciekawa z pomarszczoną twarzą, w wieku może lat czterdziestu. Podobno umiał dawniej rozdwajać się świadomie i ogłosił o tem pamiętniki *). Przypuszczamy jednak, iż wspomnienia swoje napisał więcej żartem, niż na serjo. Choć takie rzeczy przecież muszą się zdarzać. Przeszłość ma to tyle zostawiła dokumentów! Tylko trzeba więcej myśleć o duszy, a nie o życiu potocznem. Trzeba umieć

*) powieść: Archiwarjusz Gordon.

wzruszać się, kształcić się w tem i mieć wrodzone zdolności.

— A ów autor, o którym pani wspomina, nazywa się?

— Gordon. Jest archiwarjuszem. Zajmuje się również obecnie nieco alchemją. Mówi, że odnalazł sposób zmieniania złota na ołów i obiecuje napisać o tem. Ale to już zapewne są żarty.

— Więc wszyscy z państwa doznawali jakichś nadprzyrodzonych przygód?

— Nie wszyscy, ale wielu z nas. I to jest piękne! I to jest piękne, że teraz światem idzie jakiś dreszcz nadprzyrodzony. Wynywa z codzienności, rozszerza widnokręgi. Są jeszcze i między nami ludzie przyziemni, którzy nie mogąc nawet wytłumaczyć sobie istnienia gwiazd, nie umieją widzieć nic poza materją. I do tych duchy dobre nie przychodzą.

— A literatura? Cóż porabia ona obecnie? Tyle lat spędziłem poza krajem...

— I o to pyta twórca „Oceanid“ ten, który wszystko przeczuł, każdy dreszcz odczuł pierwej od innych. Literatura szuka nowych źródeł, lub jeśli nie może zdobyć się na oryginalność, czerpie z dawnych a mniej u nas znanych. Nicuje wartości, lubi niecić wrzawę lub kąpie się w potyskach.

— I próbuje znaleźć ton silny?

— I błądzi po tysiącach dziedzin i próbuje znaleźć wyraz swój, uderzyć w ton silny!

Tutaj panna przerwała rozmowę i poczęła deklamować:

Ty wiecznie trwasz, choć spory w świat się wiodą,
Choć ziemię w krąg okrywa mrok i kłam,
Ty wiecznie trwasz i z pieśnią wiecznie młodą
Pieśniarzy tłum do twoich dąży bram.

Gdy zwrócisz twarz przed tobą ludy klękną,
I nowych er zwycięski zabrzmi dzwon,
Ty wiecznie trwasz, o nieśmiertelne piękno
Potęgą swą, tęsknotą ludzkich łon.

— Czyje to jest?

— Jakto? Autora „Oceanid". Zapomniał pan już?—Tu panna zaczęła wiersz inny:

Były róże tak krwawe i czyste,
Lśniące w parków pomrocznej topieli,
Na twe piersi je kładłem śnieżyste,
Rozrzucałem po białej pościeli.

W twoje włosy oplotłem swą szyję,
W złote węże, co dręczą i palą,
I słuchałem w zachwycie, jak bije
Tętno życia pod włosów twych falą...

Ale Czarski zerwał się i powiedział prawie gniewnie:

— Nie lubię, gdy kto przypomina mi to! Czy rozumie mię pani, uciekłem przecież od tego, co było dawniej! Czemu pani drażni mnie? Nie chcę spotykać ludzi, nie chcę słuchać dzwonienia starych zegarów, które dla mnie bić przestały. Chcę żyć, a wy mie pozwalacie mi!

Stefa pochyliła się i rzekła skruszonym głosem:

— Proszę mi wybaczyć. Moja wina, że przypominam to panu. Ale tak cieszę się, że zobaczyłam go u siebie. Zbyt szczęśliwą będę, jeśli odwiedzi mię pan jeszcze, ale teraz, jeśli pan nie chce spotkać się z nikim, to lepiej niech pan odejdzie. O tej porze pojawia się nieraz u mnie wieczorem dziwak — archiwarjusz.

X.

Nie wiedział o tem człowiek, który przybrał nazwisko Jana Niemiry, że od pewnego czasu już prowadził jakichś nieznajomych swoim śladem. Podążali za nim w niewiadomym celu i może byliby przystąpili doń, gdyby nie był wszedł do domu, gdzie mieszkała Stefanja Mirówna. Zatrzymali się wówczas przed bramą a gdy wyszedł znowu, poszli za nim, śledząc go dalej. Starali się nie zwrócić jego uwagi o co nie było trudno, gdyż podążał wolno, nieoglądając się, a pochylony jak zawsze.

Jeden z tych śledzących go przeszedł na drugą stronę ulicy, wyprzedził go, poczem wrócił się i minął go w świetle latarni. Człowiek ów połączył się następnie ze swoim towarzyszem i wołał doń:

— Niema wątpliwości. To jest Czarski.

— Spójrz! jak poprawiło mu się. Porządnie ubrany, co? A my...

— Zobaczymy, gdzie mieszka? Może jeszcze jaki interes będzie.

— Winien nam coś więc gdy mam źle idzie, niech nam odda.

Rozmowa trwała krótko. Obaj włożyli ręce w kieszenie i przybrali pozór swobodnie podążających przechodniów. Niemira wszedł właśnie w środek wielkomiejskiego ruchu.

— Może nie zechce poznać nas — szepnął jeden.

— Już on nas pozna, gdy zagadniemy go kiedy w bocznej ulicy.

Tymczasem Czarski nieświadom owych starych długów i tej dawnej znajomości, zbliża się powoli do mieszkania. Po drodze kupił od kwiaciarki dużą wiązankę barwnych chryzantemów.

Rychło prysnął w nim ożywiony nastrój, w który wprowadziły go odwiedziny. Oto jedyne kwiaty — myślał, — które nabywać mogę. Piękne i barwne, ale bezwonne złocienie jesienne. Kwiaty smutne, lub jak powiedział ktoś, kwiaty grobu.

Mają one jeszcze zapach swój, nikły i ledwie wyczuwalny. Zapach wspomnień. Zebrały się w nich natomiast wszystkie zewnętrzne barwy lata, czerwona, biała, liljowa, niebieska. Młodość na widok ich może jeszcze marzyć, ja mógłbym już zapewne jedynie wspominać.

Niosę je dla Lucy. Lucy wyjeżdża. Mówią, że trzeba jej świeżego powietrza i wysyłają ją na wieś. Dziwny pomysł! na samą jesień. Ale dziewczyna błądzić będzie wśród spadających liści, stąpać po złocie i ozdobi wiosną swoją park opustoszały.

Czuję, iż to ja powinienem wyprowadzić się, ale nie mogę przemódz się. Nie mogę pomyśleć o tem, że znalazłbym się sam w obcym pokoju hotelowym. Nadużywam gościnności, ale nie mam odwagi na oddalenie się od tych ludzi, którzy mnie przyjęli i ciągle proszą bym pozostał. Zżyłem się z nimi, czuję się im blizki. Niezabieram wiele miejsca, ani zadaję wiele trudu, a jak śmierci lękam się pustki i samotności!

I tak właściwie jestem sam na świecie. Stary już jestem, bo przyprószyły mi się włosy, potrzebowałbym opieki i życzliwości. Czuję i tak, że wkrótce i ja będę musiał gdzieś w świat podążyć, by snuć dalej utraconą nić, a teraz, gdy przechodzę koło tych palących się wokół ognisk domowych, szczęśliwy jestem, że los nadarzył mi jedno i jak znużony włóczęga zasiadłem przy jego płomieniu.

Dobry jest ten pan Raul i dobra jest Lucy.

Żal mi trochę, że wyjeżdża. Lubiłem spoglądać na nią i chciałbym tak zawsze patrzeć jak rozwija się i budzi a potem — wydać ją za mąż. Była czasem tak o mnie troskliwa, że chciałem pogładzić ją po włosach, a to przecież spora panna, która już dorosła. W ostatnich dniach była tak chmurna, że chciałem śmiać się z niej jak z dziecka. Wiem, że kwiaty te ucieszą ją i że będzie kiedyś na wsi młodym swoim i dźwięcznym głosem deklamować wiersze starego dziś poety.

Myśląc tak przekręcił klucz i podążał do swego pokoju. Pana Raula nie było w domu, a mieszkanie zaległa ciemność. Gdy przechodził przez salon, wydało mu się, iż dostrzega koło okna jakąś postać zagłębioną w fotelu.

— Dlaczego pani siedzi tak po ciemku? Czy pozwoli pani, bym zapalił światło, panno Lucy?

Panienka zerwała się i złota powódź spłynęła na pokój, rozjaśniając lśniącym połyskiem rzeźby, bronzy, ramy obrazów. Lucy stała przy zapalniku elektrycznym. Była ubrana w ciemno - niebieską sukienkę, która odsłaniała zgrabne nóżki w delikatnych pończoszkach, przybrane w błyszczące czarne pantofelki. Ale twarz dziewczyny była blada a powieki o rzęsach długich i ciemnych zmrużone chroniły oczy przed nagłym przypływem światła.

— Rozmyślałam, ale skoro pan chce, zaświeciłam lampy. Zresztą czekałem na pana.

— Niema pana Raula?

— Niema! wkrótce zapewne wróci. Ale jeśli panu czego potrzeba, może ja mogę załatwić

— Niepotrzeba mi niczego, panno Lucy. Proszę tylko podać mi wazon i przyjąć ma drogę te smutne, biedne kwiaty. Byłem niestety tak roztargniony, że dopiero wracając do domu,

przypomniałem sobie, że pani jutro wyjeżdża. Na ulicy nie mogłem już nic dostać, prócz tych chryzantemów.

— Jakie piękne! jakie wielkie! Więc pan teraz dopiero pomyślał, że wyjeżdżam?

— Myśleć to, myślałem już dawno, ale zastanowiłem się dopiero teraz. Wkrótce zresztą zapewne i ja wyjadę.

— Po co? czy panu źle jest u nas?

— Są takie losy ludzkie, co prowadzą ze świata w świat. Pani nie wie o tem, a przecież wie, że ukrywam się, że przyjąłem cudze nazwisko. Niech pani ceni to, co ma, dobrze jest posiadać swój dom i swoich bliskich ludzi.

— Pan niema tego. To niech pan u nas zostanie na zawsze!

Zbliżyła się doń i mówiła, gorączkując się:

— Ja wyjadę i tak... będę przyjeżdżać tylko w dłuższe święta. Dziadek przypuszcza też, że pan u nas zostanie. Mnie wysyła, gdyż mówi, że nie wystarcza mi już opieka staroświeckiego mężczyzny. A dla pana ma tak dużo życzliwości. Mówi, że pan musiał wiele cierpieć i chciałby, by mu było dobrze. I mnie też bardzo chodzi o szczęście pana. Co tam w porównaniu z tem znaczy moje życie, ale oddałabym je byle panu przynieść radość.

Pochyliła przed nim głowę. Czarski nie oparł się i położył na tej głowie rękę, ale nagle ogarnął go dziwny dreszcz, gdyż rękę tę pochwyciły drobne dłonie i poczuł na niej drgające, przytulone wargi dziewczęce. Ramiona jego same ujęły Lucy, a usta chciały dotknąć włosów zlekka, gdy nagle napotkały kobiece już, ciepłe wargi i nieświadome tego, co czynią, piły z nich słodycz żywą a bezmierną.

Trwało to jedno mgnienie oka, gdy Czarski

opamiętał się i cofnął. I ze zdumieniem wówczas spojrzał na pannę. Przed chwilą zdawało mu się jeszcze, że mówi z dzieckiem, a teraz widział w niej kobietę, w jednej chwili zmienił mu się w oczach cały świat. Przerażone jego serce jakby nagle ucichło, jakby zamarło nagle z lęku, iż się obudzi. Ciepły pocałunek owiał całą jego istotę i — cofnął się, by nie dotknąć więcej Lucy.

A ona zarumieniona, ze świecącemi oczami, szeptała doń:

— Pamiętać cię będę wiecznie, czy wiesz? Pamiętać cię będę, choćbym nie wyszła za ciebie. Dlatego jesteś mi drogi, żeś odmienny od wszystkich innych. Żeś sławny, a ukrywasz się, że milczysz, choć nie jesteś szczęśliwy.

— Szaleństwo! to szaleństwo, panno Lucy! Ja przeżyłem wiele, a pani jest dzieckiem. Pani zapomni mnie, nim ujrzymy się znowu. Pani zasługuje na mój gniew, chociaż bardzo wdzięczny jestem, że tak dobrze myśli o mnie.

A dziewczyna ochłonęła już też i zwiesiła główkę.

— Czy pan lubi mnie?

— Bardzo!

— Spotkamy się kiedyś znowu. Ja wiem, że pan ma jakieś myśli, które dręczą go. Ale ja będę pamiętała. Jeżeli pan wyjedzie, to niech donosi ojcu, co dzieje się z nim, co porabia? Ja wiem, że są karty w życiu artystów, których ja czytać nie mogę. Są tajemnice, które nie każdemu czytać wolno. Ale ja poznam je, jeśli zostanę pańską żoną i czekać będę, aż pan przyjedzie po mnie i powie, że już wszystko skończyło się, że jest wolny.

— O czem pani mówi, panno Lucy?

— Wszakże słyszałam nieraz o życiu arty-

stów. Ale pan jest nam taki bliski, swój i dobry, że w przeszłości pańskiej nic strasznego być nie może. Ja to wiem i dlatego czekać będę na pana.

Czarski milczał. Zdawał się pochylić bardziej jeszcze, niż zwykle. Twarz jego nabrała bolesnego wyrazu. Potem rzekł głosem poważnym i spokojnym:

— Czy panienka obiecuje być grzeczną?

— Tak!

— Proszę się przybliżyć.

Ujął jej obie ręce i patrzył w jej jasne, czyste oczy.

— Idę teraz do swego pokoju i proszę dziadkowi powiedzieć, że zostanę tam już dziś. Lucy jutro wczas rano odjeżdża.

Złożył cichy pocałunek na głowie jej, pogładził jej włosy, i rzekł:

— Nie wiem, czy więcej zobaczymy się. Nie znam kart własnej przeszłości i wyrzuszę wkrótce czytać je. W każdym razie dam ci jakiś znak życia.—Do widzenia, Lucy!

XI.

Są chwile niespodziewanego szczęścia w życiu i przychodzą nieraz podczas ciężkiego zawodu i zwątpienia. Taką chwilą dla Czarskiego było odkrycie niespodziane miłości panny Adamieckiej. Rozumiał oto, iż on, który stracił wszystko, znalazł skarb, który mógł mu bezmierne bogactwo pogody i słońca zapewnić. Mógł się rozpocząć dla niego szereg lat, opromienionych blaskiem, a ogrzanych ciepłem serca młodej dziewczyny. Marzenia jej mogły stać się rzeczywistością, gdyż płomień, który zapalił się tak nagle, nie zgasłby już, gdyby podtrzymać go zdołał.

Świeżość konwalji spłynęła mań z dziewczęcych warg Lucy. Słodycz i marzenie pierwszej jej miłości. Odebrał jej ostatecznie pocałunkiem swym dzieciństwo duszy i rzucał pierwszy ożywczy ogień w dziewictwo uczuć jej i ciała.

Dlatego jednak przedewszystkiem cieszył się, iż—był kochany. Był nim, pomimo włosów na skroniach srebrem świecących, mimo zmarszczki na czole, której tajemnicy nie mógł odgadnąć, mimo pragnień swych i dążeń, tak bardzo teraz od życia wszystkich ludzi odległych.

W zwiątpieniu swem i wiecznem odwracaniu się ku przeszłości, dostrzegał, że tuż obok niego rozkwitła miłość. A jednak nie mógł jeszcze oderwać wzroku od tych widm, które blade i nieuchwytne jawiły się przed nim, nie mógł zapomnieć o tem, że podążać naprzód jeszcze mu nie wolno, a z mgieł rozpierzchłych jawi się przed nim twarz kobieca inna, starsza nieco, bardziej bolesna mieckreślona, a niezapomniana i cudowna.

Długo w ową noc po pocałunku myślał o Lucy. Nie kochał jej, gdyż jego serce, które czuło już dawniej wiele, nie uderzało tak zniena cka, i tak gwałtownie, ale świadom był, że mógłby z nią być szczęśliwy. Upokarzał go przytem prawie ten tak bogaty dar, który chciała oddać mu znużonemu życiem i użyciem. Usta jego nie szeptały w tęsknocie jej imienia, ale w odzach swych taił teraz dla niej zachwyt, domyślał się, że to dziecko prawie mógłby na rękach nosić i uwielbiać.

Nieszczęsny był ten „człowiek bez przeszłości," który nieśmiało i w lęku stał przed progiem nowego bytu. Patrzył na ręce swe, dotknięte przez usta dziewczyny, a oznaczone jeszcze śladem ciężkiego fizycznego trudu. Przypominał so-

bie potem to słodkie imię „Ewa," które posłyszał u Stefy Mirównej. Powoli noc, która wzeszła dlań wyzłocona takim blaskiem, jaki sieje zorza północna wśród śniegów krainy polarnej, zmieniła się dlań w czarę gorzką wahania i udręki, którą pił niestrudzony, bez znużenia, pił dobrowolnie aż do świtu.

A było to w przeddzień owego dnia, w którym jedną ważną kartę uchylić miał przed nim „dzień wczorajszy."

Rano nie słyszał już odjazdu Lucy. Wstał późno, czytał potem nowe książki, które polecił przysyłać sobie z księgarni. Koło południa dopiero zobaczył się z panem Adamieckim. Zauważył zaraz dziwną zmianę, jaka zaszła w jego gospodarzu. Stracił humor, zestarzał się, tęsknił już za swoją „dziewczynką." Czarski zwrócił się doń z zapytaniem:

— Lucy wyjechała na wieś do krewnych?

— Tak! pan rozumie, że nie wystarcza już jej moje towarzystwo. Dziewczyna dorasta, potrzeba jej kobiecej opieki. Poczynała mi też mizernieć w mieście. Jesień będzie pogodna. Na wsi jest ruch i świeże powietrze...

— Lucy wyglądała dobrze. Jeśli chodzi o towarzystwo dlaczego raczej nie postarał się pan tutaj o jaką kobiecą opiekę? I dla wnuczki również musiało przykre być to rozstanie..."

Stary pan nie odparł nic. Czarski uczuł, że w tej chwili po raz pierwszy nie jest gościem mile widzianym. Stawał się natrętem, który pozwala sobie mącić smutek, a przez pytania swe nadużywał praw, jakie nadała mu gościnność. Nie miał odwagi podejść i powiedzieć poprostu: —Rozumiem pana, panie Adamiecki. I mnie jest bardzo żal, że „dziewczynka" wyjechała.—Prze-

czuciem samem odgadł ból i przeczucie kazało mu wstrzymać się od serdecznych słów.

— A jednak nadużywam uprzejmości ich, nie należąc do ich rodziny—pomyślał sobie—i dobrze będzie gdy niedługo stąd pojadę.

Ten wyjazd teraz nie przerażał go. Już nietylko przeszłość wołała go, ale przyszłość. Miał przed sobą cel, nieuchwytny może, ale dlań już i w bieżącem życiu podnietę i oparcie.

A tymczasem ludzie, którzy śledzili go wczoraj, nie spuszczali z oka jego domu. Nie wybijali się z szarości tłumu. Ruchy ich twarde były i szorstkie, ubrania niegdyś czarne wypłowiałe były i wytarte. Niechętnie widać wychodzili na światło dzienne, gdyż starali się nie zatrzymywać na jednem miejscu, by nie zwracać uwagi, szukali skupień ludzkich podążali to tu to tam.

Dobrze zmierzchało już, gdy Piotr wyszedł, jak zawsze po południu. Gdy dawniej spieszył szukać zmierzchłych wrażeń, dziś dążył po prostu, by pić powietrze, by przejść się i poić harfianią melodją zbliżającej się jesieni.

Gdyż liście dźwięczały dzisiaj, szemrały, uderzały jeden o drugi. Pusciej było tu niż zwykle, a autor „Oceanid" szedł prosto przed siebie.

Nagle wyrosły przed nim dwie ciemne postacie. Jakiś głos, w którym zdawało się, że słyszy dronję, odezwał się doń:

— Jak się miewasz, Piotrze Czarski!

Zatrzymał się. Sądziłby, że to napaść, gdyby nie to posłyszane imię i nazwisko.

— Kto wy jesteście?

— Nie poznajesz już nas?—odezwał się głos półurągający, półniespokojny.—Józef Wawrzoń i Antek Bielowski. Spyszniałeś bardzo, że trzeba ci się przedstawiać!

Czarski ujął oburącz wyciągnięte do siebie dłonie i milcząc zaprowadził zaczepiających go w miejsce odsłonięte, gdzie było jeszcze więcej dziennego światła. Spojrzał badawczo w twarze ich pospolite i proste, ale nie bez wyrazu męskiej siły i twardej mocy żywotnej. Wiedział, że z ludzi tych jednem słowem może uczynić sobie przyjaciół albo wrogów, a serce nie pozwalało mu nic urazić ich właśnie dlatego, że on byli tacy pospolici.

Patrzył w skupieniu w twarze ich, ale nic nie mógł przypomnieć. Stał w zakłopotaniu, gdy posłyszał znowu głos:

— Nie poznajesz nas, bo dobrze ci się powodzi. Ale pilnuj się, gdyż jesteś sam, a wara ci nie popłacić długów przyjaźni.

Roześmiał się. Ta groźba w imię przyjaźni nie przeraziła go wcale.

— Chodźcie na ławkę— rzekł. — Nie potrzebujecie tutaj obawiać się towarzystwa. Usiądziemy i pogadamy...

Znaleźli się we trzech pod sztachetami zamkniętego parku. Wówczas rzekł:

— Posłuchajcie Antek i Józek, jak się zwiecie. Kochałem was, bo domyślam się, że mieliśmy niejednę sprawę wspólną. Ani myślę znajomości się zapierać. Widzicie jednak, zanim „poczęło mi się dziać dobrze“ miałem wypadek. Uderzenie w głowę, czy coś podobnego. Dawno rozstaliśmy się?

— Trzy miesiące temu.

— I żyliśmy dobrze.

— Dzień po dniu.

— Gdzie to było?

— W dokach portowych pod New Yorkiem!

Czarski słuchał jak fantastycznej powieści... A jednak... te ręce, z któremi wrócił... Ten czas,

spędzony w tak bezmiernem ukryciu, że nie przyszła o nim żadna wieść do kraju.

— Skąd dowiedzieliście się, że tu jestem?

— Oho! nie pierwszy już dzień chodzimy za tobą. Nie ukryjesz się, druhu miły. Wiemy, żeś zmienił nazwisko. Jakieś nieczyste sprawy musisz mieć teraz.

Czarski chciał odpowiedzieć szyderstwem, ale powstrzymał się. Cóż winni ci ludzie, że ich nie poznaje? Skąd mogą domyśleć się, że on istotnie nic nie pamięta?

— Nie spierajcie się ze mną—rzekł.—Ty wysoki jesteś Wawrzoń, a ty krępy Bielawski.

— Widzisz, że jeszcze nie zupełnie od nas odstałeś—odparł z zadowoleniem Bielawski.—Żyłeś z nami dobrze. Pomagaliśmy ci nieraz, bo też niedołęgą byłeś na boskie zmiłowanie.

— I nigdy nie mówiłem wam, że stąd pochodzę?

— Nigdy. Wiemy, że tułałeś się długo w Hamburgu. Myśleliśmy, że uciekasz skądś, ale prowadziłeś się potem zawsze porządnie.

— Stawałeś tylko czasem nad brzegiem i patrzyłeś w stronę kraju—dodał Wawrzoń.

— Stawałem tylko czasem nad brzegiem i patrzyłem w stronę kraju.

— Nie umiałeś nic. Pielęgnować cię trzeba było jak małego. Ale nam żal cię było i pomagaliśmy ci zawsze we dwóch. Nie jedną robotę odstawiliśmy za ciebie, a ty czasem budziłeś się i w nocy krzyczałeś: Ewa!! Ewa!

— I wiedziałem swoje nazwisko.

— Było w dokumentach podróżnych. Zgubiłeś potem je i nie mało mieliśmy z tobą kłopotu.

— A kiedy wyjechałem?

— Zniknąłeś raz bez pożegnania, ale byliśmy spokojni, bo wiedzieliśmy, że masz zarobione pie-

niądze. Trochę przykro nam było, że nie przyszedłeś się pożegnać. Widzieli cię nasi znajomi, gdy wsiadałeś na statek, podążający do Europy. A my dziś biedni, nuszyliśmy wkrótce po tobie. Okradziono nas. Nie możemy znaleźć zajęcia.

— Zarabiamy na życie, jak się przydarzy— dodał Wawrzoń.

— Słuchajcie— wyrzekł Czarski energicznie.—Pomagaliście mnie, to i ja wam dopomogę. Dzieje mi się dobrze. To prawda. Jestem zamożny i mogę dać wam tyle, że stworzycie sobie warsztaty uczciwej pracy. Nie sądźcie, bym wstydził się was. Ale nie pytajcie o nic. Nie dziwcie się niczemu. Może odpowiem za chwilę, za godzinę, gdyż już pod wpływem waszych słów wyłania się przedemną coś z mgieł. Miałem wypadek, mówiłem wam. Wypadkowi temu zawdzięczam, że nie potrzebuję się o byt troszczyć. Chcecie jeść?

— Czekaliśmy z tem na ciebie.

— Głodni jesteście? Przyznajcie się! Chodźcie!..

Poszli razem. Dwóch włóczęgów o podejrzanem teraz zajęciu i towarzysz dawniej ich pracy mozolnej Piotr Czarski, autor „Oceanid". Nie mógł patrzeć bez wzruszenia na tych świadków dalekiej swej doli. Nie mógł pomyśleć bez drgnienia serca, że dzielili z nim może ciężko zarobiony kawałek chleba, że nie opuścili go po tym obłędnym wyjeździe na obczyznę. Byli to dla niego dwaj świadkowie bezcenni, którzy wracali mu szereg lat życia, rozjaśniali jedno z zapytań, które go dręczyło. Gdyby mógł, ściskałby im jeszcze teraz na ulicy te szorstkie dłonie, które pracować miały obok jego rąk i osłaniać od śmierci głodowej może wątłe tchnienie jego nieświadomego bytu. Wyrósł obecnie, ale przedtem stał niżej od nich. W metamorfozie istnień swoich stał kiedyś

obok nich cichy, niedołężny, w stronę kraju patrzący, w dokach okrętowych.

Usiedli wspólnie w tanim barze i poeta odczuwał dziwną radość w odtwarzaniu tej zaginionej chwili swego życia. Nie jadł sam nic. Cieszył się nimi, dolewał im do kieliszków. To jedno wiedział, że ci prości ludzie, przyciśnięci nędzą, prędzej zdołaliby obrabować go, gdy szedł z nimi samotnie, niż oszukać go i wymyślić tę całą historję. W twarzach ich czytał mieszaninę brutalności i przedziwnie ludzkiej dobroci, wierność w przyjaźni bezwzględność w nienawiści, żywot bez steru, kolej czynów zależna od przypadku. Wiedział, że z nimi można żyć przyjaźnie i bezpiecznie, że są w nich potężne siły, które można dla dobra i zła, dla piękna i hańby wyzyskać. A oni jedli i pili chętnie, nie gniewali się nań już, opowiadali wiele, rozwiązały im się języki.

Towarzystwo tutaj było podejrzane, kobiety publiczne i ich przygodni znajomi, rycerze księżyca, rzucający pieniędzmi hojnie, a obok tego ludzie oszczędni i skromni, o twarzach inteligentnych a wychudzonych. W drugim pokoju krzypek i pianista wygrywali rzewną pieśń, a podniecony Wawrzoń opowiadał:

— Czy pamiętasz? Odchodził wielki okręt z Nord American Line? Muzyka grała. Wynajęliśmy łódź i popłynęliśmy na morze. Wieczny ruch, kłęby dymu, łecące w górę z parowców, pełno żagli, łodzie i łódki. W barze i w porcie wesołe dziewczęta. Ty byłeś obojętny na to, aż gniewaliśmy się, ale my lubiliśmy się zabawić. Dlaczego teraz jesteś znów zamyślony? Dobra nasza! Doczekałeś się losu i majątku! Nad czem myślisz?

A Piotr odparł:

— Tak! istotnie przypominam sobie... Morze płynące falą z roztopionego szafiru. Na niem żagle... I ciemne dymy parowców... i dal, bezmierna dal pracujemy razem... i bar... wysokie krzesła... ludzie śpieszą się wchodzą i wychodzą, a w barze wy, ja z wami... i muzyka... i dziewczęta...

XII.

Wspomnienia lat ostatnich wróciły do Czarskiego. Przebiegały koło niego, oplatając jego głowę zwiewną koroną. Nie zawsze były wyraziste. Przypominał sobie tylko jak w stanie jakiegoś snu obłędnego, prawie bezświadomości oddalał się od kraju. Co czynił w tej drodze, jak utrzymywał się i z czego żył, tego nie miał dowiedzieć się już nigdy. Musiał jednak widocznie posiadać jakieś pieniądze, gdy wsiadał na okręt w Hamburgu. Czem jest, skąd pochodzi i gdzie jest jego dom rodzinny nie wiedział już widocznie wówczas. Widocznie garnął się do ludzi, którzy mówili mową ojczystą, skoro znalazł się pośród polskich uchodźców. Zdawało mu się jedynie, że przedtem długo błąkał się wśród obcych miast i ulic, zanim znalazł znowu niedołężne szczątki świadomości.

Z rozkoszą przypominał sobie teraz pierwsze próby pracy ciężkiej, ale pracy, która dała mu chleb. Przypominał sobie, jak dźwigał, uginając się, wielkie ciężary, pod któremi byłby może upadł, gdyby nie Wawrzoń i Biellawski. Obniżenie się jego inteligencji stało się zarazem jego obroną, gdyż nie wywoływał niechęci ani zawiści. Szedł w udręce ciała drogą krzyżową, nie myśląc o jutrze i nie pamiętając tego, co przeżył wczoraj.

W nocy wołał kogoś, a w dzień spoglądał w stronę kraju. Ujrzał teraz jeszcze raz to morze, wielkie mieniące się morze, które zostawił między sobą a progiem swej świadomości.

Szczęśliwy był wówczas, upadając pod żmudą trudów. Żadne zastanowienie się nie płoszyło mu pierwotnej rozkoszy i dosytu. Wtopił się w ludzki tłum w ogromną tęsknę bezimienną, pozbył się całej udręki swej wysokiej, przeczulonej duszy. A jednak cierpiał widocznie i wówczas, gdy biedny jego, półświadomy, chory mózg opędzał się od majaków niezrozumiałych i niejasnych.

Zapamiętał jedynie imię swe i Jej, tej Tajemniczej, której widoczne zarysy dostrzegał jakby na ekranie. Postać Jej pochylała się nad nim podczas snu i jawiła się przed nim Jej twarz wytworna i subtelna, zadając ból i budząc uśpione moce tęsknoty. Wampir duszy, zjawa z innego życia straszne Przeznaczenie. Wąskie usta jej owiewały go lekkim oddechem, a czuł że gdyby zdołał dotknąć ich, to byłoby już przebudzeniem w innym świecie.

Jakież silne musiało być to wrażenie, skoro on, błędny wędrowiec, przypominał sobie teraz jeszcze chwile swoich nocnych męczarni! Nie! może się myli? Może on nie żyje i nie żył nigdy. Wszakże wszystko to, co otacza nas i samo istnienie może być złudzeniem.

Prawdą jedynie było morze, statki i bar. W barze on, towarzysze, muzyka i dziewczęta, przyjaciółki ich i marynarzy. Po kątach brud na stole ciecz, rozlana ze szklanek, gburowate postacie, zniszczone policzki kobiet, pokryte grubo bielidłem i różem. Dym z fajek, pijacka werwa, Włoch idzie na noże z Irlandczykiem, a nazajutrz po tem święcie życia praca, jak codzień, przeni-

kająca wszystkie muskuły, mużąca aż do znękania i rozkoszy, mechaniczna i monotonna.

— Dajcie wódki!—towarzysze!—mówił teraz Czarski.—Znam was już, przypominam sobie, wiem, kto jesteście. Nie będziecie nędzy cierpieli tutaj, już ja pomyślę o tem. Chcę pić z wami, na cześć dawnego braterstwa. Co tam życie! Umrze który z nas, to będzie tylko na świecie o jednego człowieka mniej albo więcej. Jest nam dobrze, ciepło, mamy co pić i jeść! Spójrzcie, jak jasno i wesoło palą się te lampy! Pracowaliśmy długo, zasłużyliśmy więc na to by teraz spokojnie użyć! Powiedz Wawrzoń szczerze, z czego żyliście tu w Warszawie?

— Staraliśmy się zarobić, gdzie się dało.

— Zuchy jesteście! Dzielni towarzysze, jak dawniej. Zaśpiewalibyśmy jaką piosenkę amerykańską, ale tu ludzie nie znają tego, nie rozumieją!

— A ty chodziłeś wówczas na brzeg i patrzyłeś w stronę kraju...

— Patrzyliście niekiedy i wy! Nic tajcie mię przedemną! Słyszycie, jak ta muzyka gra od serca?

— Tak! od serca...

Czarski szarpnął portfel, który miał w kieszeni. Położył go na stół.

— Zapłacicie rachunek, a resztę bierzcie. Zobaczymy się jeszcze. Dotrzymam, do czego się zobowiązałem. Tylko chłopcy, teraz bez żartów. Mieć dom spokojny byt—to grunt. Dosyć tego tułaczego żywota! Wracajcie do swoich bliskich, każdy niech idzie już do swojej rodziny. Przychodźcie wieczór tu, a gdy będę miał więcej pieniędzy, to nadejdę także, by pożegnać was. Nie chcę, byście obwiniali mnie o niewdzięczność.

Podał im rękę jeszcze raz, a potem zawinął

się w gruby jesienny płaszcz i szedł do domu przez ulice...

XIII.

Stefa Mirówna przyjmowała dzisiaj gości. Gwar płynął przez oba pokoje, które stanowiły całe jej mieszkanie. Pani domu radośnie witała się z każdym, przystrojona w suknię ciemno lila, na piersiach i plecach głęboko wyciętą, a odsłaniającą ramiona i nogi smukłe a sprężyste.

Miejsca było mało, siadano więc, jak było można, a mężczyźni i kobiety nie lękali znaleźć się zbyt blisko siebie. Zebranie nosiło pozory świetne, gdyż umówiono się już z góry, że panie przyjdą w wieczorowych sukniach, a panowie we frakach, całe kółko bowiem, skłopotane często troskami życia, a pamiętne nieraz dawnej jego świetności, odczuwało potrzebę takiego spotkania się bez troski i w przybraniu strojnem i wytwornem, bodaj w wąskich ścianach dwóch pokojów.

Wszystko to byli ludzie świadomi radości, która spływa z piękna, nerwowi i wrażliwi, głodni wzruszeń i umiejący wydobyć z nich poezję. Otaczał ich teraz poprostu zalew kwiatów, które wyłaniały się z wszystkich kątów, z wszystkich wazonów. Stefa obchodziła dzisiaj swe zaręczyny, więc ozdobiono wiązankami i krzewami jej pokoje. Panował prawie półmrok, gdyż lampy otulone były w ciemnoczerwone zasłony, by zbytnia jasność nie raziła oczu.

Narzeczony panny, młody oficer ułanów Walikowski, lśnił w mroku nawet kołnierzem, wyszytym srebrem, a zwracał uwagę kształtną

i rosłą postacią. Miał świeżą, ściągłą twarz, rumiane policzki, brodę nieco wystającą i nos orli, pięknie zarysowany. Mówiono o nim: to zdrowy chłopiec i istotnie imponować mógł siłą i odwagą fizyczną.

Uroda Stefy bardziej była intellektualna, bardziej miejska, ale naogół wypowiadano sąd iż dobrze się dobrali. Byli oboje zgrabni i rośli, duchowo zupełnie odmienni, a jednak spoglądający wzajem na siebie z sympatją i widocznem już pożądaniem.

Były to zaręczyny bez tradycji, bez błogosławieństwa i zamieniania pierścionków, a miały być jedynie publicznem podaniem do wiadomości obopólnego zamiaru. Wiedziano zresztą o nim nie od dziś i dawniej już składano życzenia tak wojskowemu jak literatce. Obecnie uświetniano jedynie sam fakt i cieszono się z tego, że znalazła się przyczyna do wesela i radości.

Sławny krytyk literacki, z przystrzyżoną bródką, który siedział na poduszce u stóp zgrabnej francuski, przyjaciółki Stefy, panny Dorce, tak jej całe to zebranie tłumaczył:

— Niech pani nie dziwi się niczemu, co zobaczy, gdyż zebraliśmy się tu dla pustoty i uciechy. Kto tylko może z pośród nas inteligentów, rzuca pióro i mozolne nieraz zajęcie, by spotkać się z innymi i zabawić jak dziecko. Czujemy potrzebę odnowienia młodości naszej, bawienia się niczem, potrzebę werwy, życia i ruchu. Nie w modzie dziś melancholijne twarze romantycznie. Przez cały świat idą hałaśliwe tony murzyńskich muzyk i foxtrotta. U siebie w redakcji siedzę poważnie w fotelu, protegując i mordując młodych literatów. W tej chwili bawię się, śmieję się, choćbym do tego nie miał żadnego powodu i

gotów jestem dla psoty wprost rozwiązać wstążeczkę na pani pantofelku.

— Drogi panie... widzę, że muszę zmienić miejsce...

— Nie wykonam zapowiedzi, najpierw dlatego, że żart, który zna się zgóry, traci swoją brylantową, że tak powiem świetność, następnie i dlatego także, że byłby on niewłaściwy wobec kobiety. Powiem pani tylko tyle, że siedzę na podłodze niewygodnie, że bolą mnie kolana i jutro boleć będzie krzyż, a jednak w tej chwili jestem bezmiernie szczęśliwy i gotów śmiać się całą idjotyczną gamą wesela.

— A zatem dla kobiet macie pewne względy! Ta swoboda w zachowaniu się może was jednak zbyt daleko prowadzić.

— Bardzo rzadko. Jesteśmy na to za ciężcy i za poważni. Posłucha pani zresztą intelektualizmu naszej rozmowy. Ojcowie nasi często nazwaliby ją rozpustną, a w nas nie wywołuje ona nawet lekkiego dreszczu, idącego wzdłuż łopatki. Żyjemy pozatem uczciwie, pracujemy po czternaście godzin na dobę, poświęcamy się dla społeczeństwa i dla celów publicznych. Mamy zmizerowane często twarze, lecz wśród wiru, w jakim żyjemy, oddajemy się chwilami beztrosce i pustemu weselu. Nie wszyscy jesteśmy, jak ten Walikowski.

— Piękny chłopak.

— Chłopak przedewszystkiem. Różowa lalka bez krzty transcedentalnego celu. Sto razy bardziej zepsuty od naszej rozpusty i chodzących nam po kościach dreszczów. Co w nas wszystkich jest nieświadomą nieraz tęsknotą do piękna i poezji, u niego jest tylko żądza i—dlatego może właśnie Stefa będzie z nim szczęśliwa.

Zadzwonił ktoś. Pośpieszono otworzyć.

W przedpokoju rozległy się posuwiste, ciężkie kroki. Znało je już towarzystwo.

— Archiwarjusz Gordon!—zawołano.

Ukazał się człowiek ubrany w długi surdut czarny, o szerokiem jedwabnem wyłożeniu i w aksamitną kamizelkę w kwiaty. Wszystko na nim zdawało się pochodzić wprost ze sklepu czy od krawca i błyszczało od świeżości, a zarazem było cudaczne i staroświeckie.

— Więc to jest ten alchemik, spirytualista!— zawołała francuska.

Słowa te, wypowiedziane głośno, dobiegły aż do zainteresowanego. Wdzięcznem spojrzeniem oblał urodziwą postać francuski. Stał z bukietem w ręce, ale go nie podawał. Zręcznym gestem wydobył kolorową chustkę z poły surduta i obtarł sobie, zroszone widocznie czoło.

— Oszust!—syczał krytyk przez zęby.—Chce złoto zmienić w ołów, żeby świat zrujnować. Mógłby toaletę kończyć w przedpokoju.

Pojawienie się archiwarjusza powitano z radością. Ukłonem powitał towarzystwo, zimnym wzrokiem prześlizgując się po rozłożonym prawie na podłodze krytyku, a potem podał bukiet Stefie rzucił jej prawdopodobnie kilka staroświeckich komplementów, poczem odrazu stworzył sobie kółko i opowiadał coś głośno, wywołując nieopisane wybuchy radości.

Ale gospodyni zauważyła zaraz, że towarzystwo dzieli się, a gwar milknie, opanowany dominującym głosem gościa. Szepnęła coś narzeczonemu, a ten natychmiast odszedł i otworzył fortepian.

— Zaśpiewaj coś archiwarjuszu! — wołano wokół.

Przybysz nie ociągał się i usiadł przy fortepianie. Rozpoczął najpierw fantastyczną przy-

grywkę a potem wydął mocno pierś i zlekka zachrypłym, ale zato potężnym głosem zaśpiewał arję Torreadora.

Zaledwie wybiegły pierwsze tony pieśni pięknej, chociaż starej jak świat, gdy całe towarzystwo poczęło wtórować. Nucił każdy, jak mógł, uniesiony nagłym zapałem śpiewał nawet krytyk i śpiewała po francusku panna Dorce. A długie palce grającego uderzały coraz głębiej i mocniej. Chór podniecał się mistrzem, a mistrz stosował się do chóru. Melodja rwała w strzępy duszę, targała struny i rozbijała akordy, nabierając rytmu rozhukanego fokstrottu.

— Dosyć archiwarjuszu! dosyć!—wołano.

Tajemniczy alchemik, człowiek, który błądził po przestrzeniach rozdwajając swoją duszę, ukłonił się i przyjął, podaną sobie filiżankę herbaty.

Stawało się tymczasem coraz rojniej, ściany rozstępowały się, by przyjąć gości. Śmiech, gwar i ruch huczały bujną falą i było już późno, gdy archiwarjusz wrócił z drugiego pokoju z tacą, kieliszkami i dwoma butelkami wina. Ujął potem ostrożnie jeden kieliszek w rękę, nalał weń lśniącego płynu i podnosząc go w górę powiedział:

— Mówili nasi ojcowie, że kto umie cieszyć się życiem, ten potrafi także być szczęśliwym. Czystość uczuć najlepszą wróżbą jest trwałej miłości. Niech żyją narzeczeni!

— — — — — — — — — — — — — —

Goście rozeszli się i Stefa znużona nieco i już senna usiadła w sypialnym pokoju. Pod wspaniale haftowaną, wzorzystą makatą kryło się tam jej panieńskie łóżko, w którem tyle prześniła, tyle przemarzyła. Krew w żyłach jej uderzała teraz jakiemś nierównem tętnem, podniecenie dziwnie ogarniało ją mimo znużenia. Obok niej

uklął młody ułan piękny i rosły, kochający i rycerski.

— Stefo! czy odejść mam? Powiedz Stefo!

Cisza panowała już, a pustka zaległa w obu pokojach. Na stole, który ustawiono w środku sypialni, pozostały resztki biesiady, cukry, filiżanki, niedopite kieliszki. Tyle osób tu było i wszystko stąd odeszło. Stefa myśli o tem, że dzisiaj jest z tym, który ją kocha. Kto wie, co będzie za rok? Czy to wszystko będzie trwać, czy szczęście przyniesie? Miał zatem ten przygotowany, oczekiwany jak wrażenie nowe — dzień zaręczyn.

Przyciemnione światło pada przez barwne abażury.

— Stefo! wkrótce będziemy dla siebie na zawsze... Czyliż mam odejść?

Ręce młodej panny wpijają się paznogciami w ramiona klęczącego. Na twarz wytryskają rumieńce. Oczy świecą się... Tak krótkie i niepewne jest przecież życie ludzkie. A potem obejmując klęczącego ramionami za szyję, mówi przytłumionym głosem:

— Dlaczegóż masz odchodzić? Zostań!

XIV.

Znalazłem dzisiaj kilka kart zapisanych przez siebie przed tygodniem. Jakież szaleństwo! Zostawiłem je w szufladzie otwartej! Spokojny jestem, że nie czytał ich nikt w tym domu, ale na przyszłość postanawiam sobie zamykać je starannie. Na przyszłość!... gdyż powstała we mnie widocznie dawna namiętność do krystalizowania swoich uczuć w słowa i do przekształcania ich w obrazy. W tych dniach przypomniałem sobie,

że mam podobno talent, marzyłem, chciałem stworzyć dzieło sztuki. Była godzina zmierzchu, pora gdy dawniej myśli moje biegły najszerzej, a zapalały się nieraz nagle jak światła ulicznych latarni. Daremnie! Krążą one teraz obłędnie wśród otaczających mnie zagadnień, wbiegają w tysiące ciemnych nisz, z których wyjścia niema, znużone potem wracają na światło, nie chcą już jego blasku i opadają w mroki melancholji.

Było to niegdyś... Pamiętam owe wędrówki wśród ogrodów, zaciągniętych mocą, gdzie każdy kwiat palił się światłem innem a barwnem i oddychał inną wonią. Myśli moje padały jak ognie, rozświetlając tu i owdzie skraj nieznanego świata, a głosy jakieś z ciemności wołały mnie do wędrówki to tu, to tam. Głosy te słyszę wokół siebie i dzisiaj, ale wzywają mnie już tylko w zamierzchłe mroki moich własnych przeżyć a postacie duchów stanowią dziś cienie tych, którzy mnie otaczali. O smutku bezmiernego rozstania, o tajemnico przeżyć zapomnianych!

Zapisuję dzisiaj niezwykłą przygodę, szczegół pewien, którego nie rozumiem. Spotkałem moich druhów z za Oceanu, którzy rozjaśnili mi zagadkę moich ostatnich lat. Byłem robotnikiem portowym, nie wyróżniałem się od miljonów ludzi, nie byłem tym, za którym biegną wężowe spojrzenia ciekawości. Uważali, że jestem cichy, pracowity, pożyteczny, towarzysz dobry, a nie umiejący się zabawić. Spędziłem teraz z przyjaciółmi mymi kilka przyjemnych godzin, a ponieważ widziałem, że są w nędzy, na czem silne zasady moralności ich cierpią widocznie, więc postanowiłem im dopomóc. Napisałem do księgarza z prośbą o przysłanie większej kwoty i otrzymałem od niego list, w którym prosi mię o przyby-

cie w ważnej sprawie, gdyż musi mówić ze mną niezwłocznie.

Z początku odrzuciłem list niechętnie, gdyż nie miałem ochoty znowu iść do człowieka, który wyzyskiwał mnie po mej pozornej śmierci i drukował bez żadnego pozwolenia me wykradzione rękopisy, pomyślałem jednak sobie, że księgarz ów jest jednym z tych niewielu ludzi, którzy wiedzą, kim jestem i uraza jego wiele może mi zaszkodzić. Nie chciałem też, by przyjaciele moi Wawrzon i Bielawski czekali długo na zapewnienie im przezemnie obiecanego bytu by oczekując na mnie, przepijali skromny zasiłek, którego mogłem im udzielić.

Udałem się przeto do księgarza. Wpuszczono mnie doń łatwo, a on przyjął mnie chłodno i uprzejmie. Pokazał mi najpierw książki, w których zestawione były wydania i wznowienia moich dzieł, a obok tego ilość sprzedanych egzemplarzy.

—Pan przyzna, że wszystko jest w porządku? — zapytał.

— Przyznaję najzupełniej.

— Nie chciałbym ściągnąć na siebie przedewszystkiem pańskich zarzutów — dodał chłodno. — Jakiej kwoty trzeba panu?

Wymieniłem sumę dosyć znaczną.

—Więc pan, panie Niemiro, Janie Niemiro, poświadczy mi jej odbiór znowu jako Czarski?

— Oczywiście, czyż ma pan jakie wątpliwości?

— Ach panie! idziemy coraz dalej w życie i dziś trzebaby już pewnych formalności, by pan posiadanie swego nazwiska udowodnił. Nie myślę jednak czynić trudności. Znaliśmy się, dawniej zbyt dobrze. Oto są pieniądze. Pozostaje teraz jeszcze rzecz druga. Sprawa tych ręko-

pisów, jakby pan wyraził się, „wykradzionych", a mojem zdaniem jedynie „ocalonych" dla piśmiennictwa. Znalazłem je zresztą wówczas poprostu. Były bez właściciela, opuszczone i bezdomne. Nie wiem, jakby sprawiedliwość ludzka rozstrzygnęła moją słuszną sprawę, chodzi mi więc o pismo ze strony pana, że oddaje mi je do druku i zrzeka się kroków prawnych z tego powodu, iż wydawnictw moich dokonałem bez jego pozwolenia. Pismo to dla uniknięcia możliwych wątpliwości może nosić datę dawną, z czasu przed "śmiercią" pana. Czy pan zgodzi się na to?

— Nie widzę powodu, by odmówić. Oświadczyłem już za pierwszym razem, że nie zamierzam występować przeciw panu. Co zaś chodzi o datę...

— To formalność, za którą będą bardzo obowiązany. Kwit jest rzeczą prywatną, jeśli nie zgłaszają się spadkobiercy. Umowę musiałbym może pokazać publicznie. Wszak panu nie zależy przecież na rozgłaszaniu jego istnienia. Prosimy zresztą o podpis, datę możemy dodać sami.

Wyjął i przedłożył mi gotowy tekst umowy. Głos jego przytem brzmiał szczególnie, a wzrok śledził mię badawczo. Czułem, że nie ufa mi i sprawiało mi to przykrość. Chciałem zresztą skończyć tę rozmowę. Przeczytałem szybko tekst i położyłem podpis.

—Dziękuję panu — powiedział mi wydawca. — Sądzę, że od tej pory stosunki nasze mogą być po dawnemu serdeczne i bez żadnego zarzutu. Może będę też mógł odwzajemnić się panu pewną — przysługą, o czem zaraz opowiem. Pan wie, że zaraz po zniknięciu pana udałem się do jego mieszkania. Byłem właśnie przypadkowo w mieście, gdzie pan przebywał. Zastałem biurko, piękne małe biurko, w stylu Ludwika

XV niedomknięte. W środkowej szufladzie były rękopisy, w innych kilka obojętnych listów. Skorzystałem z tego, że w mieszkaniu nie było nikogo, a wieść o pańskiej śmierci jeszcze się nie rozeszła. Zabrałem wszystko, listy po pewnym czasie spaliłem, gdyż uważałem, że zdobyłem je bądź co bądź nielegalną drogą. Rękopisy zabrałem do Warszawy.

Na ustach drżało mi pytanie, gdzie to było i w jakiem mieście właściwie mnie odwiedzał? Może tak łatwo mogłem się dowiedzieć? W słowach księgarza brzmiał jednak jakiś dziwny ton, z którego nie mogłem zdać sobie sprawy. Może i on myślał, że umysł mój obecnie nie jest w porządku, może dlatego zażądał przy podpisie dawnej daty.

— Rękopisy moje ogłosił pan... — ciągnąłem rozmowę dalej.

— Ogłosiłem i sądzę, że dostał pan tutaj książki, które wysłałem pod adresem Jana Niemiry? Powodzenie ich było ogromne, przewyższające jeszcze dawne, do czego przyczyniła się pańska jakoby śmierć tajemnicza. Był jednak między pańską puścizną literacką pewien fragment, który zbyt krótki był, by nadawał się do druku. Składał się on z kilku włożonych w siebie kartek, z których tylko pierwsza strona była częściowo zapisana. Był to najwidoczniej jakiś pomysł zaledwie rozpoczęty, rzucony na papier, zapomniany. Nie wyrzuciłem go, gdyż ozdobiony był pismem Piotra Czarskiego, ale schowałem między najcenniejsze pamiątki. Obecnie, regulując moje sprawy z panem, zajrzałem i do tego rękopisu. I niech pan wyobrazi sobie, że między czystemi kartami znalazłem pewien szczegół, który zapewnie będzie pan chciał odemnie wydostać. Mogę

go obecnie panu ofiarować, gdyż oczywiście nie zamierzam go sprzedawać.

To mówiąc podał mi zapisany kilku słowami bilet wizytowy.

— Nie rozumiem... dlaczego miałoby mi na tem zależeć?

— Niech pan przeczyta... Biletu tego zapewne szukał kiedyś pan, a on tymczasem dostał się między białe karty leżącego na biurku rękopisu.

Czytałem. Kartę tę mam dotąd u siebie i nie wiem, co z nią począć? Napisane na niej: „Przyjdę dziś wieczorem, gdzie umówiliśmy się. Henryk Hesse".

Drugi raz posłyszałem to nazwisko. Widziałem posiadacza jego na portrecie u Stefy Mirównej i pamiętam, że twarz jego sprawiła na mnie żywe wrażenie. Widocznie jest to ktoś, kto żył dawniej ze mną blisko. Ale dlaczego miało zależeć mi na tych kilku jego słowach?

Wydawca, widząc jak małe sprawił wrażenie, zmieszał się. Zdaje mi się nawet, iż gdy spojrzałem nań, z lekka się zaczerwienił.

— Niech pan spojrzy na datę — dodał później.

— ...Dwudziestego czwartego marca...

— Tak dwudziestego czwartego marca. Było to na tydzień przed zniknięciem pana.

Poczem nagle zmieniając ton dodał jeszcze:

— Zresztą wszystko to nie może mię nic obchodzić. Uważałem za stosowne oddać kartę tę panu, jako rzecz prywatną. Wolę nawet, iż posiadać jej nie będę. Cieszę się też, nie wywołuje ona w panu żadnych wspomnień...

Rozstaliśmy się w zgodzie i dobrze. Prosił, bym odwiedzał go częściej. Czytam teraz niekiedy te wyrazy, których zrozumieć nie mogę: „Przyjdę dzisiaj wieczorem... Dwudziestego

czwartego marca... Henryk Hesse". Mylił się jednak wydawca, sądząc, iż karta ta nie wywołuje na mnie żadnego wrażenia. Budzi we mnie niechęć i palce moje drżą, kiedy jej dotykam. Nie będę jej zostawiać! Wrzucę ją w ogień!

Wieczorem poszedłem do baru, gdzie miałem nadzieję spotkać swoich towarzyszy. Byli już tam istotnie. Zauważyłem, że ubrani byli lepiej niż poprzednio. Czekali na mnie niecierpliwie, ale wątpili, czy przybędę.

— Porządny człowiek jest z ciebie, Czarski,— powiedział Wawrzeń tak głośno, że lękałem się, że posłyszy go ktoś z obecnych.

— Ostatecznie mogłeś uważać już wczoraj, że odwdzięczyłeś się nam—dodał drugi. Trudno nam poznać teraz, jak zmieniłeś się. Jakiś pański jesteś, że chociaż zawsze szczery i serdeczny. Wyrażasz się inaczej.

— Opowiadajcie mi! opowiadjcie o tym czasie, który z wami spędziłem!

Mówili chętnie. Upajałem się muzyką ich słów. Nalewali mi do kieliszka, piłem razem z nimi. Muzyka grała a w oczach stawały mi minione lata, rok za rokiem tydzień za tygodniem. Powodziło mi się niekiedy dobrze, potem znowu byliśmy bez zajęcia, chwile głodu, potem znowu była praca, pieniędzy wbród, uciechy świąteczne. Chorowałem kiedyś długo, przez kilka tygodni. Odwiedzali mnie w szpitalu. Gdy zdarzały się czasy ciężkie, a chociaż jeden znalazł pracę, to pomagał innym. Bielawskiego posądzono raz o kradzież. Nie chce mówić czy słusznie? Siedział w więzieniu! I ja z nimi żyłem ciągle razem! Jakie to wszystko dziwne! Czy to możliwe!

— Powiedzcie mi! powiedzcie, co opowiadałem wam o sobie!

— Kto tam od ciebie mógł się czego dowie-

dzieć! Sądziliśmy, że albo skryty jesteś, albo też raczej nie masz co opowiadać. Uważaliśmy cię za niedołęgę, za dobre, ale trochę ograniczone stworzenie, które zmarnieje bez opieki, dlatego też zajęliśmy się tobą, dlatego.

Wiem już, dlaczego wydawałem się niedołężny. Kąpałem się w mroku podświadomości z wyjątkiem tych chwil, kiedy śniłem. Co znaczyły zresztą moje wątłe stosunkowo siły, wobec ich wyjątkowo potężnej mocy fizycznej.

Opowiadajcie! opowiadajcie mi!

Rozdzieliłem między nich dużą część tego, co otrzymałem od księgarza. Nie dziękowali mi bardzo. Uważali to trochę za należność, ale byli radzi i weseli. Jeden kupi grunt a drugi założy sklep i olśni wszystkich swą techniką amerykańską.

Jak wiele jednak posiadam pieniędzy. Ileż mogę zapewnić szczęścia. Widzę ich po raz ostatni. Domyślam się tego. Rozstaję się z nimi na zawsze.

— Może jednak jakiś szczegół... może jednak mówiłem coś o sobie — pytam rozpaczliwie.

— Poczekaj — odzywa się Wawrzeń. Zdaje się, że opowiadałeś raz nam, że przyjechałeś do Hamburga z miasta „starych wież", twierdziłeś, że zostawiłeś tam dom i majątek. Ktoby ci jednak był wierzył!

A zatem o przeszłości mej wiem teraz tylko, że przyjechałem z miasta „starych wież".

XV

— Drogi panie! Niech pan nie dziwi się, że do pana piszę, ale był dzisiaj taki cudny zachód słońca, iż niemogłam powstrzymać się, żeby kil-

ku słów nie przesłać. Może też zaciekawią go pewnie szczegóły z mego życia, jeśli wspomnę jeszcze Lucy, która tak często myśli o panu.

Żyliśmy tak krótko blisko siebie, a nie wyobrażam sobie, bym mogła teraz wiecznie żyć od pana zdaleka. Zdejmuje mnie teraz czasem obawa przed wszystkiem złem, które grozić może osobom drogim dla mnie. Ogarnia mnie przerażenie na myśl, że może ich coś dotknąć, coś zasmucić. Jest w naszym parku ławka, dobrze ukryta i krzewami zasłonięta, do której wiedzie jedynie boczna, mało uczęszczana ścieżka. Siedziałam tam wczoraj i płakałam długo. Nieokreślone obawy dręczyły mnie o pana i pisałam już do dziadka, by przysłał mi o nim wieści.

Gdyż ja wiem, że nad życiem Jego ciążą ciemne chmury. Wiem także, ile światła mogłoby być między nami. Widzę fale, złote muzyczne fale i zarazem straszny smutek mnie ogarnia, że mogłabym kiedy wyjść za innego.

Pusto mi tutaj i obco. Smucę się tem, że musiałam zostawić samego dziadka i żal mi wszystkiego, czego tutaj niema.

Próbowałam grać, coś układać. Mam tutaj dużo czasu i swobody, gdyż krewni moi zajęci są tysiącem rzeczy, które mnie nie obchodzą. siadłam więc wczoraj w pustym salonie i próbowałam zagrać jakąś melodję. Żartować pan pewnie będzie, ale musiałam przestać, gdyż pierwsze dźwięki wzruszyły mię do łez. Wyszłam wówczas przed dwór i patrzyłam w przestrzeń długo, długo.

Dlaczego ludzie tacy, jak pan, muszą cierpieć i taić się? Dlaczego szczęście samo nie schodzi do nich, by złożyć im dary najcudniejsze? Chwilami zrywa się we mnie bunt, bunt przeciw Opatrzności. Nie rozumiem rozłączenia się i

śmierci, nie rozumiem smutków, które czytałam w oczach Pana. I czyż mogę znaleźć na to radę? Dlaczego tak jest, dlaczego?

Nie chcę Panu robić przykrości, gdyż nie wiem nawet, czy coś znaczę w Jego myśli i dążeniach. Wiem jednak, że oddałabym z radością życie, byle było Mu dobrze, poświęciłabym się na śmierć, której się lękam, lub na mroki i trudy, które zniosłabym odważnie z nim razem.

To nie prawda, by życie Pana nie miało być czyste! To nieprawda, by nie można wszystkiego w niem usprawiedliwić i wytłumaczyć! Nie wyobrażam sobie, by miłość z kim innym mogła być równie wielką, czystą i jasną.

Czy pamięta Pan krótkie słowa pożegnania, czy wspomina Pan chwilę pocałunku? Nie wstydzę się go i dumnie podnoszę głowę.

Po obiedzie zaproszono mię wczoraj na przejażdżkę samochodem. Jechaliśmy długo i dosyć wolno wśród jesiennych pól i lasów. Wszystko piękne, czuję to, ale nie mówi nic to do mnie, gdyż Pan nie widział tego, nie mówi to mi nic o Panu.

Wieczorem zamknęłam się w pokoju i czytałam „Oceanidy." Nie mylił się Pan, przypuszczając, że zabiorę z sobą Jego książki. Są tutaj wszystkie, drogie moje przyjaciółki! Rozumiałam teraz dopiero niektóre wiersze, rozumiałam całą tęsknotę miłości. Ale... albo Pan nie pisze prawdy, albo i On kochał bardzo, takiem jakiemś dziwnem szalonem uczuciem, że mnie przejmuje aż lęk i zamiera mi oddech w piersiach. Kto ona była? Dlaczego nic wiem nic? Chciałabym się dowiedzieć.

Wogóle tak mało wiem o Panu! Nie opowiadał nigdy nic... Pytam się wierszy i tak w nich czasem jasno i słonecznie. A czasem zdaje mi się,

że to nie są nasze ziemskie światła, że te blaski są jakieś dziwnie barwne i gorejące, że te kolory wszystkie sam Pan stworzył.

Coś palącego spływa z nich na mnie. Coś obcego mojej duszy, ale nie—Nieznanego. Gdy skończyłam czytać je, zdziwiłam się, że łóżko moje nie zasypane jest pękami złotych liści, a wszystkie krzewy w ogrodzie nie świecą się, rozświetlone przez robaczki świętojańskie.

Dzisiaj na sercu lżej mi i lepiej. Jakieś nadzieje wstępują w nie. Przyniosłam kwiaty z ogrodu i rozrzuciłam je na Pańskie książki w podzięce za radość, którą mi dały, w czci i hołdzie dla—Dalekiego.

Ach proszę nie dziwić się i nie gniewać, że piszę ten list. Nie będę już pisać zapewne więcej i nie wymagam odpowiedzi. Ale tak trudno powstrzymać się, gdy serce ma się pełne i gdy zachód taki śliczny był, jak dzisiejszy!

Może też tajemnice które podejrzewam w życiu Pana, rozjaśnią się nadobre. Może zło, którego domyślam się nie jest niczem innem, jak nitką pajęczyny, zawieszoną na czerwonej bukówgałązce, którą wiatr rozerwie i odegna. Może kiedyś będziemy z Panem iść razem przez te dalekie łąki i pola. Wszak powiedział Pan te słowa słodkie: Do widzenia! Lucy...

XVI.

Pewnego dnia ukazała się w jednem z brukowych pism codziennych krótka wzmianka o następującej treści:

Powrót zaginionego autora.

Dziennik nasz pozyskał wiadomość, która poruszy niewątpliwie cały ogół. Jak twierdzą wta-

jemniczeni, jeden z naszych twórców, którego uważano za zaginionego od dawna, powrócił żywy, zdrów oraz pełen młodzieńczej werwy i znajduje się w Warszawie. Pamiętamy wszyscy tę chwilę, gdy rozeszła się niegdyś wieść, że zniknął bez śladu, nie uprzedziwszy o tem nikogo i nie pozostawiając po sobie żadnej wieści, żadnych papierów. Śledztwo, prowadzone w tej sprawie, nie zdołało rzucić na nią światła. Całe społeczeństwo nasze zajmowało się nią przez pewien czas i sądziło, że znakomity autor nie żyje już... A jednak!

Zwracałe uwagę w świecie literackim, że jeden z księgarzy naszych wydaje coraz nowe jego dzieła pochodzące jakoby z dawnych rękopisów. Zdumiewamo się, że utwory te, przez autora pogardzone, a odłożone na bok za życia, olśniewały wieczną świeżością i odsłaniały coraz nowe strony jego talentu. Niemożna się temu dziwić obecnie. Znakomity pisarz żył i dzieła te były tworzone widocznie później, już w jego dalszem życiu!

Nie gdzieindziej też, jak właśnie w tej księgarni, zauważył go w dniach ostatnich jeden z naszych młodych, a tak utalentowanych pracowników. Możemy czytelników objaśnić, iż jako zapalczywy wielbiciel muzyki przeglądał w „dziale nut“ najnowsze dzieła i zagłębiony był w czytaniu partytury. Przypadkowo podniósł głowę i zauważył poetę, podążającego do gabinetu wydawcy. Zbliżył się do przechodzącego i zamienił z nim kilka słów, uszczęśliwiony, że niezwykłej tej wiadomości będzie mógł udzielić naszemu pismu. Nie chcemy powiedzieć więcej, ale możemy pozwolić domyśleć się, że autor ów, wiecznie głodny wrażeń brał udział w jakiemś wielkiem,

trwającem przez lata całe przedsięwzięciu, może nawet w ostatniej wyprawie polarnej.

Muszą być powody, dla których ukrywa się obecnie, nie wymienimy więc jego nazwiska, strzegąc z całą dyskrecją pozyskanej tajemnicy. Może przecież podejrzenia nasze nie są słuszne, może pracownik nasz zauważył kogo innego zaczytany w partyturze, a rozmowę poprowadził z nim żartem ktoś przygodnie napotkany. W każdym razie zawiadamiamy o tem naszych czytelników, by gotowi byli na nowe, doniosłe wydarzenia w duchowem życiu Polski.

Tylko tyle! — wyrzekł Czarski. Nie przeminie kilka dni, a mieszkanie moje wyśledzą sprawozdawcy. Witać się ze mną będą znajomi, których widziałem raz w życiu. Nie będę mógł przejść przez jedną ulicę bez zwrócenia uwagi i bez wywołania pytań natarczywych. Wszelki rozgłos utrudni mi zresztą moje poszukiwania. Najważniejszą rzeczą jest teraz dla mnie wyśledzenie moich własnych dziejów, a mogę to uczynić tylko niepoznany.

Dla „utalentowanego“ sprawozdawcy mam dziś to samo znaczenie, co trup, znaleziony w koszu i pokrajany w kawałki, chociaż nie szczędzi mi słów pochlebnych. Trzeba uciekać! trzeba zniknąć znowu i nie powracać tutaj przez czas dłuższy.

Zawiadomione pismo doniesie wkrótce, iż po przelotnym pobycie i złożeniu wielu dzieł cennych, udałem się z nową wyprawą do zbadania szczytów Himalajów. Póki zostanę tutaj, nie będę wychodził na ulicę, a potem trzeba czuwać nad tem, by nikt nie zobaczył już prawdziwej twarzy Jana Czerskiego.

Trzeba mi znowu wyruszyć w świat i opuścić Lucy. Jak światłość na przyszłość poniosę z so-

bą słowa jej dobrego, drogiego listu. Niech kołyszą ją za to wszystkie szmery wsi, niech oplatają ją mitki marzeń rozwiewnych i niech miłość jej dla mnie nie obudzi się wcześniej, nim mógłbym ją pokochać.

Nie umiałbym odmówić sobie i nie przyjąć ofiary jej, a jednak chwilami sądzę, że jestem już za stary, za przeżyty. Życie artystów najczęściej to wieczna młodość, ale ja nie jestem dzisiaj młody, gotów do poświęcenia się, ani wolny. Pozostałaby zawsze przedemną myśl, która wieczną byłaby udręką: Co było dawniej? Nie zdołałyby spędzić jej z mego czoła małe rączki Lucy. Potrzebowałbym ciągle chwil samotności, by zastanawiać się, czy cała, prawdziwa siła moich pragnień i uniesień nie pozostała w przeszłości? Nową niewolą stałoby się trwożne przywiązanie, gdyż gorączka wieczna gnałaby mnie w świat by pytać się, czy niema gdzie śladu tego, co prześniłem dawniej.

Widziałem w tych dniach marmurową maskę Bethovena. Bez źrenic i z zamkniętemi oczami patrzyła, rzucając w duszę moją jakiś cień pośmiertny. I to teraz czasem, kiedy przymknę oczy, wyłaniają się przedemną świetlne maski dwie, których kontury rozwiewają się w przestrzeni. Nie widzę oczu ich, a poznaję je głównie po wyrazie ust, które wąskie są i bolesne. Niepokoją mnie, a zmuszają patrzeć na siebie, w jakiemś olśnieniu wyobraźni jawią się przedemną, dwie niewyraźne, trupie prawie, złote maski.

Pożądam zobaczenia ich, a lękam się. Boję się tej chwili, kiedy spojrzą na mnie, otwierając oczy. Może nie zaznam spokoju, póki nie spojrzę w nie. A jednak spróbowałbym — zapomnieć!

Co powiedzą mi? Czy to są zjawy twarzy żywych, czy umarłych? Czy ja naprawdę, nie

byłem już lub nie stanę się szalonym? Czy dlatego unikam ludzi, iż wiem, że tak jest istotnie?

Jakaż przyszłość wówczas dla ciebie, biedna Lucy! Czy nie powinienem raczej szorstką dłonią już dzisiaj zerwać twoich snów? Czy też może znów w podróży żmudnej i upalnej czeka mię przystań, owiana powiewem morza i słodka pościel twoich warg dziewczynko!

W każdym razie muszę teraz uciekać. Spoglądam z tęsknotą niemą w świat daleki i pochmurny. Muszę uciekać i szukać nowych kątów jak zbieg prześladowany i goniony, lub jak człowiek, który nigdzie długo zostać nie zechce.

Opuszczam kraj, choć wiem, że nie w obcych stronach należy mi szukać miasta starych wież. Opuszczam go, by zginąć znowu bez śladu i spróbować, czy nie zatrą się moje wspomnienia! Zmieniłbym postać, jak nazwisko, byle uciec od pytań i spojrzeń ludzkich. Towarzysze moi z dalekich portów zasiądą już wkrótce w domu rodzinnym, a ja pójdę znowu na tułaczkę. Skąd ma tęsknota za domem tym? Czy znałem go kiedy?

XVII

Notatka, ogłoszona przez pismo codzienne, dostała się również do wiadomości pana Raula. Pomyślał z niezadowoleniem, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażona jest tajemnica pobytu jego gościa, której sam strzegł najpilniej. Lękał się nieprzyjemności, niepożądanych przez poetę i żywo poruszony udał się do jego pokoju.

Drzwi były otwarte. Czarski siedział i pisał przy biurku, pan Raul zapukał więc, a posłyszaw-

szy słowo: „proszę,“ podszedł do , czł wieka bez przeszłości,“ wyciągając doń dłoń z dziennikiem:

— Niech pan spojrzy! Wiedzą już o bytności pana. Wkrótce dowiedzą się tego, kto ukrywa się pod nazwiskiem Jana Niemiry!

— Czytałem i ja ten artykuł—odparł zagadnięty.—Uważam też że ma on dla mnie ogromne znaczenie. Zmusza mię do zupełnej zmiany trybu mego życia, wobec czego przestanę nadużywać gościnności pana.

— Co pan zamierza czynić? Trzeba radzić.

— Czy widzi pan jaki sposób?

— Mogę w imieniu pana udać się do naczelnego redaktora. Obowiązkiem moim jest osłaniać swego gościa. Poproszę go o sprostowanie. Powiem, że pan koniecznie chce tutaj zostać bez budzenia publicznej ciekawości. Rzeczy takiej nie może mi odmówić...

— Myli się pan. Nie byłby to sposób dobry. Czy nie widzi pan, iż wzmianka cała oparta jest na domysłach. Szukają czegoś. Nie wiedzą nic pewnego. Dowodem tego jest zmyślona rozmowa, którą miałem wieść z dziennikarzem. W interesie moim leży, by istotnej prawdy nie dowiedział się narazie nikt, a bezpodstawnie pogłoski same wkrótce rozejdą się, nie wywołując głębszego wrażenia. Musi jednak na to przejść pewien czas. Dlatego też pozostaje mi chwilowo tylko ucieczka.

Pan Raul zamyślił się:

— Nie jest to dla mnie rzecz obojętna. Los skierował pana do mnie przypadkowo, ale byliśmy dość długo pod jednym dachem. Posiadałem ongi spory majątek ziemski, z którego pozostał mi tylko dwór i sad. Puste są, zamieszkałe jedynie przez ogrodnika. Wokoło wsie, pustki i lasy. Chciałbym pana skierować tam. Mógłby narazie

pozostać odcięty prawie od świata i pracować spokojnie... W zimie wróciłby znowu do nas.

— Dziękuję panu—odparł ciepło Piotr—ale mam już inne plany. Pobyt w kraju obecnie nie nęci mnie, odezwała się we mnie tęsknota do podróży. Zmylę zresztą zupełnie ślad, gdy udam się zagranicę.

— Niech pan czyni, jak mu dogodnie,—wyrzekł Adamiecki,—w każdym razie proszę pamiętać, że zawsze są u nas drzwi otwarte. Czy dla przejazdu, czy dla chwilowego wypoczynku, czy też, czego najbardziejbym pragnął—na zawsze. Jak pan wie, nie udręczałem go dotychczas pytaniami... Byłoby to zupełnie niestosowne... Żyliśmy dobrze, rozumieliśmy się bez badań wzajemnych. Nie przeszkadza to temu, iż jednej rzeczy chciałbym się dowiedzieć... Zniknął pan bez wieści... rozumiem to. Dlaczego pan jednak nikomu nie powierzył swego mieszkania?... Pan wie o czem mówię... Tego mieszkania w Krakowie, w którem przecież najcudowniejsze musiał spędzić chwile? Dlaczego pozwolił, by wysprzedawano meble i kosztowności, obrazy i pamiątki? Drobniejsze rzeczy rozbiegły się po świecie, na szczęście resztę zakupił pewien miłośnik sztuki, który utrzymuje je razem jako pamiątki po panu. Ale czyż godziło się tak zaniedbać to, co gromadził pan przez całe życie?

— A jak się nazywa ten, który to obecnie posiada?

— Worski, Emil Worski. Zbieracz starożytności. Chce pan może odwiedzić go? Ponieważ i ja trochę lubię gromadzić cenne sprzęty, więc znamy się dobrze. Mogę pana jako Niemirę polecić mu listownie...

— Jeszcze raz dziękuję panu, ale narazie na-

prawdę nie mam na to sił. Powrót do kraju znużył mnie. Muszę trochę odpocząć.

— Czy przeszłość nie wyrzuca czego panu? Czy załatwiłeś z nią już wszystkie rachunki?

Czarski zdumiony spojrzał na swego gospodarza. Ten człowiek tak cichy i delikatny po raz pierwszy teraz, przy pożegnaniu, poważył się przemówić doń w ten sposób. Domyślił się, że w pytaniu tem tai się jakiś powód głębszy, więc odparł, sztucznie udając wesołość:

— Ach tak panie! wyrzuca mi ona niejedno. Niech pan spojrzy na moje ręce. Gładkie są teraz, ale proszę przypomnieć sobie, jakie były po moim przyjeździe? Przez pięć lat byłem robotnikiem w porcie. Przez pewien czas ładowałem paczki okrętowe. Czy to nie dostateczna hańba, panie Adamiecki?

— Jakąkolwiek pracą pan zajmował się, to choć nie znam jej powodów, ale szanuję za nią pana. Czy nie pozostawia pan jednak czego niezałatwionego w przeszłości? Wyjeżdżasz pan teraz, to dobrze. Mnie może być tylko żal tak miłego towarzysza, ale dostałeś także list od Lucy!

— Tak jest. Dostałem list od Lucy.

— Wnuczka moja kocha pana i pisała mi o tem ponownie. Boję się o nią i—mimo wszystkich trosk—nie chciałbym się jej sprzeciwiać. Odziedziczyła egzaltowaną trochę naturę i duszę czystą—po babce. Wnuczka ta jest całem szczęściem mojem, a wiem, że płakać będzie, dowiedziawszy się, że pan wyjechał. Szanuję go wysoko, ale raz naruszam dla niej tem zapytaniem obowiązki gościnności.

Czarski ze wzruszeniem spojrzał na siwą głowę i zatroskaną twarz człowieka, który teraz oddawał mu w ręce los swojej „małej.“ Jednem słowem mógł podejrzenia jego rozproszyć, ale

czy miał do tego prawo, czy mógł to uczynić? Jednem słowem mógł dokonać tego, by sędziwy i dobry pan posłuszny kaprysowi swojej „dziewczynki", rzekł doń: dziś jeszcze zawcześnie, ale wróć po nią za rok lub za dwa, przyjeżdżaj do nas tymczasem i niech was Bóg prowadzi!

I Czarski zwiesił głowę. Lękał się stracić to zapowiadające się szczęście, rozwiać możliwość jego na zawsze. Ogarnęło go wspomnienie cichego pocałunku i słodkiego głosu, którym go żegnała... O przeszłości swej nie mógł jeszcze mówić nic, znajdował się w błędnem kole, ale czyż nigdy wyjścia zeń nie będzie?

— Niech pan powie Lucy, że nie wiem dotąd o żadnych niezałatwionych dawniej sprawach, ale spieszę jeszcze czytać zatarte, stare karty. Są chwile szczęścia, na które czekać trzeba, bo zależą nie od nas, lecz kto wytrwa, może zwyciężyć. Wiry zdradne czekają czasem na fali, a ja płynę po fali wspomnień. Kto może zapomnieć, niech zapomni, kto nie może, niechaj czeka... Niech pan powie o tem pięknej, dobrej Lucy.

. . . . . .

Ogromny potwór wbiega po szynach i sieją potężnem światłem latarnie parowozu... Ruch, żegnania się, wołania, pośpiech i niepokój i samotność.

Drzwi wozów zamykają się z trzaskiem. Okrzyki: gotów! gwizd, snujące się tumany dymu.

I nic... i pustka.... i oświetlone czworobokami okien pasmo snującego się w dal pociągu...

XVIII.

W kilka tygodni potem Czarski znalazł się w towarzystwie kilku turystów w Bazylei. Z powodu spóźnionej pory opuszczali oni już Szwajcarję. Chodzili tu i tam i zwiedzali zabytki, trzymając w ręce, jedni Baedeckera, inni „Guide Jeannot". Odwiedzali kolejno wszystko, co każe zwyczaj i obowiązek, więc romańsko-gotycką katedrę, ratusz w burgundzkim stylu, renesansowe studnie kamienne i muzeum ze zbiorem obrazów Böcklina. Towarzystwo było różnojęzyczne, rozmawiało jednak po francusku, a tematu dostarczyła im sztuka, Böcklin, style i wspomnienia z bazylejskiego soboru.

Byli to widocznie ludzie inteligentni, a głos między nimi zabierał najczęściej Ernst, filozof i profesor niemieckiego uniwersytetu, zamiłowany w wygłaszaniu oryginalnych zdań, nie wyrażający się dobrze o niczem i nie zostawiający na nikim suchej nitki.

Przechodząc tak po mieście, stanęli wreszcie nad rzeką i spoglądali na krajobraz, pochylający się ku nizinom, który roztwiera już ta część Szwajcarji.

Widok ten mało przedstawiał ciekawego, więc gdy spojrzeli na toczące się nurty wody, przypomniał ktoś wiecznie powtarzaną legendę o złocie Renu.

—Widziałem już na ten temat pięknie namalowany obraz zdaje się, przez Makarta, który chętnie zawiózłbym do Filadelfji—mówił Amerykanin, człowiek żywy i ruchliwy.—Wiem także, iż powieść ta dostarczyła wątku Wagnerowi do opery. Wy ludzie starego świata lubujecie się w podaniach o zaginionych skarbach, marząc, że moglibyście do nich dojść bez trudu. Niestety,

nietylko, że marzenie takie prowadzi zwykle do ubóstwa, ale nadto i nagłe wzbogacenie się osłabia życiową energję i powoduje lenistwo i bezczynność.

— Każdy z was bussinesmanów tęskni również do odkrycia żyły złota—zaśmiała się Francuska.—Zdaje się, że mało i z waszych biedaków oparłoby się wiadomości o nowoodkrytej kopalni. I masz naród szanuje jednak uczciwą i wytrwałą pracę, (która jest dla nas środkiem do działania póki można i do spokojnego odpoczynku na starość.

— Praca jest jedynie smutnym obowiązkiem. Praca hańbi!—dorzucił profesor.

— Jakto? I pan to mówi? Przedstawiciel najbardziej zabiegliwego narodu! Wychowanek mieszczańskiego społeczeństwa, które życie swe zwyczajnie rozbija na drobne, ale znakomicie złączone wysiłki.

— Wychowanek filozofów, którzy uczą, że życie jest walką o byt. Człowiek szczęśliwym staje się dopiero przy wygodzie i użyciu. Jednostki, które nie zapewniły sobie dostatku, widocznie słabsze są od innych i muszą innym służyć. Zamiast zatem być niewolnikiem i ponosić różne ciężary, każdy człowiek inteligentny musi starać się, by on, jego klasa i jego naród panowali nad innymi i znowu z innych czynili swoich niewolników. W tem znaczeniu, mojem zdaniem praca hańbi.

— A pan co sądzi?—zwróciła się Francuska do obecnego przy rozmowie Polaka.—Jest pan podobno literatem.

— Dla ludzi czynu praca—to energja, dla tych, co zwątpili—praca to spokój—odparł zagadnięty.

— Czy pan to wie z własnego życia?

— Tak, wiem z własnego życia...

— I cóż pan ma to, profesorze—zawołał Amerykanin.—Zdaje się, że pan... zapomniałem nazwiska, proszę mi wybaczyć.. podał trafniejsze określenie. Praca to energja, która rusza świat...

— Lubię literaturę—niechętnie odparł tamten—ale nie przyznaję jej poważniejszego głosu w społeczeństwie. Nie myślono się tutaj, mówiąc o moich mieszczańskich zamiłowaniach. Każde uderzenie kilofu w bryłę węgla przynosi ludzkości bardziej realną korzyść od tomu głośnego autora. Nie chciałbym nikogo obrażać... Rozmowę prowadzimy filozoficznie. Otóż szanuję każde dobrze wypieczone pół bochenka chleba, dlatego, iż pozwala człowiekowi żyć przez dzień, podczas, gdy umarłby on z głodu wśród stutysięcy tomów w bibljotece. Ale wyobraźnia ludzka szuka próżnych mamideł, człowiek lubi się zabawić. Słabość tę wyzyskują zręcznie artyści, którzy, odrywając go od celów biologicznych, prowadzą jego wyobraźnię na manowce. Nawet na polach bitew żołnierz rozumny bije się i zwycięża, nie dlatego, że bohaterstwa uczyły go poezje, lecz z tej przyczyny, iż każe mu tak jego duma i instynkt życiowy. Żołnierz mniej uświadomiony walczy dzielnie, lecz w nadziei, iż pozwolą mu odpocząć i najeść się, gdy zwycięży. Tymczasem zasługę tego przypisują sobie artyści, wyrabiając w nas tę głupią namiętność, dla której gonimy tysiącami, by zobaczyć naprzykład tum bazylejski, lub posłuchać parę tonów jakiejś staroświeckiej nuty, która odzywa się w Salzburgu. Sztuka miła jest niewątpliwie w domowem otoczeniu, zastosowana umiejętnie i praktycznie. Artyści uprzyjemniają nam życie, ale do zasługi ich dzieł człowiek realny odnosić się musi z lekką pogardą.

— A jednak dziwnie tęsknoty do sztuki od-

czuwacie nawet wśród zajęć przyziemnych — wtrącił Amerykanin.—Dowodem tego wasz rzemieślnik Hans Sachs.

— O! jesteśmy ojczyzną jego, a obok tego Schillera i Goethego. Posiadamy dziś Kellermanna i Ewersa, ale stworzyliśmy przemysł chemiczny i wydaliśmy także—Marksa.

— Czy pan nie sądzi—spytała się Francuzka —że w poglądach naszych na życie społeczne nastąpiła pewna przemiana? Zaczynamy znów trochę więcej mówić o wartościach „nierealnych" jak n. p. miłości bliźniego. Opowiada się, że są czynniki potężniejsze od uderzenia kilofem, jak wiara i niewiara, miłość i nienawiść. Że są całe moce wpływu w wielkiem słowie, a sztuka chwyta te żywioły nieświadome i wychowuje przyszłe pokolenia, jak i pan jest w sądach swoich jedynie wychowankiem pewnych autorów i pewnych filozofów?

— Proces życiowy idzie sam przez się w kierunku ewolucji, ale zamiast zapału, wystarczy uświadomiona twórczość instynktu. Są i w naszym kraju ludzie, którzy wierzą tak, jak pani, ale są oni w mniejszości. Wszak pan podziela zdanie moje Mr. Stinton?—zwrócił się do Amerykanina.

— Urodziłem się wstanie Montana. Były to jeszcze czasy, gdy zdzierali tam skalpy czerwonoskórzy, a naokół naszego miasta, złożonego ze stu kilkudziesięciu drewnianych domów grasowali łupieżcy i jedno było tylko na nich prawo— lynch. Od czasu do czasu cała ludność wychodziła w pole, by przypatrzeć się, jak wieszano ich na gałęzi. Dziś moje rodzinne miasto ma ratusz, kilka kościołów, teatr i sto tysięcy mieszkańców. Nie o to jednak chodzi. Otóż w młodości chętnie słuchałem przestróg przyrody i mało skłonny by-

łem do czytania książek. Pamiętam jednak jak przez sen, że wytrwania i energji uczyły nas powieści i piosenki o traperach, szeptane nieraz w nocy przy ognisku. Czytam teraz chętnie Conrada i Londona. Jestem anglikaninem i człowiekiem wierzącym, lubię także systematyzować. Otóż mojem zdaniem człowiek nie zadawala się sprawami doczesnego bytu i szuka związku między sobą a światem nadprzyrodzonym. Sztuka zastępuje mu w tem nieraz przyrodę, pozwalając przeczuwać przez się istnienie piękna bezwzględnego. Wiem nadto, że uczucia i namiętności rządzą ludźmi, więc muszę szanować to, co rządzi uczuciem i włada namiętnością.

— Napoleonizm zatem i hidropatja—zaśmiał się profesor.—Sztuka raz jako władza, raz jako lekarstwo. Człowiek racjonalny nie powinienem dać się powodować uczuciu.

— Na ciekawe tematy naprowadziło nas „złoto Renu"—zauważyła Francuska.—Co pan sądzi o tem?—zwróciła się do Niemiry.—Dla mnie literatura częściej jest rozrywką niż uczuciem, częściej budzi we mnie namiętności niż zapał. Lubię jednak, by była wytworna, dobrze zbudowana i klasyczna. Wymagam od niej tego, co wy lubicie znaleźć w pożądanej kobiecie. Raczej trochę przewrotności niż brzydkie ręce, raczej lekkomyślność, niż brak zmysłu estetycznego. Nie przepadam z tego powodu za Oktawiuszem Mirbeau, zbyt jest brutalny, za Anatolem France'm—zbyt jest dla mnie chłodny. Zdumiewa mię umiejętność Zoli, lubię kapryśnego Claude Farre'a, płaczę z Lotim i zaczynam zajmować się poetyckiemi fantazjami Piotra Benoit.

— Nie wspomniała pani autora „Jana Krzysztofa."

— Stracił on wiele w naszych oczach ze

względów narodowych. Każdy zresztą wybiera sobie twórców wedle woli i skłonności. Nie pytam też pana o zdanie o piśmiennictwie, gdyż pan sam jest literatem. Niech pan jednak powie od siebie coś, co sądzi o uczuciu. Czy zasługą jego jest już to, że potrafi wynieść nas nad troski codzienne. Czy ma słuszność profesor Ernst, który twierdzi, że człowiek racjonalny może i powinien bezwzględnie rządzić nim?

— Mojem zdaniem człowiek najszczęśliwszy jest, gdy rozum w całej pełni połączy się z uczuciem. Ale czyż w życiu zdarza się to często? Wiem także, iż jak są ludzie, którzy chcieliby przestać kochać, a nie mogą, tak są również inni, którzy uciekają w świat, błąkają się po płaszczyznach lodowców, szukają towarzystw i słuchają legend nad Renem, a chcąc zapomnieć, nie mogą zapomnieć!

XIX.

Zobaczyłem Ją dzisiaj po raz pierwszy i drżę cały z przejęcia i wzruszenia. Nie wiem jeszcze, czy nie ulegam złudzeniu wyobraźni? Nietylko zobaczyłem ją, ale przeżyłem z nią dłuższą chwilę, rozmawiałem z nią i do tej pory pieszczę się dźwiękiem jej głosu.

Czytałem kiedyś, że pokolenia dawne chociaż już nie istnieją, to trwają jednak dalej między nami i pojęciami swemi wywierają na nas wpływ. Słyszałem także, że myśli ludzi umarłych żyją na tym świecie dalej i w odległych epokach jeszcze zdołają odrodzić świat. Lecz nie o ducha wszak chodzi mi dzisiaj, ale o widzenie moich, ziemskich oczu, nie o myśl, ale o ciało żywe, prześwietlne i słoneczne.

Od kilku miesięcy już błądziłem zdala od kraju. Uciekłem z niego nietylko przed grożącym mi rozgłosem, ale dlatego także, iż brakło mi naraz sił do poszukiwania prawdy. Mówiem sobie, iż przecież mogę żyć bez zupełnej jej świadomości, a wiem już dosyć wiele, by istnieć i pracować tak, jak inni. Ulękłem się spojrzenia w kłębiące się mury, zapragnąłem poślubić Lucy i w pracy znaleźć zapomnienie. Nie minął też długi czas, gdy począłem uspokajać się wśród podróży. Inny świat, inni ludzie... Żyję z nimi, a czyż dużo wiem o nich? Przechodzą koło mnie jak przelotne cienie, mijają się, znikają znowu, giną w szerokim świecie... Nikt nie jest sobą, gdyż każdy, jeśli nawet powie swoje nazwisko, to stara innym okazać się, niż jest w istocie. Czemże gorszy ja od nich jestem? Pamięć moja straciła trochę przeżyć, ale czas może przynieść mi zapomnienie...

Zdawało mi się niekiedy, że wśród codziennych zajęć czyhać na mnie będzie tajemnica dawnych lat. Zdawało mi się, że nie mogę być spokojny, obawiając się, że nagle wplącze się ona w moje życie i nici jego pozrywa lub pomota. Lecz jeśli miałoby mi to grozić, czy nie powiedzieliby mi już tego ludzie, czy nie przypuszczać raczej, że to co było, z pamięcią razem moją zamarło?

Jakże to dziwne jest, iż gdyby kto mi przepowiedział, że pozyskam sławę, miłość i dostatek, szczęśliwym czułbym się nad wszelki wyraz. Teraz zazdrościłem sobie chwilami tych lat, które spędziłem w trudzie fizycznym, jako pracownik bezimienny. Gdyż szczęście moje nie w wiadunkach zewnętrznych jest, ale w duszy, nie w szerokości użycia, ale w umiejętności radowania się. Gnany nędzą, weseliłem się, a gdy znalazłem pra-

cę, gdy byłem chory, cieszyłem się, że odwiedzają mię przyjaciele, obudzony własnem bolesnem wołaniem wśród nocy, uspokajałem się myślą, że to mary były tylko i sen krzepiący koił mnie znowu.

Okres tych lat zamknięty jest jednak dla mnie. Zacząłem nowy z pierwszem uczuciem— pragnieniem świadomości. I ono to właśnie, to, co podobno zbliża ludzi do bogów, wypędziło mię w świat, nie pozwoliło korzystać ze szczęścia i kazało mi w ucieczce szukać lekarstwa.

Uspakajałem się już, próbowałem nawet pisać książki. Gdy dawniej podejrzewałem siebie, że jestem chory, obecnie czułem się zdrów zupełnie. Lecz teraz oto nie żałuję już tych czasów półsnu i półbytu, które spędziłem w porcie Nowego Yorku. Zdaje mi się, że niepodobna jest zachwycać się życiem bez pragnień, a wśród marnych trosk i wesela dosytu. Zobaczyłem Ją i natychmiast zapaliło się we mnie całe pożądanie wiedzy i cała nadziemska, niezgaszona tęsknota.

Jechałem przez Tyrol, koło Innsbrucku. Zatopiony w cudowne widoki, udałem się do wozu restauracyjnego, by widzieć je lepiej przez duże szyby. Nie było tu jeszcze wiosny. Śniegi ścieliły się na wzgórzach, a w małych miejscowościach widziałem liczne hotele zamknięte. Krajobraz nie był mi obcy. Musiałem przejeżdżać kiedyś tędy, ale o innej, bardziej ciepłej porze. Wagon kołysał mię lekko i rytmicznie. Siedziałem przy małym stoliku na dwie osoby, a miejsce naprzeciw mnie było puste.

Lubię wykwint wozów restauracyjnych. Zadowolony jestem, że mogę usiąść w nich wygodnie. Lubię także publiczność, która je odwiedza, przelotne ptaki z różnych krajów, niespodziewane spotkania, krótkotrwałe znajomości.

Skąd Ona pojawiła się tu, nie wiem, dotąd?

Odwróciłem nagle zamyślony wzrok od okna, gdy ujrzałem, że zbliża się ku mnie. Słyszałem miły szelest jej jedwabnej sukni. Nie poznałem jej zresztą. Dziwiłem się, że trochę zbyt lekko jest ubrana jak na taką chłodną porę. Jak ona mogła przechodzić tak z wagonu do wagonu?

Pierwsze wrażenie—kobieta która musiała dużo już jeździć po świecie, strojna, o przepięknych złotorudych włosach, twarzy subtelnej. Lekki zapach perfum otoczył mnie i pieścił. Nie poznałem jej narazie. Spragniony byłem towarzystwa, znużony godzinami, spędzonemi samotnie. Oderwałem wzrok od przebiegającego jak film krajobrazu i spojrzałem na przechodzącą. Gdzie pójdzie, gdzie usiądzie?

Naraz poczułem ją tuż, tuż koło siebie. Banalne słowa po francusku:

— Czy to miejsce zajęte?

— Nie! jeśli pani zechce je zająć, proszę!

Nieznajoma skinęła głową, nie patrząc prawie na mnie. Potem wzrok jej prześliznął się po mnie i zobaczyłem jej—oczy.

Czy widzieliście kiedy takie wielkie, niebiesko-popielate oczy, przysłonięte wpół wąską, delikatną powieką? Oczy, kryjące zazdrośnie zagadkę spojrzenia i odsłaniające ją dopiero wówczas, kiedy zechcą i raczą patrzeć. Umiejące spoglądać z dziwną miękkością i serdecznie, chłodne i obojętne, albo błyszczące i palące się żądzą wrażeń. Niezbadane nigdy, wiecznie ciekawe. Wróżące to, że umieją kochać aż do zapomnienia i pozostać otwarte w chwilach rozkoszy. Oczy, których spojrzenie umie całować jak kwiaty lub budzić niedoznane jeszcze i nowe dreszcze pragnienia.

Usta wąskie jak powieki, różowe i jak dwa zwinięte skrzydła egzotycznego motyla. Główka mała, tuląca się w pięknym zarysie szyi, ramiona

spływające giętko ku dołowi ku białej fali ciała i otulone futrem brunatnem. Nie zastanawiałem się nad szczegółami, nie osądzałem tego natychmiast, ale wzrok mój pobiegł do nieznajomej, a myśl szeptała już sama do siebie, mówiąc o niej:

— Pani! pani, jakżeś jest piękna!

Szukałem potem spojrzeniem obrączki lub pierścionków... Ani śladu! Panna zapewne... Wracająca z zagranicy może do rodziny. Mówiła o tem zresztą świeżość i delikatność jej twarzy... Chociaż znowu pewność siebie zbyt wielka, śmiałość widoczna...

Omyliłem się także, biorąc ją za cudzoziemkę. Śmieliśmy się z tego potem oboje, gdyż przez pół godziny mówiliśmy w obcym języku. Jakże dźwięcznie jednak brzmiał ton jej głosu. Wracała z Monachjum i jadąc do Wiednia wstąpiła do Innsbrucku.

— I pan także do Wiednia?

— I ja także do Wiednia.

— Gdzie pani później jedzie?

— O! to jeszcze tajemnica...

Nie mówiła mi pozatem skąd jest i co porabia w Monachjum, które znała doskonale. Przypuszczam, że kształciła się tam w śpiewie, gdyż opowiadała chętnie o śpiewaczkach operowych. Znała jednak także doskonale cyganerję artystyczną. Nazwiska niektóre głośne dzisiaj... Czy to wszystko teraz, czy przed laty?

Rozmawialiśmy wiele o życiu i użyciu. O potrzebie wrażeń, której doznają dusze artystyczne. O nowych prądach w sztuce. O szalonych próbach impresjonistów, którzy śnieg malują w kolorze złotej pomarańczy. O subtelności linji w obrazach Rosettiego, o prerafaelitach angielskich i „plainairze." O wesołem życiu pracowni i nastrojowych wieczorach, o czem wiedziała tylko ze

słyszenia. O fantastycznych litanjach do szatana, o Przybyszewskim i Beaudelairze... Domyśliła się łatwo, że i ja piszę także, więc nie lękając się, powiedziałem jej swoje nazwisko.

— Pan jest Czarski? — szepnęła. — Znam, znam pańskie książki, oczywiście. Mówiliśmy o panu i tam—w Monachjum...

Dziewiczość ramion jej i subtelne linje ciała tłómaczyły mi, że dusza jej musi być czysta... Wierzyłem też w to głęboko, patrząc w oczy jej, poetyckie, a zadumą przysłonięte. Patrzyłem na nią jak na cudowny, budzący się z całem pragnieniem—kwiat, który nie rozwinął jeszcze swej korony w żarze życia. Gdy mówiła jednak o salonach artystów, podejrzenia jakieś budziły się we mnie i jakieś śmieszne prawie, gdyż bezprawne zupełnie, uczucie zazdrości.

Nie będę jednak dalej pisał o tem, gdyż wystarcza mi to, iż wiem już teraz, że to była Ona— Ewa! Dopiero, gdy przestałem patrzeć na nią, zrozumiałem, że to była ta sama, której blade zarysy widziałem tylekroć po przymknięciu oczu. Widziałem ją! Siedziałem przecież w jej pobliżu, jak żywy człowiek przy żywej istocie. Znajdowałem się w promieniu jej świetlnego ciała, które zdaje się otaczać jakąś bielą i jasnością. Nerwy burzą się we mnie i ogarnia mię zarazem miłość i pożądanie. Światło moje spotyka się z światłem jej... Muszą wchłonąć się w istotę jedną. Mamy zobaczyć się jeszcze i żyć z sobą...

Lucy mała! jakżeś ty daleko!

XX.

Spojrzenie jakieś ślizgało się po Jamie Niemirze. Wzrok badawczy i ciekawy, bystry, choć spokojny. Życzliwa, ale chłodna twarz nieznajomego starała się wejść w duszę jego, wedrzeć się w jej istotę, przeniknąć tajemnicę każdego nerwu. Wzrok ten sięgał w głębie podświadomości, śledził każdy ruch głowy i drobne, niepokojące drgnięcia ręki. Analizował wszystkie zewnętrzne odbicia myśli. Stawał się kłopotliwy i nieznośny.

— Pan pozwoli... poznałem go w Szwajcarji. Pan Niemira? literat?

— Tak... Nie przypominam sobie znajomości...

— Jestem doktor Wolff. Mieszkaliśmy w tym samym hotelu w Lucernie... Pan wybaczy, że przypatruję mu się od dłuższej chwili i pozwoli, że się przysiądę. Stanowi pan dla mnie studjum wyjątkowe i ciekawe... Może nie zupełnie nowe, ale w każdym razie ciekawe... Pozwoliłem sobie zrobić małą sekcję jego myśli... Takich rzeczy nie dokonywa się jednak samemu. Musi pan mi dopomóc...

— Nie chciałbym powiedzieć, że jest pan trochę natarczywy... Sekcji mej myśli nie pozwalam robić nikomu. Pan zna mój zawód... Jakiż jest pański?

— Trochę kolega po fachu... Lekarz psycholog... Jesteśmy przecież obecnie podobnie jak pan trochę poetami... Wchodzimy już trochę nawet na tory metafizyki... Opisujemy przytem rzadkie, ciekawe przejawy życia... Psycho-analiza... przeczucia... teorje snów... Zaręczam panu, iż bez bezwzględnego niedowiarstwa biorę udział w zebraniach spirytystów.

— Czem zdołałem zająć pana?

Oczy głębokie i spokojne, o spojrzeniu silnem

mimo okularów, spoczęły na poecie. Czarski zdumiony wyszeptał:

— Wzrok pański działa jak opjum!..

Lekarz uśmiechnął się:

— To samo mógłby wyrobić sobie i pan przez pewne, dłuższe ćwiczenie. Otóż od chwili już przypatrywałem się panu... Widziałem ożywioną i ciekawą grę myśli. Nerwowe ruchy tak bardzo zdradzieckie... O! naprzykład ten u lewej ręki w małym palcu. Są to wszystko wskazówki dla mnie bardzo cenne... Od pół godziny siedzi pan spokojnie i pozornie marzy... Ale najwidoczniej widzi kogoś... Z kimś rozmawia... To ciekawe.

— Rozmowę uważam za zbyteczną!—szarpnął się Czarski.

— O! panie... Czy to słuszne? Proszę spojrzeć w moje oczy. Dobrze! Jeszcze... Niemało już widywałem tajemnic. Przychodzą do mnie ludzie różni... Spowiadają się... Zwierzają nieznane innym przeżycia... Ludzie dojrzali, młode dziewczyny, autorowie, którzy popełniają mimowolne plagjaty, nauczycielki, które uroiły sobie, że opętane są przez złe demony... Mógłbym szkodzić, opowiadać, robić wymuszenia... Ale ufają mi. Studjuję to zresztą nieco jako sztukę dla sztuki.

— Pragnąłby pan moich zwierzeń?

— Niech pan pozwoli przedtem, że najpierw sam trochę powiem... Otóż przedewszystkiem nie nazywa się pan Niemira...

— Proszę nie pozwalać sobie!

— Rzecz drobna... odróżnienie od innych, tytuł, etykieta... Był pan zamyślony i gdy powiedziałem mu jego nazwisko, zastanowił się pan przez ćwierć tego czasu, którego potrzebuje na przebycie milimetra wskazówka sekundowa. Tak nie odpowiada człowiek, który nazywa się Niemira. Wystarczyło te ćwierć sekundy, bym był

tego pewny. Oprócz tego wiem, że rozmawiał pan tutaj z kimś... Był tu ktoś przy panu. Rodzaj wizji... Osoba droga... kobieta. Od czasu do czasu zwracał się pan do niej i słyszał jej słowa... Gdy wchodziła, owiał pana zapach perfum...

— Skąd pan to wie?

— Wydał się pan! Nie ma już odwagi przeczyć. Skąd wiem? To takie proste. Trochę praktyki... Obserwacja... Nauka rozwiązuje już zagadnienia poważniejsze... Otóż wizja ta nie była pierwszą... Poprzedziły ją inne... Pan żyje pod urokiem jakiejś myśli. Nie znam jeszcze powodu...

— Chce pan, żebym mu go dostarczył?

— Wszak może to uczynić człowiek, który zmuszony jest istnieć pod zmyślonem nazwiskiem, człowiek który czuje potrzebę zrzucenia tajemnicy. Pan z tem nie może żyć, gdyż zatrzymany jest w normalnym toku myśli. Może znajdziemy jakąś radę...

— Chciałby pan wybadać mnie i oddać do domu obłąkanych!

— Jakie to typowe! Nie! Osoba taka, jak pan, nie nadaje się do domu obłąkanych i mogłaby stać się zaszczytem swojej epoki. Coś pana udręcza jednak?

— Jestem człowiekiem bez przeszłości...

— Wobec braku bliższych określeń, domyślam się, że pan ma tę przeszłość, ale że ona dlań nie istnieje... Zapomniał pan?

— Częściowo przynajmniej...

— Wypadek trudny i rzadki. Ale stopniowo przypomina pan sobie?

— Wiem już bardzo wiele.

— W takim razie jest to rzecz, którą można leczyć metodycznie. Długo trwała pańska niepamięć?

— Koło pięciu lat.

— Innym zdarzało się to nawet na dłużej. Pan i tak jest bardzo szczęśliwy. Czy pan rozumie, co to jest obudzić się nagle jak w nieprzebytym mroku nocy. Zapomnieć wszystkich nabytych wiadomości. Nie wiedzieć kim się jest, stać się naraz jak dziecko niedołężnym. Pan rozumie to?

— Tylko częściowo.

— Spotykałem sam już różne wypadki. Zanik pamięci zupełny lub dotyczący tylko pewnych umiejętności lub okoliczności. Najczęstsze jest i nie budzi obaw, gdy człowiek zapomni naraz numeru swego domu, lub dobrze znanego nazwiska. Wypadki inne rzadsze są, a powodują je wstrząsy fizyczne, naprzykład upadek na ślizgawce, choroby mózgowe, a nawet nagłe przerażenie, lub przejścia duchowe. Człowiek, dotknięty tem, sądzi nieraz w pierwszej chwili, że jest szalony, a jednak nie jest nim. Czasem rozumie, co się z nim stało i odczuwa straszny brak... Stan pański nie niepokoi mnie. Jest pan już na drodze do zupełnego wyzdrowienia. Czy pan nie zauważył, w jakich okolicznościach odzyskuje pamięć?

— Gdy znajduję się w podobnych warunkach jak przedtem, zanim ją utraciłem.

— Posuwając się chronologicznie ku chwili katastrofy?

— Nie! niekiedy wyprzedzając ją? Omijając ją nieraz.

Dr. Wolff przyjrzał się bacznie:

— A jednak przyczyną jej u pana był pewien wstrząs moralny, to, co my nazywamy „urazem psychicznym". Tkwi on jeszcze jak cierń i wywołuje w duszy stan zapalny.

— Jakież na to jest lekarstwo?

— Mówić o tem. Mówić tak długo, póki nie

wybada się przyczyny. Gdy raz dotrze się do niej, łatwo już będzie wytłumaczyć. Może stanowić ją jakieś silne, a niezaspokojone pragnienie, jakiś wstręt, brutalnie przemożony, nawet jakiś mus milczenia, gdy chciałoby się krzyczeć na cały głos.

— Może pan podać jakiś przykład?

Lekarz uśmiechnął się melancholijnie:

— Mam ich dziesiątki! Bóle duszy, które muszą być zaspokojone tak lub inaczej, gwałty na naturze i grzechy sumienia, które należy uspokoić, a niekiedy nawet wynagrodzić. Uspokojenie się biednej, chorej duszy następuje już nieraz podczas spowiedzi. Niema życia w radości, gdy zmuszone ono jest do wiecznej tajemnicy milczenia i lekarz nie poradzi tu nic bez wyznania.

— Gdy nie pamięta się przyczyny, cóż wyznawać?

— Życie... stopniowo i kolejno. Szczegół po po szczególe. Każdy biegły lekarz dojdzie w ten sposób do zerwania pieczęci, czy ukrywać się pod nią będzie przemożone uczucie, złamana wielka miłość, lub choćby nawet—zbrodnia!

— Przerażasz pan mnie...

— Źle wyraziłem się. Niema zbrodni ze stanowiska psychicznego, jest to tylko wina wobec samego siebie. Ale pan miewasz wizje jasne?

— Tak! Dzisiaj była ona bardzo jasna.

— Jesteś wtedy szczęśliwy?

— Byłem dzisiaj bardzo szczęśliwy!

— Nie doznawałeś kiedy w swych określonych przypomnieniach wstrętu, albo niechęci?

— Proszę poczekać... Było to raz...

— Kiedy?

— Na widok jakiegoś portretu. Tak! to było

zarazem niespodziane i bardzo przykre. Nie mogłem więcej patrzeć mań...

— Nie chcę narazie bawić się w przypuszczenia. Szczęśliwy będę, jeśli znajdziemy się w towarzystwie pana. Czy zatrzymuje się pan w Wiedniu?

— O tak! Zatrzymuję się w Wiedniu. Spodziewam się tam spotkać kogoś.

— Jacyś znajomi ze Szwajcarji?

— Nie! To będzie kobieta. Młoda panna, która jedzie tam po drodze z Monachjum.

Lekarz jeszcze raz spojrzał na Czarskiego i rzekł miękko, prawie że serdecznie:

— Chciałbym pana wybawić, a zdaje mi się, że przyszłoby to tak łatwo. Niech zejdzie się ze mną, zanim pójdzie na to spotkanie. Mogę usiąść osobno. Nie będę przeszkadzał, przysięgam, że nie będę przeszkadzał.

— Adres pański?

— Kärtnerstrasse Nr. 51. Będę tam jutro między 6-tą a 7-mą wieczorem. Mam fortepjan. Zagram panu na nim. Nad wszystko w świecie kocham poetów i artystów. Będzie pan najmilszym z moich gości.

XXI.

Kiedy Czarski stanął przed domem na Kärntnerstrasse, o wskazanej godzinie nazajutrz po południu, zdziwił się, że na dole spotkał już D-ra Wolffa.

— Oszczędzam panu trudu szukania mego mieszkania—rzekł psycholog z uśmiechem.—Wiedziałem, że pan przyjdzie, a ponieważ właśnie wracałem po odbyciu moich godzin w lecznicy,

więc czekałem już tutaj, by podziękować panu, że pamięta o mnie.

— Zajął mnie pan wczoraj swoją rozmową w pociągu. A zresztą...

— A zresztą miło jest panu z kimś pomówić, kto choć w części zna już pańską tajemnicę. Jest to pragnienie tak ogólno-ludzkie, że mogłem napewno spodziewać się odwiedzin. W jednym wypadku tylko mógł mię pan zawieść...

— W jakim?

— Gdyby spotkał już swoją piękną znajomą z podróży...

— Nie widziałem jej dotąd. Zresztą pan wie, że do tego potrzeba...

— Odpowiednich warunków — fotografji przeszłości, zostawionych po drodze w miejscach, gdzie byliśmy kiedykolwiek. Jest pan jednym z najcudowniejszych okazów wizjonera. Proszę wybaczyć mi określenia, ale lekarz ma dwie radości w życiu. Pierwszą — dostać jakiś ciekawy wypadek choroby, drugą — móc ją uleczyć. Proszę tymczasem uważać! Dywan zawija się na schodach... Można potknąć się. Trzecie piętro prosto, od frontu!

Dr. Wolf był widocznie przejęty pojawieniem się swego gościa. Nerwowo otwierał drzwi od mieszkania, dobierając w roztargnieniu różnych kluczy.

— No! jesteśmy wreszcie u siebie — rzekł wpuszczając Czackiego.

— Pokój oblała powódź światła. Ozdabiało go mnóstwo obrazów i wiele wspaniałych rzeźb. Iskrzyły się weneckie lustra, szklanne świeczniki. Pod oknem stał czarny koncertowy fortepian.

— Pięknie pan mieszka — zauważył poeta.

— Mam słabość do dzieł sztuki. Uważam za swój obowiązek wspierać artystów.. Niejeden zre-

sztą leczy się u mnie. Ach panie! jaka to wrażliwa i przeczulona gałąź ludzkości! Jakże ulegają pierwszemu rozstrojowi ci nawet, którzy są piewcami siły lub najwspanialej w marmurze odtwarzją potężną grę mięśni! Ale dusza we wszystkich swych przejawach pozostaje instrumentem dziwnie wrażliwym i pięknym. Nawet w psychopatologji. Niech pan teraz usiądzie. Czy panu wygodnie? Może pana razi światło? Warunek pierwszy. Musi pan czuć się u mnie dobrze!

Opiekował się gościem, podsunął mu fotel, przygasił część świateł. Uczynił półmrok o odcieniach artystycznych. Usiadł wreszcie sam.

— Będziemy mówić zatem?

Ale Czarski milczał. Zagłębił się w fotelu i usiadł pochylony. Zupełnie jak wówczas, gdy nie wiedząc jeszcze prawie nic o swojej przeszłości, przesiadywał godzinami w mieszkaniu pana Raula. Zupełnie jak wówczas gdy, pukając nieśmiało, wchodziła pytać go o coś mała Lucy

Dr. Wolf zaniepokoił się widocznie.

— Co panu jest?

— Znużenie...

— Zwykła depresja po podróży. Służącemu mojemu o tej porze pozwalam wychodzić, mogę jednak służyć panu filiżanką herbaty. Może kieliszek wina? Pójdę poszukać kluczy od kredensu.

— Gość jego nie odpowiadał nic, nagle głowę swą na chwilę pochylił w dłonie.

— Co to jest?—zawołał dr. Wolff. — Niechże pan nie zachowuje się jak dziecko!

Czarski odjął ręce od twarzy potem powstał i rzekł:

— Pan wybaczy, ale wiem, w jakim celu tu przyszedłem. Chcesz pan leczyć mnie. Leczyć prawie tak, jak obłąkanego. Ale mnie już przeszła chęć do szukania u pana rady. Ja nie chcę

się zwierzać. Nie chcę leczyć się, jeśli wydawać mam swoje tajemnice! Sądzisz pan może, że ciążą mi. Może i tak jest! Ale niemam zamiaru wpuszczać nikogo w swój świat własny, gdyż cokolwiek w nim jest, jest on za czysty, by po nim ludzie chodzili. Powiesz pan na to, iż jestem literatem i duszę w dziełach swoich wysyłam na świat. Tak! lecz dzieło to pokrywam formą, jaką zechcę, myśl wcisnę w nią tak, że działać będzie, a jednak się nie zwierzy. A pozatem zostaje jeszcze zawsze coś tajemniczego coś takiego co tworzy to wszystko a jednak będzie dla świata obce i nieuchwytne.

W spokojnych oczach dr. Wolfa zapalił się jakiś płomień.

— A jednak nie wiedziałem że pan tak dalece jest artystą! Podziwiam pana, panie Niemira!

— Powiedz Czarski! Jeśli naprawdę zajmujesz się sztuką, może posłyszałeś moje nazwisko? Przepadłem od pięciu lat nie zostawiając nikogo, ktoby się upomniał o prawo do moich dzieł, o mój majątek, nikogo bliskiego, żadnej rodziny. Odszedłem dlatego, że taka była moja wola Trwała ona nawet wtedy, gdy znalazłem się w oddali, nawet w półświadomości. Mylisz się pan, sądząc, iż nie mogłem się z niej obudzić. Rozumiem teraz, kiedy śniłem ,stawały przedemną jawy rzeczywistości. Ale ja wtedy odganiałem je niemal dobrowolnie, gdyż nie chciałem jeszcze się wznosić w mój świat. Mam w duszy wspomnienia święte i bolesne i wrócą one do mnie dlatego, że już chcę tego.

— Nazwisko pańskie mówi mi wiele, panie Czarski. Czy zamierzasz je rozgłosić publicznie?

— Nie widzę celu. Uciekłem przed rozgłosem.

— Szczerość za szczerość. Może ja przed-

stawiłbym się panu inaczej, gdybyś mnie poznał bliżej. Ludzie tracą niekiedy przy bliższem zetknięciu się. Ale proszę przyjąć radę. Wyda się panu śmiesznem, że przy zajęciach swoich mogę odczuwać niechęć lub sympatję. Ale mam dla pana dużo życzliwości. Ludzie cierpiący psychicznie stanowią dla mnie objekt doświadczalny. Ja osobiście już wiem, czego chciałem się dowiedzieć. Znam już dokładnie pański wypadek. Mówi pan jednak, że wróci sam do swoich wspomnień. Bez przewodnika widzę wiele niebezpieczeństw. Ja naprawdę podejmuję się go wyleczyć. Będzie to i milej, dla mnie i lepiej dla pana.

— Kto pan jesteś właściwie? Poznaliśmy się dopiero wczoraj.

— Lekarz psycholog. Trochę przytem cygan literacki. Zdaje się, że urządzenie tego domu może panu dowieść, iż dobrze mi się powodzi. Ręczę panu, że wielu chorych wie dobrze, kto to jest doktór Wolff. Umiem być do przesady dyskretny. Nie zdradziłem nigdy powierzonych sobie wiadomości. Zdarzało mi się nieraz znaleść klucz do najdziwniejszych wypadków. Przychodziły do mnie po radę nawet młode panny. Nie skompromitowałem nigdy nikogo, choć ulżyłem nieraz. Wydam kiedyś pamiętnik choć bez nazwisk. Mam nadzieję, że zostanie najlepszem dziełem w zakresie psychopatologji.

— Pan pozwoli więc, że odejdę — wyrzekł Czarski.

— Nie! panie. Zostanie pan jeszcze u mnie. Jest pan moim gościem i proszę nie obawiać się pytań natarczywych. Mam przypadkiem u siebie butelkę Liebfrauenmlich. Niezaszkodzi nawet w denerwujących wypadkach psychicznych. Poszukamy kieliszków .Spędzimy dziś jeden wie-

czór razem, a jutro jeśli pan chce rozstaniemy się na zawsze. Towarzystwo moje dobrze zrobi panu. Masz przytem dzisiaj jeszcze jedno spotkanie. Odprowadzę pana na nie.

— Zwątpiłem już...

— Nie należy wątpić. Ja sam pana powiodę na nie. Zobaczysz jakim jestem czarodziejem. Należy się panu wdzięczność, gdyż po raz pierwszy mam u siebie tak wielkiego artystę

Lekarz poszedł szukać kieliszków. Do mieszkania zadzwonił ktoś. Rozmawiano w przedpokoju.. Słychać było nieco podniesiony głos d-ra Wolffa.

Lekarz powrócił wreszcie.

— Wie pan, iż zabawne jest, jak my sami specjaliści dostrzegamy u siebie pewne zboczenia. Dzwoniono tu. Ktoś pomylił się. Zgniewało mię to. Wszak mieszkanie moje tak jest wokół znane Otóż potem schwytałem się na tem, że nie wiedziałem, gdzie jest kredens... Mamy już wszystko.. Ale zamiast Liebfrauenmilch, przyniosłem Johannisbergera. Sądzę, że nie zrobi to panu różnicy. Znalazłem też trochę herbatników. Pozwolę sobie nalać. Wypijemy razem panie Czarski!

Szczególny gospodarz trącił się kieliszkiem, a potem mówił dalej głosem spokojnym i stanowczym:

— Obiecałem, że pan Ją dzisiaj spotka. Stanie się to napewno. Tymczasem zagram panu na fortepjanie. Dobry instrument i, jak łatwo dostrzec, z fabryki Bechsteina. Przepadałem dawniej za muzyką, niestety, mało mi zostaje na nią czasu wśród zajęć zawodowych. Trochę biegłości mam jednak jeszcze... Ale pozwoli pan, że zgaszę światło. Proszę wygodnie usiąść w fotelu.

W ciemności zabrzmiały klawisze. Duży sa-

lon rozjaśniały zlekka tylko odblaski lamp ulicznych. Dr. Wolff przechodził od melodji do melodji. Grał przeważnie utwory dawne, mało już dzisiaj słyszane. Mówił przytem głosem śpiewnym, kojącym.

— Oto teraz gromadzą się pańskie tęsknoty. Zbierają się w zaciszu. Przyjdą teraz dlatego, że p a n t a k c h c e i będą odtąd do pana same śpieszyć i przychodzić. Wzbierają już, nabierają siły... Płyną jako dźwięki najcudniejsze. Wywoływane są przez człowieka, który powinien był zostać artystą i jest artystą w duszy. Jesteśmy w Wiedniu... nazywam się dr. Wolff... Z zacisza wychylają się postacie, które pragniesz zobaczyć i zostać z niemi na zawsze. Portret! ach, nie patrz w stronę tego portretu! Ale marzysz o kobiecie, cud kobiecie, pani twojego serca już, choć poznałeś ją dopiero. Chcesz zobaczyć ją znowu... Posłuchaj... może to ta melodja... Może tę słyszałeś w owych czasach... Wsłuchaj się dobrze, bo wrażenia może jeszcze śpią ukryte... Poddaj się... Jesteś młodszy o dziesięć lat. Na chwilę nie myśl o niczem... Ach, szaleńcze! myślałeś pewnie, że nie mógłbym cię uleczyć... Najgenjalniejszy psycholog ostatnich czasów... A może ta melodja... Palce moje trochę się mylą, ale tobie w tej chwili biegłości mej nie potrzeba... Jaki ten Bechstein ma pyszny ton! A może to... Ach, widzisz już! Mówiłem... Co ty robisz?!

W powietrzu drgała Griega suita z Peer Gynta. Huczał „Powrót“—burza nad morzem.

Czarski powstał. Uniósł się jak błędny:

— Czas już! Muszę Ją spotkać!

— Wiesz już zatem, gdzie szukać jej. Przynajmniej zostanie ci z odwiedzin trochę miłe wspomnienie! Poczekaj chwilę. Musimy przecież wziąć palta! Wyjdziemy razem...

XXII.

Czarski, nie odzywając się, podążał w boczne ulice. Szedł bez wahania nie czytając nazw ulic, nie zastanawiając się nad kierunkiem. Widać było, iż zna dokładnie drogę, że obiera najkrótszą i najprostszą.

Dr. Wolff pospieszał za nim. Jego ciekawość psychopatologa poruszona była w najżywszym stopniu. Interesowało go zagadnienie duchowe, wobec którego wszystko inne przestało go zajmować. Wiedział, gdzie znajomy jego podążał. Szedł on—stwarzać sobie warunki przypomnienia.

—W gruncie rzeczy nie mam po co z nim tam wchodzić—szeptał niesamowity psychoanalityk.—Ciekawość zjawiska nie polega dla mnie na tem, kogo on spotka i co zobaczy. Interesujące jest tylko stwierdzenie istnienia pewnych sił czy zjawisk umysłowych, które występują przy dramacie psychicznym. Ten człowiek, który idzie naprzód jak lunatyk, nie pomyli się jednak w drodze i nie potrąca przechodniów. Nie śpi zresztą, ale znajduje się pod kierowniczą władzą pewnej myśli. Niektóre jego zdolności są zaostrzone, umysł ludzki objawia swe nowe możliwości i przewraca wszelkie swe dotychczasowe analizy. Widzenie w przestrzeni, wizje przeszłości, proroctwa i jasnowidzący. Do licha! Łatwo było stać się sceptykiem, gdy mądrość nauki nie pozwalała tem się zajmować.

Czarski szedł dalej. Przechodzili właśnie przez szerokie i jaśniejsze pasmo Ringu, ożywione przez ruch wieczorny. Przecięli je prosto i śpieszyli dalej.

—Gdzie on mnie wiedzie? Muszę trzymać się blisko, gdyż z tego, że taki człowiek jak on nie

dostanie się pod samochód, nie wynika jeszcze, by mnie to nie mogło spotkać. Jedzie tramwaj... O! towarzysz mój czeka... przystaje... Instynkt życiowy czuwa nad nim... Ostrzega go... Jakże śpieszy! Nie wolno mi go opuścić, bo mogę stracić ślad. Właściwie nie rozumiałbym po co gram tę całą komedję, gdyby nie namiętność naukowa. Interesuje mnie też, dokąd podąża? Możebyśmy tak wzięli dorożkę? Nie mam ochoty iść piechotą gdzieś do Döblingu. Spróbujmy spytać!... Nie chcę burzyć mego dzieła... Mógłby się ocknąć... Ciekaw jestem, co powiedziałby, gdy dowiedziałby się kim jestem... Panie Czarski!

Towarzysz jego stanął. Wzrok jego ogarnął dom... Doktór szepnął:

— Wiem już! Lokal mało uczęszczany... Licha kuchnia i kabaret po kolacji. Ale miało to swoje świetne czasy „Wesoły Wschód"—uczęszczany przez artystów. Nastrój najswobodniejszy w całym Wiedniu... Mizzi Stuudel, która tańczy z Weissem taniec egzotyczny. Bywałem tu... chodziłem nieraz...

Naraz drgnął... Czarski odwrócił się ku niemu. Oczy zupełnie miał przytomne. Uśmiechnął się uprzejmie i uczynił pożegnalny ruch ręką:

— Jestem już na miejscu. Dziękuję za towarzystwo. Żegnam pana...

Potem wszedł do oświetlonego lokalu.

Psychopatolog stanął jak wryty.

— Manja prześladowcza, czy potrzeba samotności? Dał mi poznać, żebym poszedł sobie do wszystkich djabłów! Goniłem go przez pół godziny. W gruncie rzeczy dalsze fenomeny są dla mnie obojętne. Od człowieka w jego usposobieniu nie można też wymagać zachowania prawideł grzeczności. Gdyby jednak nie wyglądał tak przytomnie! Ciekawe są te cierpienia duchowe.

Gotów byłem do wszelkich usług, ale nie będą narzucać ci się z towarzystwem. Wiem mało, ale zapewne tyle, ile mi potrzeba. Mam zresztą inne dzisiaj zajęcia. Zobaczymy się... A jednak ułatwiłem ci twoje przyjemności. Winieneś mi za to wdzięczność, panie Czarski.

Odwrócił się i, skarżąc się na odległość, wracał pieszo przez ulice.

XXIII.

Czarski wchodził po schodach na piętro. Po drodze zauważył odbicie swe przy mijaniu zwierciadła.

— Jestem młody—myślał.—Jakiż szalony byłem, przypuszczając, że przeżycia moje zmieniły mnie i gdzież ta zmarszczka, którą miały wyrysować mi na twarzy. Oczy moje świadczą widocznie o mem podnieceniu, gdyż takie czarne są i rzucają tyle blasku. Jakżeż lekko mi! Jak cieszę się na wrażenia i na poznanie świata! Z przyjemnością spojrzałem na siebie i nie dziwię się, że mogłem jeszcze i teraz pozyskać serce Lucy.

Spodziewam się też, że ona tu będzie ta nieznajoma z pociągu. Zdaje się, że wspomniała mi, że ma zamiar miejsce to odwiedzić. Czy odbywają się tu poważne zebrania artystów czy kulty „nagiej duszy.“ Zobaczymy!

W sali zbierało się dopiero towarzystwo. Czarski zdumiewał się, że spotkał kilka twarzy znajomych. Wiedeńska „Młoda Sztuka.“ Nie wszyscy widocznie. Niema Piotra Altenberga... Ale jest ich sporo przy stolikach. Nie widział ich od szeregu lat, nie stracili jednak życia, nie postarzeli się... Poeci, dziennikarze, malarze impresjoniści... Wiązane krawaty, krótkie kurtki, za-

chowanie się swobodne. Odtwórcy słońca, wielbiciele odszukanego wreszcie „plainaire'u," satanicy, symboliści...

Publiczność pomieszała się... Tuż obok nad kuflami oparte mieszczańskie twarze, ciężkie ciała syte i plugawe. Niech tłum płaci, byle sztuka miała z czego żyć.

Przy stolikach dosyć kobiet. Suknie strojne, w miarę wycięte, z drogich lub tanich materjałów. Uczesania modne, zapuszczone na uszy a la Cleo de Merode lub przepaski we włosach na wzór „królewien" Rossettiego. Oczy rozmarzone i melancholijne, ciała starają się o smukłą, subtelną linję. Gdzieniegdzie oczy podczernione u tych, które chcą pozować na „piękność chorobliwą."

Jakiż inny świat! — szeptał Czarski — Inne kobiety, inni ludzie! Jaki to dzisiaj kąt stylowy. Przypomina się któryś z malarzy... Raffaelli? Nie! Nie zupełnie Raffaelli...

Zajął miejsce przy jednym ze stolików.

Ktoś obok mówi o przedstawieniu „Zmierzchu bogów" Wagnera w operze cesarskiej. Krytykuje i zawodzi jękliwym głosem.

— I wy mówicie, że to muzyka! Zgiełk, hałas, bez sensu, bez treści. Trzy godziny nudy i dysharmonji przeraźliwej.

— Milczeć tam o Wagnerze! — zawołał ktoś. — Niepora dzisiaj wspominać trywjalne napaści Hanslicka. Zagranicą słynie on już od dwudziestu lat. Genjusz muzyczny, którego dzieci już rozumieją.

— Co za zwyczaje! — skoczył napadnięty. — Kto panu pozwolił mieszać się do mej rozmowy?

— Milczeć o sztuce, gdy jest się między artystami! Siedź pan cicho i nie obrażaj się, bo doprowadzisz do skandalu. W każdym razie intere-

suje mię zdanie takiej szanownej bryły mięsa. Pan zapewne nie uznajesz także Ibsena?

— Byłem na „Upiorach". — Pranie brudów moralnych.

Artysta syknął szyderczym śmiechem, potem rzekł do swej towarzyszki:

— Lili! zapamiętaj sobie tę twarz. Pokażesz ją dzieciom, których nie będziemy mieli. Gdy ja wtulę się w twoje magie ramiona, on będzie krzyczał, że to „świństwo", a przyszedł w nadziei, że dozna niezdrowych sensacji. Ale u nas jest życie i pierwotna siła, drogi panie. My stwarzamy sztukę. Precz z profanami.

— Karl! daj spokój, bo ten pan pieni się.

— Nic nie szkodzi. Zainteresował mnie. Zrobiłbym jego portret, gdyby dobrze zapłacił...

— Pan powiada? — spytał grubas podnosząc się.

— Zrobiłbym pana portret.

— Zgoda! — potrzeba mi go właśnie. Mam fabrykę cukierków. Mówisz pan z zapałem i mówisz być znakomitym artystą. Panna Lili pozwoli przysiąść się. — Wina! — wrzasnął — Szampana!

Sala była wielka, a prawie zapełniła się. W głębi ściany wisiała zielona zasłona, ciągle jeszcze zasłonięta.

— Zaczynać! zaczynać! — wołano.

— Kpią z nas sobie... Już dobrze po dziesiątej.

Kurtyna odsłoniła się. Na scenę wyszedł chudy pan ubrany we frak i białe rękawiczki.

— Szanowni państwo! — zawołał. — Prócz dalszego programu zapowiadani byli „Ślepcy", niezrównane dzieło znakomitego Maeterlincka; jeden z aktorów zachorował i nie można go zastąpić..

— Rodzi dziecko — przerwał ktoś na sali.

Rozległ się śmiech.

— Śmiejcie się — a on umiera na suchoty!— zawołał ktoś w tonie „macabre".

Pan z estrady mówił dalej.

— Na ogłoszeniach napisane jest, że kasa nigdy nie zwraca za bilety. Dyrekcja chce jednak przywiązać do siebie publiczność, więc odbędzie się dalsza literacka część wieczoru. Potem tańczyć będzie Mizzi Srtudel.

Zahuczały oklaski.

— Proszę więc o skupienie, gdyż sztuka idzie do was. Bez szmerów, bez szeptów! Bylibyśmy zmuszeni pousuwać niesfornych gości.

Część literacka trwała zbyt długo. Popisywali się różni autorowie i poeci. Oklaski płynęły dosyć skąpo.

Nastała przerwa.

— Nie dam się nabrać drugi raz — szepnął jeden z gości.— Dlaczego mi nie wolno, ani słowem odezwać się? Tu niema żadnej zabawy. Mnie to nudzi. Gdzie sens a gdzie dowcip? Przeważnie smutek i smutek.

— I miłość... dodał ktoś.

— Zamało skandalu! — westchnęła jakaś gruba pani.

— Mizzi Strudel — zawołano.

Tak, to była Mizzi Strudel. Chudy pan z estrady usiadł teraz przy pianinie i począł grać. Puszczono kolorowy reflektor. Wybiegła na scenę Mizzi Strudel i ukazał się Herman Weiss. Ona ubrana była w czarną suknię, on we fraku i w masce. Z lękiem cofała się przed tancerzem. Ale już, już schwycił ją w swoje ramiona. Powlókł ją przed publiczność i porwał ją w tan. On pokazywał czarne, płytkie lakierki, ona czarne jedwabne pończochy i kolorowe podwiązki.

Pianista z wiedeńskiego walca, przeszedł na kankana.

Widzowie drżeli w niemem oczekiwaniu. Tańcząca para rzuciła się ku sobie w swawolnem, tanecznem wyuzdaniu. Szalenie, szalenie, szalenie. Nagle Weiss zdjął maskę i pocałował Mizzi Strudel. I ledwo uczynił to, już ona zwisła na jego ramieniu, rozpuszczając włosy w tył głowy i pokazując białą pierś w sukni wyciętej. Umarła!

Dreszcz spazmatyczny ogarnął widzów.

— Cieszcie się mieszczuchy! I wy tak będziecie tańczyć — zawołał ktoś ironicznie.

Pianista dalej walił kankana. I oto objęta śmiertelnym uściskiem para zerwała się ze swej malowniczej pozy, zeskoczyła z estrady i poczęła tańczyć po sali.

Cofano krzesła, a służba odsuwała stoliki. Muzyka przeszła znowu w walca.

— A jednak tu jest życie — zauważono w pobliżu Czarskiego.

Część publiczności tańczyła już także.

— Zamknąć drzwi. Pilnować, by tu już nikt nie wszedł—wołał gospodarz.

— Kto został z publiczności proszę wychodzić! — Krzyczano od stolików. Zaczyna się prywatna zabawa artystów!

Część zebranych istotnie posłuchała wezwania. Inni poczęli tańczyć. Pijacka werwa ogarnęła zebranych. Brutalne ramiona mężczyzn gęściej tuliły ku sobie delikatne ciała kobiet..

— Jak Mizzi mogła to zrobić! Jutro mi przedstawień zakaże policja. Trzeba było najpierw zaczekać, aż widzowie się rozejdą — jęczał gospodarz.

— Nic panu nie stanie się. Niech te ropuchy

choć raz w życiu mają niespodziankę. Uspokój się pan! Nie doniesie nikt do policji.

— Nigdy z twarzy wnosić nie można — wzdychał właściciel. — Mógł być ktoś przebrany.

— Malarze biorą na siebie całą odpowiedzialność! Każ pan u licha resztę stołów poodsuwać.

Przy bufecie strzelały korki od szampana.

Czarski, który wstał już i chciał wyjść, nie mając towarzystwa, zatrzymał się nagle.

Pod sceną, oparta ręką o estradę, stała Ona... Ona! ta cudna! Ewa!

Stała smukła, o przedziwnie czystej linji, w jasnej wieczorowej sukni. Cofnęła się trwożna aż ku estradzie. Dwóch panów, podpitych już, zbliżało się ku niej natarczywie i prosiło ją do tańca.

— Proszę zostawić mnie... Jestem sama... chcę wyjść...

Czy to ona, czy też tylko cudowne zjawisko? Czy cały ten wieczór snem jest czy rzeczywistością? Czarski zrywa się, roztrąca natarczywych i ujmuje dziewczynę za rękę.

— Ta pani jest ze mną...

— Proszę wybaczyć. Nie wiedzieliśmy—szeptali panowie, starając niezgrabnie ukłonić się.

— Może wypijemy razem?—proponuje drugi.

Wobec braku odpowiedzi cofają się. Stracili humor zupełnie i rozkołysanym krokiem wracają w zygzaki do bufetu.

Czarski słyszy bicie jej spłoszonego serca. Ujmuje ją pod rękę. I jemu również serce bije w tej chwili, ale zarazem ściska się boleśnie.

— Czy wyjdziemy?—pyta.

— Niech pan wyprowadzi mnie—Boże! co za przygoda!

— Skąd pani tutaj?

— Przez ciekawość. Chciałam zobaczyć, jak ludzie bawią się... W Monachjum bywałam także, ale zawsze miałam znajomych...

Czarski patrzy na jej cudną, cudną postać. Czemu ona chodzi, by patrzeć na to? Ona, ta poezja najwyższa i najczystsza. Kwiat egzotyczny, który nawet tu, wśród tych ludzi, olśniewa aksamitną i pachnącą bielą płatków swoich. Biały paw, który przeleciał ponad gorące opary niskiego ludzkiego życia i zdawał się musnąć je swemi skrzydły.

A jednak poeta odczuwa zazdrość. Jest mu smutno. Jakiś bezmierny, nieziemski smutek dręczy go i nęka. I oto powstać ma najcudniejszy z wierszy jego o białym pawiu.

Tak miłość jego drugi już raz budziła się z bólu i zazdrości.

XXIV.

Oto świat wizji niespodziewanych otoczył „człowieka bez przeszłości."

Przybiegały doń wspomnienia jego młodości i biorąc się za ręce, osnuwały go swoim śpiewem.

Cierpienia i tęsknoty, zazdrość i pierwsze wzruszenia nadziemskiej miłości spływały nań kolejno, dręcząc go, zachwycając, burząc lub pojąc.

O gdzieżeś jest ty pani najcudniejsza, cudowna zjawo, która wyrosłaś nagle przed nim drżąca a wytworna wśród orgji „Wesołego Wschodu."

Co stało się z tobą? Czy na zawsze rozwiałaś się w cień, czyli błądzisz jeszcze po świecie, rozdzielona z tym, co wyrwał rąk napastników kwiat niezwykły twojej urody.

Piotr Czarski wie, że jesteś wizją tylko. Nie wie jeszcze czy istniałaś naprawdę i oto wczoraj wysłał list do pana Raula, by donieść, gdzie przebywa.

. . . . . .

Wracali wówczas razem ujęci pod rękę.
Młody artysta kochał już i cierpiał.
Jest wiersz Samainowski pełen smutku, pisany z powodu lilji, które zmieniają się w róże.
Są ciała kobiece tak czyste, iż chciałoby się nosić je na ręku, by stopy ich nie dotknęły prochu ziemi. Kto przywiódł cię między tych szorstkich i ohydnych ludzi. Skąd przyszłaś tam? Ewa! Ewa!

— Niech pan mię słucha — mówi mi dziewczyna.

Wszyscy wy jesteście ludźmi „bez dogmatu“ i znużeni życiem rwiecie je na strzępy.

Przyszliście na świat z cierpieniem i zwątpieniem w sercu i rzucacie przelotne płomienie, barwne ognie lub palące żary w szarem życiu.

Spaliliście w sobie bez śladu wiarę ojców.

Nie pytaj mnie, kto jestem? Nie masz prawa śledzić ani teraźniejszości mej ani przyszłości.

Może jestem panną z białego dworu, która codzień rankiem błąkała się po ogrodzie pieszcząc kwiaty swoje. Może chodziłam zawsze w sukni białej i pielęgnowałam swe ręce marząc o trudzie i poświęceniu.

— Nie mam prawa pytać cię, nie mam prawa.

— Może czytywałam poezje Ady Negri i w duszy swej zrywał się bunt wobec Boga, że każe rozłączać się i umierać. Łzami ciepłemi oblewałam każdą śmierć i na myśl o niej jęczałam, wijąc się z rozpaczy. Moje stopy nie stworzone były tylko do kobierców i pałaców, a ja wyrwałam się z klatki złoconej. Pojechałam tam, gdzie

zobaczyłam powiewający tryumfalnie młody sztandar nasz. Zbieramy się pod nim my, którzy cierpimy, my, którzy nie możemy przełamać woli losów i wołamy: Gdy wszystko ginie — niech żyje sztuka!

— Tak. Mówisz to słusznie. Zbieramy się pod tem hasłem my wszyscy, których dusi życie, my wszyscy, którzy cierpimy. W muzykę zamieniamy wiersze i kołyszemy melodją jej subtelną nasze smutki i nadzieje. Uciekamy w mistyczny złudzeń świat, a w tem wszystkiem znaleźliśmy jeden tylko silny ton: poezję zmysłów, szał w zatraceniu czy w prawdzie. Jak malarze chwytamy wzrokiem tony i barwy. Rzeźbimy cudownie puhary i pijemy z nich trujące wino, by zapomnieć, zapomnieć!

— Gdyż Piękno w życiu jest, ale nad nami czuwa chmurna twarz. Boję się, boję — szeptała dziewczyna.

— I w obawie przed tem snujesz nici nastroju, by nie słyszeć jak dzwoni godzina Przeznaczenia.

— I w obawie przed tem wolałabym, ubrana w róże, w płomień iść niż słuchać w samotności jak biją zegary Przeznaczenia!

— O pani cudna i biała. Mówisz, że chciałabyś w płomień życia iść, a jednak we wzroku masz coś takiego, co wstrzymuje nawet natarczywość spojrzenia.

Miłość godna jest tylko ciebie, gdyż miłość tylko godna jest Rozkoszy świata.

Za piękną wydajesz mi się, za czysta. Nie wiesz nawet jak nieziemskiem byłaś zjawiskiem.

Powinnaś istnieć gdzieś na skraju życia. Złote mgły powinny przychodzić kąpać się i od całej przyrody głos winien płynąć:

Masz złotorude włosy, rozpleć je! Masz czoło białe jak śnieg i giętkie jak ljana ręce, pokaż nam

je. Masz duszę cudną jak poranek wiosenny, więc maleńkiemi usty zawiedź nam radości pieśń. Pani słońca, kwiecie rozkoszy, Ewa!

Nieznajoma klasnęła w dłonie radośnie jak dziecko:

— Opowiada mi pan bajkę. Ale to koi mnie i uspokaja. Już nie lękam się niczego. Jakżebym chciała być tak piękna! I jakbym chciała, by kąpały mnie złote mgły i by kochał mnie człowiek, który opowiadałby mi cudowne opowieści, a był taki silny, że obroniłby mnie nawet przed sobą samą i nie dałby mnie nikomu, nikomu.

— I by przyniósł miłość tak potężną, jak życie, a tak silną jak śmierć?

Ewa wyrwała się z uścisku, którem ramię jej objął Czarski. Stanęła przed swym towarzyszem i cofając się, oparła się o ścianę domu. Otworzyła szeroko swe duże oczy, rozświetlone teraz srebrnym promieniem księżycowym.

— Po co to słowo? Ja nie chcę widzieć. Ja lękam się, lękam, lękam.

*

Chodzili wtedy długo razem w noc księżycową.
Mówili z sobą o życiu i poezji,
Chodzili wtedy długo razem w noc księżycową.
Czy to dwie żywe postacie były, czy tylko wizje Czarskiego?

XXV.

Czarski odbywał teraz włóczęgę po dużem mieście. Wstawał koło południa i do pokoju swego w hotelu nie powracał aż późną nocą. Znał się na architekturze i umiał piękno szczegółów jej nawet ocenić, tułał się więc trochę po ulicach, zwiedzając dość liczne zabytki starego Wiednia

od pomrocznego kościoła św. Szczepana aż do dawnych części Burgu.

Podniecenie jakieś nerwowe pędziło go, przerażało myślą o pobycie w samotnym pokoju. Dzień aż do wieczora nie przynosił mu uroku ani przyjemności, nic dziwnego zatem iż pomyślał o tak interesującym doktorze Wolffie i postanowił go odwiedzić.

Udał się raz więc po południu na Körtnerstrasse, postanawiając sobie, by jeśli uczonego nie zastanie nawet w domu, zostawić mu kilka słów z zachętą do spotkania. Doznał z jego strony dużo uprzejmości, a rozstał się z nim dość niegrzecznie. Pozatem Czarski jako artysta miał zawsze skłonność do typów ciekawych, przygodny znajomy w pociągu zajął go oryginalnemi poglądami na moralność i widoczną znajomością psychiki ludzkiej.

Poeta wiedział, że psychoanaliza nie jest metodą nową, ale niesamowity lekarz wydawał się poprostu Scherlokiem Holmesem w praktycznem zastosowaniu wiedzy. Zdawało się, iż gdy on przez chwilę popatrzy na człowieka, zna już zupełnie jego proces myślowy i że jest równie biegły w śledzeniu jego wrażeń jak bohater nowel Doyle'a w dociekaniu przyczyn zbrodni.

Zadzwonił zatem Czarski do mieszkania na Körtnerstrasse. Otworzył mu z gniewem widocznym stary służący.

— Nic dziwnego — pomyślał artysta. Nie przychodzę w godzinach przyjęć. Niezna mnie zresztą nikt, prócz właściciela mieszkania, gdyż lokaja, o ile pamiętam nie było w domu.

— Czy jest pan? — zapytał.

— Kto taki?

— Czy jest doktór Wolff?

— Nikt podobny tutaj nie mieszka —

brzmiała krótka odpowiedź, poczem zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem.

— Pomyliłem się — pomyślał. — Numer domu pamiętam dobrze, ale widocznie trafiłem do niewłaściwego mieszkania. Sprawdziłem to już nieraz, iż jeśli po raz pierwszy idę gdzieś z przewodnikiem, to później tej drogi nie pamiętam.

Zeszedł na dół i starał się odszukać pożądane nazwisko w spisie lokatorów. Dozorca domu również nie wiedział nic o niem. Wskazane mieszkanie zajmowało nowo poślubione małżeństwo, które było nieobecne od kilku tygodni, gdyż wyjechało na Południe.

Czarski zaniepokoił się nieco. Znakomity psychoanalityk rozwiewał się przed nim we mgle razem ze swojem wspaniale urządzonem mieszkaniem. Wobec tego udał się do umieszczonej naprzeciw kawiarni i kazał podać sobie księgę adresową. Między lekarzami nie znalazł i tam D-ra Wolffa.

Sprawa przedstawiała się zagadkowo. Poeta błądził i umiał błądzić w świecie wizji, ale i wówczas nawet odróżniał dotąd prawdę od złudzenia. Posiadał zresztą przy sobie jeszcze kartę lekarza, doręczoną sobie w pociągu. Dr. Wolff postanowił widocznie zniknąć, ale w jakim celu! Przyjmował go w nieswojem mieszkaniu. Czy wszystko to nie przedstawiało jakiego niebezpieczeństwa? Trudno było przypuścić, by człowiek bądź co bądź o niepospolitem wykształceniu i upodobaniach artystycznych zechciał korzystać z jego zwierzeń i wyjątkowego położenia. Nie wydawało się nawet, by to był zabłąkany na fałszywym tropie, agent policji międzynarodowej.

Przy tem wszystkiem chciał on leczyć poetę i niemało mu on zawdzięczał. Wszakże to umiejętnie dobrana muzyka stara pieśń Griega, naprowadziła jego myśli i wspomnienia na ślad Ewy i

„Wesołego Wschodu.“ Prócz tego, albo zdolność jego pamięciowa rozwijała się sama obecnie, albo też potężnej suggestji lekarza zawdzięczał to, iż by „przypomnieć sobie“ nie potrzebował już szukać miejsc, gdzie znajdował się w przeszłości. Wspomnienia, które przedtem szły z zewnątrz, teraz już sunęły się zwolna, kolejno, z głębi myśli. Trzech potrzeba tu było tylko czynników: nocy, samotności i muzyki.

Próżno było wołać minione lata. Przychodziły one tylko w chwilach wzruszenia i przejęcia, ale od czasu drugiego widzenia Ewy poeta czuł życie ich wyraźnie wokół siebie i, pozostając w Wiedniu, wizjami swemi opuścił go już, a bawił we wspomnianym przez Bielawskiego i Wawrzona „mieście starych wież“.

Zniknięcie D-ra Wolffa zaniepokoiło go więc teraz, ale choć nie umiał go sobie wytłomaczyć, nie spodziewał się z tego powodu żadnych przykrości.

Prócz tego znalazł niespodziewane towarzystwo znajomych ze Szwajcarji. Byli to amerykanin Stinton i profesor Ernst. Okazało się, iż profesor zajmował się nietylko filologją, ale posiadał też niezwykle wyrobiony zmysł praktyczny. Dowiedział się, iż bajecznie bogaty Stinton przebywa jeszcze w Paryżu i wierny swej zasadzie, że człowiek powinien jaknajbardziej dążyć do tego, by stać się niezawisłym materjalnie, postanowił wyeksploatować amerykanina. W jaki sposób zdołał pozyskać go sobie i namówić, nie wiedział nikt, dość, że zdołał przelać w niego myśl założenia olbrzymich Palace-Hoteli we wszystkich stolicach europejskich. Przyjechali obecnie badać stosunki w Wiedniu i Czarski spotkał ich raz na ulicy podczas badania miejsca pod budowlę.

— Cztery tysiące pokojów—gorączkował się Ernst.—W każdym telefon i przy każdym tusz i łazienka. Olbrzymie sale jadalne, czytelnie we wszystkich językach, własny kinematograf, dwustu czterdziestu pucobutów. Obliczyliśmy wszystko, wymierzyliśmy długości. Zysk zapowiada się wspaniale. Pokażemy Europie, na jaki wykwint zdoła zdobyć się Ameryka.

— All right—mruczał amerykanin—ale nad tem musimy się jeszcze zastanowić.

— Po co zastanawiać się—nawoływał profesor.—Obliczenia są gotowe...

— All right—przejrzymy je raz jeszcze.

— Wszystko to dobrze—mówił Czarski,—ale co to wspólnego ma z filologją?

— Ciężkie czasy; sztuka życia, drogi panie.— Epikur był także i to wcale mądrym filozofem.

Spotykali się przez kilka dni. Amerykanin pojawiał się mało. Sprawdzał ceny, radził się dostawców.

— W nic nie wierzy, wszędzie widzi podstęp—biadał Ernst.—A taki był miły jako zwykły znajomy w Szwajcarji!

Czarski skorzystał z tego, iż profesor zwątpiwszy raz w możność przekonania twardego yankesa, popadł w melancholję, i począł coś znowu mówić o filozofji. Chciał wybadać go o Dra Wolffa.

— Co pan sądzi o psychoanalizie?—zapytał.

— Bardzo ścisła gałąź wiedzy ludzkiej, choć znajduje się jeszcze w stadjum rozwoju i nadto poczynają niektórzy przekształcać ją na poczęcie. Promieniowała niedawno z Genewy. Niektórzy uczeni próbowali nawet użyć jej do badania dzieł literackich.

— Poznałem niejakiego Dra Wolffa, który tem się zajmował..

— Dr. Wolff? Nie znam go wśród profesorów. Pozwól pan jednak.. Był przed kilku laty jakiś Wolf, który napisał broszurę o psychopatologji. Narobiła wiele hałasu. Jedni twierdzili, że jest genjalna, drudzy, że brak w niej metody naukowej. Stopnia doktorskiego nie miał jednak. Był to podobno medyk niedouczony. Zniknął odtąd bez śladu.

Tu profesor westchnął:

— Co to jednak wszystko znaczy! Mój hotel. ach, mój hotel!

Mówił o tem podobno nawet przez sen i zapadał już zdaje się na lekkie pomieszanie zmysłów na tle oberży i zajazdów.

Czarski przebywał z nimi dosyć często. Amerykanin, który piłował Ernsta, odnosił się do niego przychylnie, prawie serdecznie, a wyjeżdżając, chciał wyprawić wieczerzę na jego pożegnanie. Czarski odmówił jednak. Była to pora dnia, której nie oddawał nikomu. Była to pora czaru jego wizji.

Do tej chwiliraczej radość sprawiały mu one boleść. Na ekran jego duszy padały czarowne nieraz obrazy. Przeżywał nanowo uczucia, które wyszły już z jego pamięci, ale światło ich raczej łagodnie osnuwało jego myśli i gdy sen minął, wracał do jawy. Nie sądził jeszcze, iż siła tych wspomnień mogłaby schwytać go i uwięzić. W jednej z pogodnych chwil wysłał więc list do pana Adamieckiego, w którym donosił, iż niedługo zapewne przyjedzie i pytał się serdecznie o Lucy.

Lękał się niekiedy, by chwile przeżywane nanowo, nie uleciały znowu na zawsze lub nie zmierzchły w jego pamięci, próbował więc pisać o nich, jak to dawno już rozpoczął.

Nie wiedząc o tem, wciągał się przez to tem więcej w zawrotne koło swej przeszłości.

XXVI.

Coraz bardziej świat moich wspomnień wypełniają ludzie różni.

Chodzą koło mnie, widują się ze mną, rozmawiają.

Niejeden z nich nie żyje już, lecz mimo to pojawia się i przychodzi.

Wizjami swemi opuściłem już te miejsca, w których żyję i poruszam się na jawie. Znajduję się w „mieście starych wież."

Wrażenia dawne wychodzą z mej podświadomości. Początkowo męczy mię to. Zdaje mi się, że w duszy otwierają się tysiączne kryjówki i z każdej z nich wydobywa się zapomniany dreszcz przeżycia. Niekiedy szarpie mi to nerwy, ale powoli wszystko unosi się ku górze łączy się z sobą i znajduję się wówczas jakby w przejrzystej kopule, której ściany tworzy opalowy dym.

Powoli znika i ona. I oto wówczas już widzę świat moich dawnych lat. Jestem w nim do tej pory więcej jakby widz w teatrze. Widzę, co otacza mnie, dostrzegam i słyszę siebie, doznaję uczuć swoich nawet, a jednak naprawdę nie gram jeszcze swojej roli.

Wrażenia podniecają, ale nie szarpią mnie. Dotychczas przynajmniej nie ulegam ułudom i wiem, że życie moje prawdziwe i czynne jest w dzień, w okręgu mojej spółczesności. W dramacie wspomnień w i d z ę siebie, ale nie d z i a ł a m i to napełnia mnie nadzieją na przyszłość, gdy rozplączę wreszcie węzeł sam, bez żadnej lekarskiej pomocy i przestanę czytać dzień wczorajszy.

Jakież dziwne jednak, nie dzisiejsze prowadziłem wówczas rozmowy. Zdumiewam się nad ich treścią. Jakże inny może być człowiek, gdy oglądamy go w świetle dziejów! Przypatrujemy

mu się zwykle według własnych zasad i pojęć, nie rozumiemy go często, gdyż nie możemy czuć i myśleć z nim razem.

Oto odwiedzają mnie teraz ludzie, przeważnie literaci i artyści, ale także społecznicy, politycy lub estetyci, którzy porwani zapałem naszym, targają ledwie wyczuwalnemi nerwami wrażliwości, świadomi tego, że schodzi ku nam epoka nowa i nieznana, która zmieni postać świata. Żyjemy wszyscy w ekstazie prawie i staramy się tajemnicze uczucia i obrazy odgadnąć sztuką nową i potężnym wstrząsem nowych dreszczy.

Nieraz myślę sobie, że za mało jest wśród nich płomienia dzieł potężnych i zamało kultu wielkiego człowieka. Cenią mnie i wyróżniają za to, że nie lękam się wielkich planów i nie wyrzekam potężnych zamiarów. O sobie mówią przeważnie, że potrafią żyć tylko chwilą i twórczość swą rozbijać na przelotne wrażenia i impresje. A jednak nieprawda to! Wielkość jest w niejednym z nich, i w dramatach Wierbowskiego i w poezjach Orwicza.

Chodziłem wczoraj długo z amerykaninem i profesorem Ernstem, który zwątpił już w powodzenie swoich planów hotelowych i zamierza przy jego pomocy, a wraz z pewnym prokuratorem na emeryturze założyć fabrykę chińskich amuletów, przynoszących szczęście. Stinton uśmiecha się i obiecuje im dopomóc. Zdaje się zresztą, iż profesor od dłuższego już czasu żyje na jego koszt, gdyż dochody nie pozwalają na odbywanie ciągłych zbytkownych podróży. Rozstałem się z nimi dosyć późno, a zaraz potem w oczach moich stanęły wizje z przed lat i do mego pokoju weszli Orwicz i Wierbowski.

Dziwny to pokój był, pełen książek i rękopisów. Znajdowało się w nim razem album Ropsa

z kopjami angielskich prerafaelitów. Wydanie „Tysiąca i jednej nocy" z cudownemi ilustracjami Moreau i wielka odbitka „Ciszy leśnej" Böcklina. Na półkach Ibsen, Barbey d'Orevilly, Maeterlinck, Rodenbach i Beaudelaire obok Verlaine'a.

— Do prawdy nie dochodzimy wprost, ale przez symbol,—mówił Wierbowski, który jest głośnym już dramaturgiem.—Drobny szczegół psychiczny, który przechodzi bez zwrócenia naszej uwagi, wyolbrzymia się, wyrasta potem tajemniczy i nieznany, tworzy wreszcie tragedję, burzy, łamie i niweczy. Ideałem jest piękna linja, a miarą talentu jest umiejętność wywoływania nastroju. Tylko przez nastrój dochodzi człowiek do dna duszy, każde inne odczuwanie daje mu tylko pozory istotnej rzeczywistości.

— Co piszesz teraz?—zapytałem.

Ale dramaturg niechętnie opowiadał o pracach nieskończonych. Mówił, że tracą dlań urok świeżości, a zwierzanie pomysłów jest podobne do pokazywania kobiety obnażonej, która ubrana strojnie i stylowo ma ukazać się wieczorem w towarzystwie. Rzadko zajmował nas też czytaniem swem dramatów i wolał zawsze posłać chętnym bilety na ich przedstawienie. Kobietami zajmował się ciągle, przedstawiał je często jako postacie pełne wpływu i siły, wierzył w twórczą i zabójczą, ale potężną i nieuchwytną moc instynktu.

— A gdzież inni są?—zapytałem.

— Zobaczysz ich wszystkich. Przyjdą oni powoli do ciebie. Będzie wśród nich i Seńkowicz, krytyk literacki, który zna wszystkie piśmiennictwa świata, olśniewa morzem nazwisk, a jest przytem idealistą i marzy o sile narodowej. Zobaczysz i księcia Borysowa...

— Powiedźcie mi, kto to jest właściwie? Widujemy go prawie codziennie.

— Bardzo dzielny rewolucjonista. Nie wiemy zresztą, jak nazywa się naprawdę. Wierzy jak w dogmat w wyzwolenie Rosji przy pomocy oświeconej a rewolucyjnej inteligencji. Rzucał podobno sam bomby, lecz spodziewa się odrodzenia swego kraju we wszechdobroci i wszechmiłości. Rozpływa się nad szlachetnością natury ludzkiej i brzydzi krwią. Cierpiał dużo, a jest widocznie człowiekiem dużej kultury. Żyje teraz na wygnaniu.

— A przy nim zawsze Wiera?...

— A przy nim zawsze Wiera... Patrzy w ekstazie w oczy Borysowa a żeru niesyta, gotowa jest oddać się każdemu mężczyźnie, który okaże, że jej pożąda. Gdy zapalimy światła w umbrze japońskiej, a Krysiewicz gra na fortepianie, ona zasiada wówczas głęboko na kanapie i tuli się do najbliższego sąsiada. Borysow patrzy na to, poczem wpada w głęboką zadumę o tajemniczej naturze ludzkiej.

— A gdzież Widman?

— W więzieniu...

— Co się stało?

— Chłopak zamiłowany w paradoksie uciekł, jak wiesz, ze szkół, mając lat siedemnaście. Ideałem jego jest świat przeciwieństw. Niedawno w miejscu publicznem wołał głośno: Vive l'anarchie! Nie poznano się na dowcipie, ale wypuszczają go podobno po umorzeniu sprawy. Jemu tyle zależy na anarchji, co mnie na miłości Wiery.

— Zastanówcie się nad sobą sami—mówi Orwicz.—Jest w nas płomień i ekstaza, które wątłe nawet żary rozdmuchują w ogień. Nosimy nad głową wszyscy korony z barwnej ułudy, ale czy wiele będzie w nas siły i wytrwałości? Kobiety, które otaczają nas są wrażliwe i subtelne, podniecone i zmysłowe, ale czy są pomiędzy niemi typy

czyste, silne, zdolne zdobyć się na uczucie wielkie i stać się siłą lub przeznaczeniem? Gardzę sam wszelką moralnością, ale wierzcie mi, znużony już tem jestem. Znużony jestem tą miłością bez czci i chwilami sądzę, że wolałbym już kobietę ubóstwiać, niż pieścić ją i brać w ramiona. Czy jest między nami taka kobieta biała i czysta?

— A Ewa?!

. . . . . .

Oto jeden obraz, jeden okrąg wrażeń! Przychodzą potem inne. Zebraliśmy się wszyscy— zdaje się—u Orwicza. Jest obok niego Wierbowski i Widman. Na tle lampy rysuje się poważna twarz Borysowa. Widzę wyraźnie, iż pokryta jest obfitym blond zarostem. Oczu nie widzę, bo pochylił się, ale przysiągłbym, że ma niebieskie, i zamyślone. Oczy zagadki, marzyciela i bohatera, tołstoisty i mordercy, dobrotliwe i straszne przez to, że nie widzą świata, nie rozumieją celów i skutków, a patrzą na wszystko przez utopię.

Wiera szaleje więcej niż zwykle. Przed chwilą, gdy Krysiewicz grał „Marsza żałobnego“ Chopina, zerwała się z kanapy i poczęła palcami uderzać po klawiaturze. Krysiewicz pogniewał się. Zamknął fortepian. Objęła go wtedy z tyłu wpół i jak dzikie zwierzątko zęby wbiła mu w kark. Odtrącił ją brutalnie, a Borysowi mówił dobrotliwie:

— Wiera! Wiera! jakieś ty dziecko! Co ty robisz?

„Jest już między nami i Ewa. I jej postać widzę na tle lampy. Siedzi sama, a złotorude włosy jej mienią się od światła, zdając się otaczać głowę jej aureolą. Siedzi sama i zamyślona. Nie rozumiem jej.. Wydaje mi się, że od czasu do czasu spogląda na Borysowa.

Podnosi się Orwicz, który przed chwilą tracił mnie i pokazując mi Ewę w aureoli jej włosów, powiedział mi:

— Tobie zawdzięczamy, że przyszła do nas. Popatrz się, jaka ona piękna!

Widzę, że przyjaciel mój podziwia ją, ale nie czuję wobec niego zazdrości. We wzroku jego niema nic z męskiej chuci, jest tylko zachwyt. Naraz mówi do niej:

— Niech pani rozplecie swoje włosy, niech pani je rozplecie!

Uśmiech wybiegł na jej świeże, zlekka rozchylone wargi. Podniosła się i poczęła jakby mechanicznie wyjmować szpilki jednę po drugiej. Ona wiedziała, że ma włosy piękne. Dumna z nich była, chciała je pokazać. I oto rozlały się po karku jej, plecach i ramionach płynną falą. Wiły się, spadały daleko poza pas. Zadrżeliśmy wszyscy, ogarnięci dreszczem, z którego nie mogliśmy zdać sobie sprawy. Nagle Wiera w mowym porywie uklękła przed nią i biorąc jedno złote pasmo w ręce, poczęła przytulać je do ust.

Ewa stała spokojna, zlekka uśmiechnięta i białą swoją szczupłą dłonią gładziła włosy Wiery.

Krysiewicz grał potem jeszcze rapsodję Liszta, a ja napisałem wówczas mowy wiersz, cyklu „Oceanid...“

. . . . . .

Dostałem dziś depeszę o krótkiej treści: Przyjeżdżaj pan. Obecność natychmiast potrzebna... Adamiecki.

XXVII.

Pewnego dnia Stefa Mirówna zadzwoniła do mieszkania państwa Adamieckich.

Przyjęła ją tylko Lucy. Panienka smutna i melancholijna powróciła ze wsi i znalazła się znowu pod opieką pana Raula.

Byłoby im z sobą po dawnemu dobrze, gdyby nie to, że Lucy myślała ciągle o Czarskim. W egzaltowanej swej i uczuciowej duszy wyobraziła sobie, że poecie dlatego właśnie będzie w życiu potrzebna, ponieważ jest on widocznie nieszczęśliwy, a kochała go tem bardziej, ponieważ widziała trochę siwizny na jego skroniach i myślała sobie, że to smutno starzeć się, gdy było się przedtem tak jak ona, młodym i ruchliwym.

Wszystkie szaleństwa możliwe są przy rozbudzonem uczuciu, ale uczucie Lucy wypływało z pobudek czystych i było mało egoistyczne. Pragnęła szczęścia, opieki, serdeczności i dobroci dla tego, kogo kochała. Jakże obok tego byłoby miło znaleźć się w jego drogim uścisku.

Panienka była skautką, nasłuchała się różnych szlachetnych zasad, a nie umiała rozdwajać swojej myśli i działań. To, co mówili jej, uważała za piękne i chciała stosować w życiu codziennem. Zakłopotanie jej duszy byłoby pojawiło się dopiero wówczas, gdyby musiała wybierać między Czarskim a dziadkiem, gdyż pan Raul był jej też ogromnie drogi, jeszcze starszy i zostałby także bardzo samotny. Ponieważ jednak dziadek zgadzał się, więc mogła swobodnie tęsknić do ukochanego.

Z początku rozpaczała z powodu braku wiadomości, warjowała, uciekała na wsi na całe dni w pola, gdy dowiedziała się, że Piotr na dłuższy czas wyjechał. Kładła się w gąszczach i leżała

bez ruchu prawie cały dzień. Przeziębiła się przytem, poczęła chorować i pan Raul, jaknajrychlej zabrał ją do miasta, gdzie żyli już oboje zacisznie i spokojnie.

Czuła Lucy, że los nie jest w jej ręku, ani nawet w ręku Czarskiego, ale zależy od rozjaśnienia się jakiejś tajemnicy, prawie od przypadku. Po pewnym czasie zżyła się z myślą, że trzeba czekać, aż przyjdą nowe wiadomości. Czarski zniknął w świecie, jak i pojawił się przedtem, nagle i niespodziewanie. Jak złota radość więc przybiegł od niego teraz list, iż przebywa w Wiedniu i zapewne wkrótce przyjedzie. Więc pamięta! Przybędzie i opowie coś. Było to takie szczęście, że dziewczyna nie chciała mu wierzyć.

Lucy zdziwiła się, widząc u siebie Mirównę, której nazwisko spotykała nieraz na przekładach. Stefa widocznie była wzruszona i przychodziła w jakiejś ważnej sprawie. Żałowała, że nie zastała pana Adamieckiego.

— Mogę wszystkiego wysłuchać. Zawsze powtarzam dziadkowi—powiedziała rezolutnie panienka.

— Muszę jednak koniecznie zobaczyć go osobiście. Chodzi tutaj o kogoś, kto u państwa mieszkał przez czas dłuższy.

Lucy nadstawiła uszu.

— Jeżeli mieszkał z moim dziadkiem, to i ze mną...

— Był to niejaki pan Niemira. Pamięta pani to nazwisko?

Nagłe zmieszanie odbiło się na twarzy zagadniętej. Nabrała ona takiego wyrazu niepokoju, że Stefa zastanowiła się.

— On tutaj i ta dziewczyna. Czyżby w nim kochała się?

— Ma pani słuszność—szeptała urywanym

głosem Lucy, która czuła, że nie wolno wydawać jej tajemnicy.—Należałoby o to spytać się dziadka... Czy pani dawno zna pana Niemirę?

— O! znałam go jeszcze przed laty, przed wielu laty. Był teraz raz u mnie w Warszawie. Wiem o nim wiele, bardzo wiele...

— I pani wie, kim on jest naprawdę?

— Wiem kim on jest naprawdę i dlatego przyszłam, żeby dowiedzieć się, gdzie przebywa obecnie. Rozumiem jednak, że pani nie wie, czy należy mi mówić o tem. Dlatego właśnie chciałam zobaczyć się z panem Adamieckim.

Lucy zrozumiała, iż jeśli sama nie powie nic, to także niczego się nie dowie. Odpowiedziała więc:

— Owszem, zdaje się, że mamy obecny adres pana Niemiry. Niema go tutaj w każdym razie.

Potem zapytała z nagłym wybuchem:

— Czy przynosi pani jakąś bardzo złą wieść dla niego? Czy to grozi jego szczęściu i spokojowi?

Stefa uśmiechnęła się:

— Nic tak bardzo złego... Dla pani wiadomość ta powinna być nawet miła. Trzeba mu donieść poprostu, iż obecność jego jest tu zaraz potrzebna. Będzie wdzięczny za to. Mogłaby mu grozić tylko strata materjalna, a może przypadkowo—ujawnienie jego nazwiska. Gdyż ja widzę te książki na stole i wiem już, że i pani wie to dobrze, iż on naprawdę nazywa się Czarski.

Stefa widziała, że Lucy goni już ostatkiem sił. Wiadomość, że Czarskiemu nie grozi nic, wywołała u niej reakcję po gwałtownym niepokoju. Panienka chciała płakać, miała już lśniące djamenciki łez na oczach.

Wówczas literatka z tą swobodą, którą dały

jej znajomość ludzi i życia, powiedziała cicho i łagodnie:

— Pani go kocha, panno Lucy, ale to, co mam powiedzieć, nie grozi nic szczęściu pani.

Panienka nie uznała za stosowne wypierać się. Ona dumna była, że takiego właśnie człowieka kocha. Pociągnięta zresztą serdecznym tonem jej głosu podniosła się i siadła bliżej Stefy.

— Więc pani zna go od dawna! Pierwszy raz zdarza mi się spotkać taką osobę. Pani wie niejedno o jego przeszłości. On nie wszystko opowiadał mi, chociaż jesteśmy z nim dobrze, bardzo dobrze i nawet obiecuje, że przyjedzie.

— Czy to ładnie—powiedziała poważnie Mirówna—badać tajemnice swoich przyjaciół?

— Ach! bo od tego tyle zależy. Pani nie wie nawet jak spragniona jestem wiadomości. Niech mi pani jedno powie tylko... On nieraz smutny był i zastanawiał się nad swoim,—jak to nazywał—„dniem wczorajszym.“ Nie chciał rozgłosu. Ukrywał się, jak pani wie, pod obcem nazwiskiem. Mówił o tem wszystkiem niechętnie, a równocześnie ja wiem, że to jest człowiek bardzo szlachetny i bardzo miękki i dobry... Otóż czy nie było coś w jego przeszłości, co przeszkadzałoby mu być wolnym! A może ma on jakieś zobowiązania wobec pani?

Stefa poczęła się śmiać, ale widziała zmieszanie Lucy, ogarnęło ją dla niej ciepło życzliwości i współczucia, powiedziała więc ze swobodą wielkomiejskiej panny:

— Jeśliby był miał jakie zobowiązania wobec mnie, to nie znaczyłyby one nic obecnie, gdyż za dwa tygodnie biorę ślub, do czego czynię wszelkie przygotowania. Mogę jednak pannie Lucy powiedzieć, że wobec mnie nie ma on żadnych długów, cenię go jedynie bardzo, chętnie od-

daję mu drobną przysługę i pragnęłabym od niego trochę życzliwości. Była w jego życiu jedna kobieta. Mówią nawet, że jestem do niej trochę podobna, ale tamta była piękna jak cud i stworzona na żonę dla takiego poety.

— Więc on był żonaty! I ona była taka piękna!

— Tak! była jedynem, co miał w świecie, gdyż nigdy nie posiadał ani rodziny, ani domu. Były to dla niego później piękne czasy, lata sławy, radości i szczęścia. Spotykaliśmy ją rzadko, ukrywali się najczęściej w zaciszu. Ja mało o tem wiem, poznałam Ewę na okres krótki, na parę miesięcy... przed zniknięciem Czarskiego. Ale bywałam już wówczas często w kole ich przyjaciół.

— Nazywała się Ewa?

— Tak. Ewa Popielawska. Przypuszczaliśmy, że była zamożna, gdyż kupili willę pod miastem i żyli dostatnio jeszcze przed latami największej sławy Czarskiego. Miała złotorude włosy, które w słońcu przesiewały się złotem, cerę białą i oczy, oczy, których nigdy nie zapomnę...

— I co się stało z nią?

Stefa poruszyła się niespokojnie:

— Przeżyliśmy to wszyscy tak boleśnie, że i dziś nie chciałabym mówić o tem... Pannie Lucy powinno wystarczyć to, że on jest dzisiaj wolny, zupełnie wolny, a ja przynajmniej nie wiem, by pozatem było coś w jego przeszłości, z czem musiałby się ukrywać. Czy Lucy zadowolona jest z tego, co jej powiedziałam? Ma zupełnie swobodną drogę i obojgu wam życzę serdecznie szczęścia. Gdyż ja wierzę głęboka, że szczęście można jeszcze znaleźć przy takim człowieku, jakim jest Czarski. Proszę dziadkowi zostawić mój adres i poprosić go, by koniecznie, choćby dzisiaj, mnie

odwiedził. Są pewne sprawy pilne, które wymagają koniecznie obecności... Jana Niemiry. Od godziny dziewiątej wieczorem będę w domu.

Stefa wyszła, a Lucy została pod straszliwem dla niej wrażeniem wiadomości. Miała przeczucie jakiejś katastrofy.

— Więc on był żonaty!—szeptała.—I czy pozatem naprawdę nie ma jakiej tajemnicy w życiu? I czy o takiej cudnej kobiecie mógłby zapomnieć, zapomnieć!...

. . . . . .

Wieczorem czekała panienka niecierpliwie na powrót dziadka, który udał się do Mirównej. Po raz pierwszy utaiła przed nim, czego dowiedziała się o Niemirze. Domyślała się, że pan Raul musi o tem wszystkiem wiedzieć i bała się pytać go o więcej.

Adamiecki wrócił po dziesiątej wieczór. Lucy grała coś, siedziała przy fortepianie. Ze zmartwiałą twarzą zwróciła się do dziadka:

— I cóż dowiedziałeś się? Nic ważnego?

— Zgłosił się jakiś nieznany człowiek po odbiór depozytów sądowych, pozostałych po zniknięciu Czarskiego. W tych dniach ma pojawić się u wydawcy. Przedstawia się jako Czarski. Sprawa niemiła. Depeszowałem do naszego gościa, by przyjechał.

XXVIII.

W depozycie sądowym od pięciu lat leżały już pieniądze, które pozostały ze sprzedaży zbiorów i sprzętów, należących do zaginionego Piotra Czarskiego. Ponieważ nie było dowodu jego śmierci, więc miały tam pozostać albo do chwili, w którejby zaginiony się zgłosił, albo też do

czasu, gdy przeszłyby na własność spadkobierców, lub w braku ich—skarbu państwa.

Pewnego razu u urzędnika manipulacyjnego, który załatwiał szereg interesantów, zgłosił się jakiś pan w wieku poważnym, ubrany starannie, a nawet wytwornie, który usiadł na jednem z krzeseł i, nie spieszając się, przypatrywał się bacznie funkcjonarjuszowi, czekając widocznie, aż ten zostanie samotny. Dwukrotnie opuścił już swoją kolej, więc urzędnik, który niemiło czuł się pod tą obserwacją, sam zwrócił się doń z zapytaniem:

— Czego pan żąda?

Zagadnięty przybliżył się i patrząc się bystro przez złote okulary, wyrzekł z akcentem z lekka cudzoziemskim:

— Jestem Piotr Czarski. W sądzie są złożone moje pieniądze. Chciałbym je odebrać.

Urzędnik przez całe życie zajmował się niewątpliwie bardziej bytem swojej rodziny, niż literaturą, niemniej to nazwisko nie było mu obce i nasunęło mu w tej chwili całą gromadę wrażeń. Tajemnicze zniknięcie poety, daremne śledztwo sądowe, pogłoski o jego życiu i o śmierci. Przyjrzał się nieznajomemu i napotkał jego oczy życzliwe, uprzejmie i prawie serdecznie uśmiechnięte.

— Do licha! wzrok pański działa jak opium! —proszę usiąść—dodał uprzejmie.

— Mam przyczyny,—mówił przybysz—dla których nie chciałbym, by pobyt mój tutaj stał się wiadomy publicznie. Pan zrozumie?... Nie miałbym był powodu w swoim czasie znikać bez śladu, gdybym nie zapragnął życia bez sławy, spokojnego i w zaciszu. Przychodzę teraz po to, co mi się należy, po moją własność, chciałbym jednak, by druga moja własność—nazwisko—po-

została nadal ukryta. Z tych względów zależy mi na dwóch rzeczach: tajemnicy i pośpiechu. Wolałbym wyrzec się mego majątku, niż narazić się na owacje, jakie niewątpliwie mnie czekają.

— Masz pan szczęście, że po odbiór należności zwracasz się obecnie. Od czasu pańskiego zniknięcia ile upłynęło lat?

— Pięć lat...

— Wcześniej już można było wszcząć postępowanie o uznanie pana za zmarłego. Na szczęście nie zgłosił się nikt ze szpadkobierców.

— Zależy mi także bardzo na zachowaniu przez sąd tajemnicy... Czy to możliwe? Mam nadzieję, że pan zechce sprawę odpowiednio przedstawić...

— Czy to możliwe? Niewątpliwie, oczywiście, po dopełnieniu pewnych formalności. Dlaczego jednak pan tak mi się przygląda?

— Wybaczy pan... Pewna namiętność... Ach! ten dreszcz powieki. Jaki typowy! Mógłbym pana wyleczyć...

— To z przepracowania—zauważył z dumą urzędnik.

— Ach panie! i z innych przyczyn także. Wogóle mam o panu wyrobione zdanie... Jest pan człowiekiem pracowitym, żonatym, nie zna się na literaturze i jest uczciwym.

— Jak to pan zauważył?

— Trochę nieomylnej obserwacji. Ale ten dreszcz powieki... Z jakichby przyczyn? Panie! pan co środę po południu, zamiast iść do domu, wstępuje do pewnej osoby lekkiego prowadzenia pod pozorem zajęć w sądzie...

Urzędnik zarumienił się powyżej uszu.

— Człowiek jest człowiekiem, ale niech mi pan powie przynajmniej, skąd przypuszcza, że co środę.

— Mamy dziś właśnie ten dzień. Widzę, że pan jest ubrany starannie, prawie świątecznie, ogolony, mimo to, iż siedzi pan tu od dziewiątej rano.... Musiał pan nawet w tym celu zerwać się wcześniej z łóżka, a nie wygląda na człowieka, któryby golił się codziennie. Jako wieloletni urzędnik musi pan być systematyczny...

— A jeśli podejrzenia pańskie wywołuje tylko przypadek?

— Ten dreszcz, panie, ten dreszcz powieki! Ależ on zabija pana. Nie byłby on taki silny, gdyby kochał się pan mniej wyczerpująco i otwarcie. Mogę pana nań łatwo wyleczyć... Ale wróćmy do tematu. Czy prędko będę mógł depozyt odebrać?

— To nie jest takie proste, proszę pana. Czy posiada pan dokumenty, które poświadczą pańską tożsamość?

— Wszystko w porządku.

— Majątek pański jest pod opieką kuratora. Należy zatem zgłosić się do niego, a przedewszystkiem wnieść podanie o uchylenie uchwały sądu, uznającej pana za zaginionego i przywrócenie należnych panu praw do jego posiadłości. Z pismem tem zgłosi się pan do dziennika podawczego, co zresztą tak niezwykłemu gościowi mogę sam załatwić. Wszystko to jednak potrwa dłuższy czas.

— Ach, panie!—jęczał przybysz.—Czemu nie studjowałem nigdy prawa! Wolałem zawsze wszystko, co fantastyczne. Nie ma pan pojęcia, jak zależy mi na pośpiechu. Czy nie dałoby się tego wszystkiego uprościć?... Wszelkie dowody osobiste są gotowe... Czy nie mógłbym uzyskać przy pana pomocy odbioru zaraz, dzisiaj?...

— Doprawdy, nie wiem, co począć?...—odparł urzędnik.—Wzrok pański działa na mnie

tak nadzwyczajnie, a pożatem mówił mi pan tyle ciekawych rzeczy. Ale nie! to jest niestety niemożliwe. Musi pan dopełnić formalności. Nawet depozyty są w innym gmachu...

— A zatem nie pozostaje mi nic innego, jak iść drogą legalną—westchnął przybysz, który podawał się za Czarskiego.

— To zawsze najlepsza droga, panie.

— Ale najdłuższa. Nerwy moje nie wytrzymują nigdy tak długo. Napiszę więc podanie. Do widzenia panu!

— Przepraszam pana—odwołał go od drzwi urzędnik.—Naprawdę zjawienie się pana ciekawi mnie... Pan nie umarł zatem?

— Jak pan widzi...

— Przebywał pan na obczyźnie?

— Zauważył pan niewątpliwie, że zapomniałem trochę rodzinnego języka. O! panie, to nawet bardzo boli mnie, niech pan wierzy.

Nieznajomy z lekką melancholją w oczach przeszedł do drugiego biura, poprosił tam o arkusz papieru, wypisał podanie, złożył pieniądze na stempel i opuścił gmach sądowy.

Jeśliby kto śledził za nim, przekonałby się, że wstąpił na obiad, który zjadł w drugorzędnej garkuchni. Po drodze, przechodząc przez jedną z bocznych ulic, stanął przed wystawą sklepową, na której antykwarjusz wystawił różne sprzęty cenne i bezcenne.

Piękny renesansowy zegar w formie skrzynki stał tam obok ogromnych złoconych wazonów japońskich. Na marokańskim stoliku, wykładanym perłową macicą, złożono łódzkie szale tureckie. Naga kobieta z kości słoniowej z ułamaną stopą spoglądała wyniośle na porcelanowych markizów i markizy, grające w bilard, wyrób najwidoczniej tani i nowoczesny. Mosiężny świe-

cznik mieścił się obok klosza o pospolitej podstawie, przedstawiającej neapolitankę z rękoma podniesionemi do góry.

Przechodzień westchnął.

— Dałoby się wybrać to i owo. Niestety! nie mam nawet gdzie postawić... Kiedyż dojdę do porządnego mieszkania?

Po obiedzie udał się do hotelu, gdzie oddał się drzemce dla pokrzepienia sił. Był widocznie zmęczony podróżą, gdyż zbudził się dopiero koło godziny szóstej. Zapadła już ciemność, więc zerwał się na równe nogi i spojrzał na zegarek.

— Czas iść! Nie zaniedbujmy interesów.

Na głowie czuł lekki ciężar przerwanego nagle snu. To niedobrze!—mówił—moje władze umysłowe nie działają należycie.

Udał się do księgarza. Miał nadzieję, że otrzeźwi go po drodze świeże powietrze.

— Chcę zobaczyć się z wydawcą. Jestem Piotr Czarski—rzekł dość głośno i z widoczną arogancją.

— Żałujemy bardzo... Wydawca wyjechał... Wróci w sobotę. Spodziewaliśmy się tutaj pana...

— Spodziewaliście się mnie?—zdumiewał się nieznajomy.

— Doniosło już w swoim czasie jedno z pism, że pan żyje i jest prawdopodobnie w Warszawie...—szepnął pracownik z porozumiewawczym uśmiechem.—Nie wiedzieliśmy jednak nic pewnego.

— Tak! tak. Nie pragnę wogóle rozgłosu, ani popularności. Wolę ukryć się przed wzrokiem ciekawych. Dlaczego u licha pan tak patrzysz na mnie?

— Wyobrażam sobie minę wydawcy, gdy pana zobaczy. Są grube, grube należności. Wydawaliśmy wszystkie pańskie książki.

— O to chodzi mi właśnie. Więc do soboty?

— Między piątą a szóstą. Czy mogę wiedzieć, gdzie pan mieszka?

— Ciekawość zbyteczna...

— Nie chciałbym pana obrazić. Co za radość byłaby w kraju, gdyby dowiedziano się o pańskim przyjeździe.

Nieznajomy wyszedł. Zauważył, iż w księgarni uczynił się nagły ruch. Wszyscy pracownicy podbiegli do okna.

— Co to jednak znaczy taka popularność! — szeptał.—Zupełnie wśród tego czuję się nieswojo. Przeklęty kraj. Co za porządki! Jednego człowieka, z którym chciałbym się zobaczyć, niema, a drugi radzi mi, bym szedł drogą legalną. I jak tu robić jakieś interesy!

Udał się potem do kinematografu na „Tajemnice zamku If", spożył wieczerzę i poszedł spać do hotelu.

XXIX.

Czarski nie zdawał sobie sprawy, jak wielką rolę w jego myślach odgrywała Lucy. Żyjąc od niej zdaleka i nie widując jej, wcielał ją do wszystkich swoich zamiarów i w myśli swej łączył z nią swoje przyszłe życie. Drugie istnienie, które prowadził w przeszłości, owiewało go zdradzieckim i młodzieńczym urokiem, ale nie odsunęło go narazie od teraźniejszości. Przeciwnie! wspomnienia zdawały się leczyć go z dotychczasowego niepokoju, budziły w nim świeżość uczucia i zapalały go pragnieniem radości bytu.

Depesza, którą otrzymał z Warszawy, zaniepokoiła go. Pierwszą jego myślą było: „Czy Lucy co nie stało się?..." Ucieszył się zatem rzeczy

wiście, gdy już na dworcu, zaraz po przyjeździe, zobaczył panienkę, smutną nieco i pobladłą, ale widocznie zdrową, u boku pana Raula.

— Dlaczego wzywaliście mnie?—zapytał.— Dlaczego sprowadziliście mnie do kraju, gdy wkrótce może przybyłbym już sam w myśl zapowiedzi. Cieszę się jednak—rzekł do Adamieckiego,—iż u państwa wszystko dobrze. Jakże duża panna robi się z Lucy.

— Jest pan potrzebny—odparł pan Raul.— Wezwaliśmy go jako szczerzy przyjaciele. Znajduje się w tej chwili w Warszawie ktoś, kto podaje się za pana i zgłasza się po odbiór różnych pańskich należności.

— Nie da zatem uniknąć się, by ludzie nie dowiedzieli się, że żyję! Nie wolno mi w grobie spać spokojnie!

— Ów nieznajomy, o którym wspomniałem, działa także w tajemnicy. Jest ona bardzo korzystna dla jego celów! Ukrywa się, ale ośmielony powodzeniem, mógłby panu zabrać nietylko majątek, ale i nazwisko. Wówczas musiałby pan wystąpić publicznie, co powiększyłoby tylko rozgłos. Narazie wie o tem jedynie kilka osób. Obecność pana jest potrzebna raczej do tego tylko, by stwierdzić fakt i oszusta wydać w ręce sprawiedliwości.

— Skąd państwo jednak dowiedzieli się o tem?

— Ów pan—mówiła Lucy—zwrócił się pod pańskiem nazwiskiem do sądu po odbiór depozytu. Przypadek zrządził, że urzędnik, do którego się zgłosił, odnajmuje mieszkanie narzeczonemu panny Mirównej i zawiadomił go w zaufaniu, o sensacyjnych odwiedzinach. Panna Stefa nie wiedziała, co o tem myśleć. Zdziwiła się, że pan postanowił zdradzić swoją tajemnicę. Przy-

szła do mnie, dowiedziała się, że pana tutaj niema, pospieszyła z nowiną do pańskiego wydawcy, a wieczorem dziadek mój wiedział już o wszystkiem.

— Nieznajomego spodziewają się w tych dniach w księgarni. Musi więc pan iść na to spotkanie.

— Pójdę zatem — odparł Czarski z niewidzianą oddawna energją. — Pójdę, skoro widocznie i panna Lucy uważa, że tak należy uczynić!

Blady uśmiech wybiegł na wargi panny.

— Ma pan na to czas—odparła.—Tymczasem może pan będzie naszym gościem. Pokój już gotów, pokój ów, do którego przychodziliśmy do pana dawniej.

Poetę ogarnęło dziwne uczucie na widok tego mieszkania, do którego przyszedł w swoim czasie taki opuszczony i nieszczęśliwy! O ileż weselszy czuł się teraz, o ileż silniejszy w życu! Oto stół, na którym po raz pierwszy zobaczył „Oceanidy", oto salon, gdzie o zmierzchu do warg jego przytuliły się usta Lucy. Zdawało mu się, iż już nic nie wiąże go ze smutną przeszłością. Po raz pierwszy od kilku miesięcy miał znowu wystąpić czynnie i nie lękał się tego, przeciwnie postanowił gorąco bronić swojej sprawy.

Zdziwiło go trochę to, że panna Adamiecka nie pyta go o nic. Zaniepokoił się tem nawet. Dziwiło go też, iż zostawił ją małą dziewczynką, a teraz z twarzy jej biła dziwna powaga obok widocznego smutku. Nie odważyłby się już jak ongi pogładzić ją jak dziecko po włosach i dziś on, człowiek stary już, a przynajmniej życiem znużony liczył się ze zdaniem jej i chciałby sobie na szacunek jej zasłużyć

Wkrótce przyszła i Stefa ze swoim narzeczonym,

ELLICOTT CITY, MARYLAND

— Wybaczy pan, że przyprowadzam go— mówiła do Czarskiego.—Wie on już o wszystkiem, nie chciałam więc także taić przed nim pańskiego przyjazdu. Biorę na siebie całą odpowiedzialność, że będzie milczeć, jak mur.

— Jak mur graniczny—dodał z uśmiechem, kłaniając się, Walikowski.

Dowcip wywołał swoje wrażenie. Zdziwił wszystkich. Literatka zmieszała się nieco, ale potem wybuchnęła śmiechem:

— Jak państwo widzą, stanowimy parę, która doskonale się uzupełnia. Ja wolę zawsze nie domówić, a on stawia kropki nad „i", z czego wynikają nieraz zabawne kombinacje.

— Pan dawno służy w wojsku?—spytał Czarski.

— Od chwili, kiedy wyrosłem. Po ślubie zamierzam wystąpić, gdyż mam obiecane zajęcie w ministerstwie.

— I pani zgadza się? Czyż nie szkoda będzie tak dzielnego niewątpliwie oficera?

— Niewiadomo jeszcze, jak to będzie... I ja także uważam, że mu tak przystojnie w mundurze, że nie powinien zrzucać go nigdy... Ale cóż Lucy?—zawołała—bardzo cieszysz się, że gość z powrotem przyjechał? Nie ma pan pojęcia— mówiła dalej do Czarskiego—jak tęskniła i ile od niej słyszałam dobrego o panu. Ma pan przyjaciółkę w niej jeszcze lepszą odemnie i powinien pan to cenić.

— Czy pozwoli pan—spytał Walikowski—że pójdę na to pańskie spotkanie u wydawcy? Będę czuwał nad bezpieczeństwem pana...

— Nie sądzę, by to było potrzebne—zauważył Czarski.—Dziękuję panu, gdyż jemu to zawdzięczam, że dowiedziałem się o całej sprawie, ale wolę załatwić ją sam, jak przywykłem daw-

no w życiu. W razie potrzeby wystarczy odwołać się do policji.

— Jeżeli pan zostanie, prosimy do kościoła na nasz ślub. Odbędzie się u Wizytek. Nie proszę do weselnego orszaku, gdyż pan Niemira nie zechce może jeszcze pokazać się publicznie, ale przyślę kartę z zaproszeniem do kościoła. Spodziewam się, że przyjdzie cały świat literacki...

— I cała armja—dodał oficer.

Młoda panna została na wieczerzy. Pan Raul ożywił się bardzo. Lubił gości, stawał się przy nich po dawnemu wesoły i wytworny. Kazał przynieść wina z piwnicy, czem zyskał sobie całą życzliwość Walikowskiego. Przyjęcie przeciągnęło się dosyć długo.

Gdy Czarski udał się do swej sypialni i zapalił w niej światło, zobaczył jakąś postać, która stanęła w ciemnościach w drugim pokoju i powiedziała dziwnie miękkim głosem, jakimś życzliwym bardzo a bardzo smutnym:

— Dobranoc panu, panie Piotrze!

Poeta schwycił rękę chowającej się w ciemnościach dziewczyny i ucałował ją długo i serdecznie.

— Dobranoc Lucy!

Nazajutrz rano Czarski poszedł na miasto, a gdy wrócił, poprosił pannę, by udała się z nim na przechadzkę. Lucy wyglądała ślicznie, wdziała ciemnoszary kostjum z czarnem futrem koło szyi. Po raz pierwszy szli tak we dwoje. Ogarnięci byli oboje dziwnem uczuciem i dopiero gdy znaleźli się już daleko wśród pól, poeta zwrócił się do panienki:

— Powiedz Lucy, czy naprawdę tęskniłaś bardzo za mną?

Ona nie odwróciła głowy, odrzekła szczerze i poprostu:

— Tak.

— Posłuchaj moja mała. Nie wiem co z tobą stało się. Tak dziwnie zmieniłaś się czy wyrosłaś. Chcę z tobą pomówić poważnie. Złożyło się tak, że... przez szereg lat nie zastanawiałem się nad przeszłością. Rozumiem i teraz, że póki nie rozważę jej dobrze, wszystkich uczuć jej i wydarzeń, nie należy mi wiązać ciebie. A jednak zdaje mi się, że obecne... wolno mi już myśleć o tobie. Bardzo wysoko stawiam cię, za ofiarę, którą chcesz dla mnie uczynić. Nie znam ciebie jeszcze dokładnie, ale to wiem, że bardzo droga, bardzo cenna jest dla mnie twa życzliwość. Jedyna przyczyna, która zdołałaby nas rozdzielić, mogłaby leżeć jedynie w mojej pamięci...

— Rozumiem to...—chciała odpowiedzieć Lucy, ale wydało się jej, że rozmawiać jej teraz o tem nie wolno. Wątły płomyk radości rychło zagasł na jej twarzy. Czarski mówił dalej:

— Kupiłem w mieście mały pierścionek, dwie perełki z brylancikiem w pośrodku. Mówią, że perły są złą wróżbą, ale odemnie nic złego przynieść ci nie mogą. Zbyt dobrze życzę ci, Lucy. Weź to, jako jednostronny dowód pamięci, a gdybym przypadkiem wrócić nie miał, schowasz go na pamiątkę. Ale niedługo już spodziewam się powrócić.

— Niech pan to wie,—szepnęła panna,—że nie mamy zamiaru stawać na jego drodze. Czemże ja jestem wobec pana i wymagać mi niczego odeń nie wolno. Perełki przyjmuję i będę nosić. Spodziewam się, że i dziadek na to mi pozwoli. Ale niech pan wie także, że jeśliby był smutny, potrzebował dobroci lub opieki, przyjaciółki lub osoby na zawsze oddanej i serdecznej, to czeka go tutaj jego **Lucy.**

Szare niebo, zasnute przez mgły, odbiło się we łzach, które stanęły w czarnych oczach dziewczyny.

XXX.

Człowiek, który przed kilku dniami podziwiał w kinematografie „Tajemnice zamku If", zjawił się w sobotę u znakomitego księgarza. Powiedziano mu, iż zastał go, co wywołało na jego twarzy nietajone zadowolenie, poczem wpuszczono go.

Odpoczął on już widocznie po podróży i odzyskał bystrość umysłu, jak wnosić można było z jego ruchów pewnych siebie i sprężystych.

— Jestem Czarski—przedstawił się.

Wzrok jego działał jak opium.

Na twarzy właściciela księgarni nie drgnął ani jeden muskuł. Uprzejmym ruchem wskazał mu fotel, poczem milcząc podał mu papierośnicę:

— Czy pozwoli pan papierosa?

— Bardzo proszę...—rzekł gość zlekka zdziwiony.

Siedzieli przez chwilę naprzeciw siebie, paląc i obserwując się w milczeniu.

— Ten człowiek wogóle nie ma nerwów—zastanawiał się przybysz.—Ani śladu jakiegoś urazu psychicznego! Nie nadawałby się do moich interesów.

Poczem rzekł zlekka podrażnionym głosem, podnosząc go widocznie:

— Zdaje się, iż nie rozumie pan celu moich odwiedzin. Przychodzę po odbiór pieniędzy. Tak: panie. Przez pięć lat wydawał pan moje utwory. Cieszyły się niezmiernem, niepospolitem wprost powodzeniem... Przykro mi, iż zjawiam się tak nagle, lecz zmuszony byłem czas ten spędzić

wśród obcych. Fundusze moje wyczerpały się i pragnę podnosić moje należności w kraju. Przyznam się panu, że jestem nawet gotów ułożyć się. Potrzeba mi gotówki. W takiem położeniu skłonny jestem do znacznych ustępstw, o ile sumy należne mi otrzymam w jaknajkrótszym czasie.

— Wybaczy pan... ale jaki ja właśnie mam dowód, że pan jest rzeczywiście Piotrem Czarskim. O tamtym przypuszczają, że zaginął bez śladu.

— Oczywiście, że posiadam i przedstawię dowody tożsamości. Mam je w jaknajwiększym porządku... Niestety, gdy w życie wmiesza się kobieta, mogą pokrzyżować się najszczytniejsze plany... Wyjechałem zagranicę. Żyłem w Niemczech. Chciałem zniknąć, zapomnieć... Unikałem nawet spotkania rodaków... Przestałem pracować literacko, ale pisałem krytyki ze sztuki. Zdobyłem głośne imię... Pan słyszał je niewątpliwie... Artur Lange... Któż mógłby domyśleć się, że Artur Lange, znakomity recenzent, to Piotr Czarski...

— Czy pan może przedstawić mi swoje dowody?

— Oczywiście! Oto są...

Księgarz wziął je do ręki. Badał je przez czas dłuższy, poczem położył obok siebie.

— Istotnie ,nie ulega wątpliwości. Są w zupełnym porządku.

Gość odetchnął.

— Zmieniłeś się pan jednak. Nic dziwnego— tyle lat!

— Tak, panie! Wiele przecierpiałem. Człowiek zmienia się zresztą, jeśli żyje wśród cudzoziemców. Nabiera innego stylu. Styl, panie, to rzecz główna...

— Niewątpliwie. Postarzeliśmy się zresztą

wszyscy. Chciałby pan więc zrzec się swych dawnych należności za otrzymanie jednorazowo większej kwoty.

— Oczywiście po sprawdzeniu rachunków. Mogę panu odstąpić czwartą część, jeśli otrzymam całość w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

Gość nagle zaniepokoił się:

— Co tam porabia na biurku pańska ręka... Czy to nerwowe?

— Chciałem panu powiedzieć tylko, że pieniędzy nie dostanie odemnie, gdyż Czarski, głośny autor, jest w Warszawie i czeka obok na pana. Wziął on już odemnie niedawno znaczną ich część nie potrzebował nawet dawać mi opustu. Ostrzegam też, że rękę trzymam na dzwonku elektrycznym. Na dany znak wpadnie tu dwóch uzbrojonych magazynierów.

Gość skurczył się i przyszedł do fotelu:

— Wsypałem się—zajęczał.—Co za licho jednak przyniosło tego autora do Warszawy!

Poczem wyprostował się z powrotem, skrzywił usta ironicznie i wyrzekł tonem uprzejmym i wytwornym:

— Wypaliłem przedtem pańskiego papierosa, może pan wypali teraz mego... Są nienajgorsze.

— Dziękuję—odparł chłodno wydawca.

Następnie nie spuszczając z oka swego gościa i nie wyjmując ręki z kieszeni, powstał, otworzył drzwi i wyrzekł:

— Bardzo proszę.

Na progu ukazał się Piotr Czarski.

— Jak się masz, kolego!—zawołał z fotelu nieznajomy.—Co za nieszczęście cię tu przyniosło...

— Dr. Wolff! — zawołał wchodzący.

— Któżby inny. Wszak łatwo mogłeś przypuścić. Porozmawiałbym z tobą chętnie, ale obecność tego pana—wskazał na właściciela księgarni—krępuje mnie.

— Czy mógłby pan zostawić nas samych?— spytał Piotr.

— Jak panu dogodnie—odparł wydawca.— Przejdę do pokoju obok. Przy drugich drzwiach czeka dwóch magazynierów.

— Dziwnie niedelikatny człowiek—rzekł świetny psycholog, gdy zostali sami.—Ciągle mi swoich drabów przypomina. Otóż wsypałem się, przyjacielu... Od pewnego czasu prześladuje mnie pech, należało mi się to zresztą. Mówiłem ci, że w świecie moralnym niema zła i dobra; istnieje tylko wina wobec siebie samego. Wina w znaczeniu oczywiście wysokiem, dalekiem od wszelkiego materjalizmu... Może siądziesz...

Czarski w milczeniu zajął fotel.

— Zapal mojego papierosa. Nie rób ceremonji. Spędziliśmy tak rozkoszny wieczór w Wiedniu. Artyzm i muzyka... Ułatwiłem ci widzenie się z Nią, z tą, którą tak bardzo pragnąłeś zobaczyć... Wróćmy jednak do rzeczy. Powiedz mi, czy ty naprawdę masz do mnie urazę?

— Przyznaję, że zawiodłem się na pańskim charakterze.

— Skoro chcesz, to będziemy używali wszystkich tytułów. Otóż czy pan może mieć naprawdę do mnie jaką urazę? Czy poniósł pan jaką stratę? Czy raczej nie jest winien mi trochę wdzięczności za gruntowną naukę psychoanalizy i rozkoszną niewątpliwie wycieczkę do „Wesołego Wschodu?“ Czy nie zachowałem się jak dżentelmen i czy okazałem w czemkolwiek, że zdradzę pańską tajemnicę? Czy wskazywałem na pana palcem, mówiąc: To, to właśnie jest Piotr Czar-

ski, człowiek bez przeszłości. Ukrywa się pod nazwiskiem Niemiry i t. d.

— Chciałeś pan jednak położenie moje wyzyskać...

— Chciałem tylko podjąć pieniądze, co do których przyuszczałem, że wobec zniknięcia pana i ukrywania się, przepadną. Skąd ja mogłem sądzić, że pan również ma zamiar je podjąć? Czy pan mi o tem powiedział? Czy mimo próśb z mojej strony, chciał pan dużo rozmawiać o sobie? Nie chciał pan nawet, bym wyleczył go, a przysięgam, że to potrafię. Panie! gdybym miał tytuł naukowy, byłbym dziś z pewnością głośnym profesorem uniwersytetu. Od młodego wieku nęciło mnie jednak obok umiejętności ścisłej zastosowanie praktyczne jej wyników.

— Wynajdował pan ofiary?

Dr. Wolff skrzywił się:

— Wykonywałem tylko dzieło sprawiedliwości. Przyjąłem pana w cudzem mieszkaniu, ale czy zabrałem co stamtąd prócz butelki wina, którą wypiliśmy wspólnie? Staliśmy się odrazu kolegami. Nie! chodziłem zawsze inną drogą. Pierwszy raz próbowałem wyzyskać tajemnicę w stosunku do tej osoby, która mi ją powierzyła. Nie sądziłem wprawdzie, że przyniosę panu przez to szkodę, ale mimo to była tu wina moja w tem wysokiem znaczeniu moralnem. Szukałem zawsze osób nerwowych i o ile możności z urazem psychicznym. Nie zdarza się to często, ale jakże ciekawą rzeczą wówczas jest to stopniowe dochodzenie do przyczyny choroby, która najczęściej powoduje jakiś gwałt, zadany swej naturze, potrzeba zachowania czegoś w milczeniu! Osoby te nieraz były ofiarami, nie mojemi wprawdzie, ale jakiegoś młodzieńca bez sumienia, defraudanta, który wziął pieniądze w ich obecności, a

był bratem ich lub coś podobnego? Życie jest ciekawe, bardzo ciekawe! Otóż ja leczyłem moich chorych, ale do tych, którzy byli sprawcami ich nieszczęścia dobierałem się bez wahania. Miałem ich tajemnicę! Stawałem przed nimi po dwudziestu nieraz latach! Kazałem im płacić sobie i dobrze płacić! Rok temu miałem takie cztery pensje dożywotnie. Niestety, dwóch najbogatszych już umarło. Znalazłem się w kłopotach majątkowych, a pan wie, co one znaczą dla człowieka, który kocha sztukę. Dostałem nowy okaz patologiczny, starą pannę, która nie mogła nic pić ze szklanki. Wyłowiłem ją również w wozie restauracyjnym. Mówiła dużo i rozmawiałem z nią tak przez dwa miesiące, aż doszedłem do tego, iż kiedyś, gdy była dzieckiem, podano jej wodę w brudnej szklance, a ona wypiła ją, wstydząc się o tem głośno powiedzieć. Wyleczyłem ją i uzyskałem jej miłość, wskutek czego omijam zawsze w Wiedniu dzielnicę, w której mieszka. Wtedy nawinął mi się pan... Człowiek istotnie niepospolity... Cóż, kiedy pan nie chciał mówić...

— Skąd pan jednak wyraża się tak dobrze naszym językiem?

— Umiem sześć języków i mógłbym napisać ich gramatykę porównawczą. Niestety! byłem zawsze romantykiem, człowiekiem niespokojnym mimo świetnych pozorów. A czy pan myśli, panie Czarski, że opowiadam panu o tem dlatego, by pana wzruszyć i uwolnić się od odpowiedzialności?

— A z jakiegoż powodu?

— Pojawienie się pana tutaj zapewniło mnie o bezkarności. Z niesmakiem już jedynie myślałem o magazynierach gospodarza. I pan także jest wobec mnie bezbronny. I pan także nie chce, by wiedziano, kim jesteś, co mimo moją dyskre-

cję nawet stałoby się po mojem uwięzieniu rzeczą publiczną. Ale ja osiągnąłem cel inny. Oto sam pan nie wie, czy potępiać mnie, czy szanować, i to jest moim triumfem!

Tu dodał jeszcze, zbliżając się z krzesłem do niego:

— Słuchaj, kolego! Jestem w położeniu bardzo kłopotliwem. Miałem wydatki, wyrabianie fałszywych świadectw. Ty nie wiesz nawet, co to kosztuje w dzisiejszych czasach. Nie lubię naciągać, ale jesteś mi coś winien. Nie chcę wiele, zwróć mi koszty podróży...

— Proszę podać cyfrę... Wypiszę polecenie do wydawcy... Wypłaci panu zaraz.

— Wiedziałem zawsze, że masz ładny charakter. Jaka szkoda, że rozjedziemy się i nie będziesz mógł zostać moim przyjacielem. Zwracam ci też uwagę, że to nie jest wymuszenie. W milczeniu gotów jestem i bez tego dotrwać aż do końca, aż do bohaterstwa. Oddajesz mi tylko przysługę przyjacielską...

Wziął z biurka papier, i wypisał kwotę. Czarski podpisał i dodał od siebie kilka słów.

— Dziękuję—rzekł badacz duszy ludzkiej.— Na zakończenie dam ci pewne ostrzeżenie. Nie łudź się tem, że teraz wspomnienia sprawiają ci raczej radość. Nie zagłębiaj się w nie zanadto, raczej przemóż się i nie pytaj o nic więcej. Na ostatku może cię czekać tam coś strasznego. Pamiętaj o tem!

XXXI.

Przed wyjazdem poety zaprosiła go do siebie Stefa Mirówna. Miał być tylko jej narzeczony, oraz pan i panna Adamieccy.

Czarski wyjeżdżał po kilku dniach pobytu. Wyjeżdżał już nie dlatego tylko, by długo jeszcze miał zamiar się ukrywać, ale ponieważ odczuwał potrzebę samotności i dosnucia swojej bajki aż do końca.

Przez czas pobytu w Warszawie od widzeń oddalił się widocznie. Tęsknił do nich, jak człowiek rozmiłowany w narkotyku. Udawał się już wprost do „miasta starych wież" i od pana Raula wziął list polecający do Worskiego, który brzmiał:

— Pan Jan Niemira, literat, chce zobaczyć mieszkanie, które pozostało po Czarskim w zupełnej samotności i bez żadnych świadków. Jest to żądanie dosyć dziwne, ale donoszę panu, iż pod nazwiskiem Niemiry ukrywa się jeden z ludzi, najbardziej dziś w Polsce znanych. Mieszkanie to, jak wiem, jest wogóle dla zwiedzających dostępne, może więc pan zrobi ten jedyny wyjątek i klucz od drzwi prześle tam, gdzie polecona osoba mu wskaże...

List ten Czarski miał już przy sobie. Siedzieli teraz wszyscy u Stefy Mirówny, słuchając przeważnie planów narzeczonych.

Gdy autorka przeszła do drugiego pokoju, wybiegła za nią Lucy.

— Czy pani ma—jej—fotografję?

— Chodzi pani o fotografję Ewy. Oczywiście, że ją mam. Proszę przez chwilę poczekać.

Wróciła za chwilę z inkrustowaną szkatułką, którą otwarła maleńkim kluczykiem.

— Oto Ona! Niech pani patrzy!

— Piękna! piękna!—szeptała Lucy.

— Rozwijała też dziwny urok. Nie było tego mężczyzny ani kobiety, którzyby nie oglądali się za nią.

— I on ją bardzo kochał?

— Do szaleństwa! Ale po co wspominać dawne czasy! Przez kilka lat zapomina się o niejednem. Proszę nie zastanawiać się. On Lucy kocha widocznie. Śledziłam trochę jego wzrok. Nie napróżno siedziałam naprzeciw niego. Zamkniemy teraz fotografję z powrotem w szkatułce i wróćmy do gości.

Lucy nie mogła opanować swego podniecenia. Więc on już jutro wyjeżdża! Więc jutro znowu rozstanie! I jej wydaje się, że Czarski ją kocha. Ale któż przyszłość przewidzieć może? Jest zawsze taki tajemniczy. Wszakże nieraz już znikał bez wieści w świecie. Czy wróci?

— Niech pani co zagra — proszą ją goście. —Pianino otwarte.

Poczyna grać własną melodję. Gra w rozdrażnieniu i ekstazie. Bierze tony głębokie, niekiedy improwizuje. Słuchają jej. Pytają, co to takiego?

— To „Zmrok"—Czarskiego.

Naraz ogarnia ją rozdrażnienie, ból i rozpacz. Pragnie męczyć własne serce, dręczyć je i krwawić. Zwalnia muzykę, naśladuje kojące spływanie zmroku i deklamuje Czarskiego pieśń miłości:

Powoli, sennie zmrok zapada
I ciemne snuje swe welony,
Już rzeczywistość gaśnie blada
I ciszy wielkiej grają dzwony.
Gdzieś jeszcze niebo ogniem pała,
Lecz noc już swój wypełnia pokój,
O przybądź ma kochanko biała
I przyszłe losy mi prorokuj.

Mówisz, że wtedy śpiewam pięknie,
Gdy miłość w harfę złota dzwoni,
Lecz czasem struna w niej zajęknie,

Choć myśl wstrzymuje się i broni.
Jeszczem dziś ptakiem wśród obłoków
I gwiazda czoło nam płomieni,
Lecz są gdzieś światy wiecznych mroków
I morza Elizejskich Cieni....

Tu Lucy zapomina coś... urywa... gra tylko akompaniament, lecz potem mówi dalej:

Chcę wierzyć, że ten kres pochmurny
Nie będzie skargą, ni rozłąką
I gdy tu nasze stawią urny,
My pójdziem młodzi kwietną łąką,
Że pieśń, co tutaj się urywa,
Grać będzie dalej z harfy niemej
I że w nas miłość wieczna, żywa
Nie zgaśnie, chociaż my pomrzemy!

— Jak wspaniale dobrana muzyka—woła Stefa.—Do czego pani może dojść i co za talent! Kobieta kompozytorka. Prawda, panie Czarski?

Ale Czarski, który przez cały czas siedział zamyślony, zerwał się nagle, jakby tknięty jakiemś przypomnieniem.

— Lucy gra cudownie! Porusza swą muzyką wszystkie nerwy! Każdy ton jej jęczy głęboko, jakby obijał się o serce... Ale pani miała tu pewien portret. Co stało się z nim, gdzie jest obecnie?

— Usunęłam go dzisiaj—odparła Mirówna.—Nie należał przecież zresztą do nikogo do rodziny. Odziedziczyłam go z tem mieszkaniem, przypadkowo.

A jednak na Czarskiego gdzieś z głębi ściany patrzyły szydercze, chmurne oczy widzianego niegdyś portretu.

XXXII.

Czarski był już w Krakowie. Wspomnienia otoczyły go jak muzyka. Pewnego dnia poszedł w stronę swego dawnego mieszkania. Widział z daleka, jak dawny dom jego bielił się w głębi ogrodu, smutnego teraz i ogołoconego z liści.

— Oto tutaj—zastanawiał się—zamyka się zagadka okresu życia, nieznanego mi dotychczas. Wydaje mi się teraz, że willa ta jest umarła. A jednak przychodzą tam nieraz ludzie, błądzą ciekawi pośród sprzętów, wśród których żyłem i oglądają—pamiątki po Czarskim.

Jakie dziwne jest to moje spojrzenie z poza grobu! Jeden umarł tam, myślą o nim, żałują go, drugi stoi tutaj żywy. Czuję sam, iż to już dwie różne są istoty, chociaż skupiłem w sobie istnienie ich obu.

Nie odważył się dotychczas skorzystać z listu, który pan Raul dał mu z poleceniem do tego nieznajomego człowieka, który po śmierci jego strzegł jego pamiątek. Wolał chodzić po mieście, błądzić po kościołach i rozmawiać—rozmawiać ciągle z tem, co już w otchłań zapadło.

— Czy było to przed kilku zaledwie laty? Nie, to niepodobne do wiary! Przypomina sobie. Zebrali się kiedyś znowu wszyscy razem. On usiadł już tuż, tuż obok Ewy, spokojniejszy, niźli dawniej. Powiedziała mu wprost, że niema co zazdrościć u Borysowa. Zebrali się także inni. Na boku siedział Widman, który starał się nie słuchać ich rozmowy i pisał artykuł do któregoś z pism literackich.

— Skończyłem wreszcie—odetchnął. — Nie macie pojęcia, jak ciężko mi pracować. Wysypałem tysiąc iskier paradoksów i dowcipów, a czu-

ję się chory. Ciężko niekiedy jest zarabiać na chleb.

— Pan już skończył?—spytała Wiera, zbliżając się do niego.

— Skończyłem.

— I bardzo pan zmęczony?

— Bardzo.

Nagle Wiera chwyciła kałamarz i blednąc, zalała cały artykuł atramentem.

— Może pan teraz drugi raz pisać!—rzekła krótko.

Oniemieliśmy z wrażenia. Widman nie odpowiedział nic. Uśmiechnął się. Nagle, zanim Wiera mogła się spodziewać, cały papier wraz z atramentem znalazł się na jej białej sukni.

— Idę pisać drugi raz—wyrzekł chłodno. Ubrał się milcząc w płaszcz i wyszedł.

— No! Wiera! Masz za swoje!—rzekł łagodnie Borysow. — Trafiłaś na mądrego. Niegorzej postąpił od ciebie. Skarcono cię, jak dziecko.

— Przecież Widman naprawdę jest chory—rzekła Ewa.—Wszyscy wiemy, że ma suchoty. Jak można było być tak okrutną!

— No! „temu utrze!" Niech nie zajmuje się czem innem, jak jest w niewieściem towarzystwie. Niech zwraca uwagę na niewiasty.

Potem dodała:

— On może i chory, ale zaimponował mi. Ewa! daj mi ręcznik i wody. Będziemy teraz czyścić plamy.

Pamiętam zdarzenie to do tej pory, Cieszyłem się, że zobaczyłem wówczas całą wyższość i szlachetność Ewy.

Ale wieczorem, gdy odprowadzałem ją do domu, powiedzenie jej pewne zabolało mnie nieco. O czem pani myśli?—spytałem.

— Myślę o tem, że Widman do tej pory siedzi i pisze.

Przyszedł potem okres ciężki. Młody literat istotnie poważnie zachorował. Ewa chodziła opiekować się nim, przesiadywała u niego całe godziny. Życzliwem tchnieniem rozbudzała to zszarpane już życie, które zdawało sie gasnąć. Przychodziłem nieraz z nią razem. Nie zawsze miałem czas. Ogarniała mię zazdrość piekielna, egoistyczna. Zazdrościłem choremu, że dotykały go jej cudne ręce. Byłem taki podły, iż czułem zawiść z powodu każdego jej serdecznego wejrzenia, chociaż Widman nie miał sił nawet, by nią się cieszyć. Nie podnosił się z łóżka. Lecz ja czułem piekielny niepokój o te godziny, których nie byłem świadom. Ona chodziła tam przez litość, a ja byłem skłonny do podejrzewania ją o wszystko możliwe. Gdy zostałem sam, wyobraźnia paliła mnie, dzwoniły we mnie tętna. Byłem nikczemny, naprawdę nikczemny!

Spostrzegła moje cierpienia i znowu uspokoiła mnie jednem słowem.

— Niech pan nie niepokoi się. To taki biedny człowiek. Ma on zresztą dziewczynę inną, która przychodzi do niego. Spotykamy się czasem. Tamta kocha go, a ja czuję dlań tylko litość. Czyż kobieta może oddać się bez miłości?

Mówiła to jasno, poprostu i z uśmiechem. Wierzyła w to widocznie. Nie zapomnę też nigdy słów, które dodała później:

— Jeśli panu to sprawia przykrość, to mogę przestać chodzić. Ale czy nie żal panu jego?

Było mi go żal oczywiście. Lubiłem go i zdawało mi się straszną krzywdą dlań nie pozwolić mu jej widzieć, nie dostrzegać blisko siebie jej małych, delikatnych rąk, jak krzątają się i pracują dla niego. Starałem się tylko jeszcze częś-

ciej bywać z nimi razem. Zaniedbałem zajęcia, widywałem się rzadziej z przyjaciółmi. Prowadziłem z chorym długie rozmowy.

— I co mi tam po sztuce—mówił nieraz.— Królowa... Evviva l'arte! Sława pośmiertna... Czy będę ją miał? A wokoło zgnilizna... trupy... trupy... Szkielety obleczone mięsem posuwają się w zygzakach rachitycznych. Jeden drugiego zatruwa wyziewem, zabija dotknięciem lub pocałunkiem, a śmierć włóczy się... Zostawcie mnie! Wyrzekłem się domu, rodziny, dostatku. Ale czy było coś we mnie naprawdę z tego płomienia, który oczy nam oślepia? Śmiech tylko i szyderstwo. Pragnienie użycia i zamiłowanie paradoksu. Chęć wywołania osłupienia wśród głupich dziewic, targanie w strzępy zasad, krzyczenie głośno: „pour epater les bourgeois!"

— Masz talent, duży talent—mówiłem wówczas.

— Olśniewać będę, a co stworzę? Niech się bawią trupy... trupy... Słuchaj Piotr! Wywracam zawsze język, mówiąc twoje imię. Słowiańska twardość, połykanie samogłosek. Otóż słuchajcie mnie! Jak umrę, poślijcie zawiadomienie do rodziny. Niech wiedzą, że zczezłem, że mieli słuszność i poszedłem na marne. A wy bawcie się! Koniec świata... Nie wiem, co to będzie... Przyjdzie i zaleje nas rasa żółta lub chamstwo opanuje naszą kulturę... Tyle ich było od Asyrji, Fenicji czy Egiptu. Żyjcie, żyjcie, póki czas!

Widman nie umarł jednak. Ewa chciała mu przyjść z pomocą. Pomóc do wyjazdu, wysłać go do sanatorjum. Nie chciał. Odpowiadał szyderstwem.

Zobaczyłem raz przecież radość i nadzieję na jego twarzy, gdy przyniosłem mu wieść, iż jakiś księgarz chce wydać w zbiorze jego szkice.

Ucieszył się. Otrzymał pieniądze na wyjazd. Odprowadziliśmy go do pociągu. Żyje dotąd... Gdzie jest? Czy go zobaczę?

Borysow i Wiera opuścili nas wkrótce potem. Udali się do Genewy. Rewolucjonista wierzył ciągle w potęgę inteligencji i ludu rosyjskiego.

— My bez grzechu,—mówił—i bez winy. Nie potrzeba nagród ani kar. Wszystko wspólne... Człowiek kocha człowieka, a pracuje dlatego, bo wie, że służy nie sobie, ale społeczności. Rzeczpospolita słowiańska. Trzeba będzie zabić cara. Trudno, boć przecie i on biedny. Biedny i uciśniony przez złych doradców. A w duszy każdego człowieka jest gołąbek, taki jasny gołąbek Boży. Wzlecą one, wzlecą do wolności!

— A uwolnicież wtedy ludy, nękane przez was?—spytał zawsze sceptyczny wobec Borysowa Seńkowicz.

— Jakżeby nie? Damy im autonomję. Na co im więcej. Nie będą zresztą same chciały więcej. Będzie wszystko równo, ale my musim zostać jako macierz dla ludów.

Wiera ubrała się w podróż, ubrana w strojny płaszczyk podróżny. W uszach miała kolczyki brylantowe. Przez ramię przewiesiła torebkę.

— No da! — rzekła— Miło w świat jechać, a trochę żałost zostawiać was.

Krzyknęła potem:

— Zwijaj się Michale Iwanowiczu! Zajmij miejsce i kładź pakunki. Pięć minut do odjazdu Spiesz się, spiesz!

Wskoczyła żywo na stopień, pociągając za sobą obładowanego Borysowa.

Przed samem jeszcze ruszeniem pociągu dała głową znak Czarskiemu, by przybliżył się.

— Chcesz Ewy, to ją bierz — szepnęła. —

Kobieta to nie anioł. Nie miłujesz ty jej? Wszyscy widzą, po co czekasz?

— A jaka cudna, cudna była wówczas Ewa!

XXXIII.

W myślach moich dzieje się coś niezwykłego. Czy to prawda ,czy to było możliwe? Czy ja dzisiaj istotnie żyję jeszcze, czy istnieję?

Nie! ja jestem teraz cieniem tylko. Dni moje posuwają się stale, wygasłe bez blasku. Wszystkie żywe uczucia, wszystkie barwy odnajduję w świecie mej przeszłości. Jakże bujnym płomieniem paliło się moje istnienie... ileż pragnień, ile szczęścia, ileż siły.

Błądzę wśród wizji tylko, a jednak zdaje mi się, że oszaleję z radości. Przychodzą do mnie, olśniewają mnie złotym połyskiem. I obok tego białe światło, jakieś cudowne światło błyszczące biało niebieskie. Jakże dziwnie miękki, łagodny jego ton, jak promienieje kojąco i łagodnie, jakże wchłania je dusza moja spragniona. Wiem, czyje to są promienie. To światło ducha Ewy.

Byłem dzisiaj w kościele Marji. Panny. Stoi na rynku, rozkwitając koroną ostro zakończonych szczytów, tym przepięknym wieńcem, zdobiącym szczyt wyższej wieży. Lubiłem dawniej ciemne wnętrze, lubiłem patrzeć jak promienie roją się w barwnych szkłach i spływają jako półmrok tęczowy. Kościół dziś wydawał mi się pusty. Zauważyłem drzwi zamknięte. Przed wielkim ołtarzem tylko jarzyły się mosiężne świeczniki, a wejście przed nim zasłane było barwnym dywanem. Jakże daleki wydawał mi się miejski gwar tu w tej odwiecznej przystani ludzkiego skupienia. Cisza panowała bezmierna, a w zło-

tych postaciach otwartego tryptyku Wita Stwosza przesuwały się światła od kołyszących się płomieni świec.

Domyślałem się, że będą świadkiem jakiejś uroczystości czy obrzędu. Wzrok mój przesuwał się od zapalonych świeczników do kwiatów, któremi ołtarz przybrano. Zastanawiałem się czemu witraże już mroczne są? Czemu pusto? Czyż to nie była pora przed południem?

Naraz posłyszałem turkot podjeżdżających z boku pojazdów. Drzwi otwarto i weszło kilka osób. Wszyscy mieli przy piersi bukieciki z mirtu i konwalj. Jakaś młoda, zgrabna i wysoka panna w białym kostjumie z wielkim bukietem w ręce z samych śnieżnych bzów i róż. Na głowie kapelusz z dużą jedwabną kokardą. Jakiś pan czarno ubrany. Panna młoda zwróciła ku mnie twarz. Ewa. To bierze ślub moja Ewa!

A kto ten pan? Towarzystwo szepce między sobą, czeka niezdecydowane. Wychodzi ksiądz w srebrno śnieżnym ornacie i podąża do ołtarza. Na chórze głos organów zrywa się, leci przez kościół, śpiewa pieśnią weselną. Pan młody roztargniony. Mnie białe rękawiczki. Jest trochę zabawiony, a przedewszystkiem zdaje się wzruszony.

Wszędzie biel... gdzie spojrzeć wydaje mi się, że widzę białe kwiaty. Zapach ich płynie ku mnie, poi mnie, zachwyca. Wiem już! to ja biorę ten ślub, a ze mną przyszli trochę sztywnie ubrani, trochę nieswoi, moi przyjaciele, artyści Wierzbowski, Orwicz, Seńkowicz.

Jak z mgły, tak z przestworza pamięci wyłania się moja świadomość... Więc tak! Ewa zostaje moją żoną. Widzę siebie, jak przyklękam przed ołtarzem i ujmując za dłoń, ściskam palce jej lekko, jakbym powiedzieć chciał, że ufać mi można, że kocham, że chce kochać wiecznie.

W oczach panny lśnią też promyki wzruszenia. Głos organów leci poważny. Nie! ta chwila nie jest dla mnie ani przykrą ani obojętną. Jakieś duchy krążą ponad nami i przypatrują się nam twarzą w twarz, pytają, a mnie wypełnia szczęście wielkie, wielkie, bezmierne.

Zamykam oczy. Po chwili znowu turkot pojazdów. Kościół rozświetla się. Minął wieczór. Widzę dużo osób modlących się w ławkach. Znowu jest dzień.

XXXIV.

Minęło kilka dni. Czarski postanowił skorzystać z polecenia pana Raula, list jego uzupełnił kilku słowy, podpisując się: Jan Niemira i napotkawszy posłańca, skierował wszystko do Worskiego.

Zdołał już o nim zasięgnąć wiadomości. Okazało się, iż był to zwykły handlarz starożytności, który, posługując się znawstwem niepospolitem, dostarczał dziś już obrazów i zabytków do największych muzeów zagranicznych. Doszedł tak do wielkiego majątku i skorzystał ze sposobności, by zakupić podczas sprzedaży wszystkie drogocenne nieraz sprzęty, pozostawione ongi bez opieki przez poetę i stworzył w ten sposób małe muzeum pamiątkowe. Odpisał on teraz natychmiast na list, kreśląc na białym kartonie pięknym, wytwornym charakterem:

Szanowny Panie! Polecenie pana Adamieckiego wystarcza, bym uczynił zadość Pańskiemu żądaniu. Posiadam dwa klucze, z których jeden posyłam panu, donosząc, iż co niedzielę po południu w „muzeum“ mojem niema nikogo. Spotka pan jedynie dozorcę przy wejściu do ogro-

du, który towarzyszyć Mu nie będzie. Przy wyjściu zechce mu Pan klucz wręczyć. Szczęśliwy jestem, że mogę Panu oddać tak drobną usługę. Nie potrzebuję prosić o szacunek dla pamiątek tak dla mnie cennych. Emil Worski.

W ten sposób Piotr otrzymał prawo wejścia do swego własnego mieszkania z zastrzeżeniem, by dbał o pamiątki, które po sobie zostawił. Obecnie trzymał ten przysłany klucz w ręce z bolesnem uczuciem, że zbliża się do kresu swojej tajemnicy.

Gdyż od pewnego czasu wspomnienia towarzyszyły mu już bezustannie. Nie można nawet powiedzieć, by nie znał już całej prawdy. Przeciwnie, treść jej nie była mu obca. Wiedział wszystko, wyczerpywał jedynie swe wstrząsające niekiedy wrażenia. Przyszła chwila, gdy przeszłość rozjaśniła przed nim nagle swe dzieje, ale nie uwolniła go od ich wpływu. Rozpamiętywał je teraz dzień za dniem, rozdzierał własne rany, przechodził myślą uczucie za uczuciem, szczegół po szczególe. Niedawno jeszcze zdawało mu się, że żyje w rzeczywistości, a widźem tylko jest w wydarzeniach swej przeszłości. Teraz już mógł śnić tylko o teraźniejszości i przyszłości, a całą krwią swą i tętnem działał w „dniu wczorajszym". Siła dawnych wrażeń i potęga uczuć, jakich ongi doznawał, owładnęła nim zupełnie, zabijając świadomość współczesności. Spędzał chwile tragiczne i radosne, poddawał się złowieszczej miłości do tego, co przeminęło.

Cofnął się gwałtownie bytem wstecz o wiele lat i sprawiało mu to rozkosz niepojętą. Gardził sobą takim, jakim był obecnie. Wsławiał się, pisał jeden za drugim wiersze „Oceanid", wydawał utwory coraz świetniejsze i bardziej nowe, a przedewszystkiem kochał, kochał do szaleństwa.

Ogarnęła go rozkoszna moc pierwszych czasów po ślubie. Odczuwał tę gorączkę zmysłów, w której całował świeże wargi Ewy i poił się, odurzał wonią jej złotych włosów. Odczuwał jak po czemś straconem i dalekiem tęsknotę po każdym jej uścisku, a bardziej jeszcze po rozmowach z nią, które mogli z sobą wieść długo, długo, przez całe lata. Nie wierzył do tej pory i nie wierzył nigdy, by nie była wizją tylko. Owiana była poezją wspomnień, które zostawiła po sobie tylko to, co było w niej istotne: piękno, dobroć i miłość. Widział ją w sukniach różnych, tu i tam i wydawała mu się jakby szeregiem postaci, wypływających z jednej, zawsze innych, a wiecznie żywych i nowych.

Nie przestawał wśród tego tworzyć. Potęgę jego stanowiła obecnie jego siła wiecznych pragnień. Świat wydawał mu się barwnym i wielkim, gdyż prawda każda barwy otrzymuje od wzroku tego, który na nią patrzy, a Czarski i Ewa widywali nawet świat duchów.

Trwało tak przez czas długi. Raz wreszcie zdarzyła się rzecz niezwykła.

Młode małżeństwo po ślubie sprowadziło się do samotnej willi. Część jej osłonięta była gęstym ogrodem, a część przylegała do ulicy bocznej i zacisznej. Tutaj znajdował się pokój, w którym najczęściej przyjmowali bliższych gości. Stosownie do mody czasu zaścielony był przez tureckie kobierce. Tajemnicze i podniecające wyobraźnię światło rzucał pająk z bronzu, wyrobiony artystycznie, w którego kadłubie umieszczone były dwie czerwone lampy elektryczne. Tutaj także stał fortepian, którego dźwięki mogły płynąć przez drzwi do salonu.

Był już wieczór. W pokoju siedzieli Piotr,

Wierzbowski i Orwicz, który znalazł gdzieś gitarę i grał na niej sentymentalne stare piosenki.

— Wydają nam się one dzisiaj śmiesznemi — mówił — a jednak te piosenki o Filonie i Filidzie poruszały niegdyś serca naszych prapradziadków. Znam ich setki, mógłbym wystąpić kiedyś ze stylowym koncertem. Są niektóre nawet dramatyczne.

Tu brzdąknął po gitarze i dźwięcznym głosem począł śpiewać:

— Już wszystko śpi... Po drodze gdzieś
Zajękły głucho podkowy,
Szczekanie psów gra po przez wieś,
Ktoś jedzie w blask księżycowy.
Przez parku głąb
— W znajomy szlak
Ktoś nocą tajemnie się skrada
I puka cicho,
A lekko tak,
Że noc nie rozbudzi się blada.
O wynijdź, wyjdź
Moja pieszczotko,
Śnić będziem słodko.
Lecz ust mi daj,
Niech struna dźwięczy
Tą czułą zwrotką,
O wynijdź, wyjdź
W miłości raj.

Ale Wierzbowski przerwał mu i rzekł do Czarskiego:

— Gdzie Ewa?

— Na balkonie. Jak wiesz lubi patrzeć na gwiazdy.

— Uważaj, by nie przeziębiła się. Wieczór chłodny.

— Wzięła płaszcz. Nie mogę zatrzymywać jej. Lubi te chwile samotności.

Nagle Orwicz szepnął:

— Posłuchajmy! mówi coś!

Balkon salonu wychodził na ulicę. Drzwi od niego były otwarte. Naraz słychać było z dołu, głos nie Ewy, ale jakiegoś mężczyzny i słowa ciche, wypowiedziane po cudzoziemsku:

— Czy to pani?

I potem drugie pytanie natarczywsze:

— Czy to pani?

W tej chwili Ewa pojawiła się w drzwiach od salonu. Była widocznie zmieszana i wzruszona. Stanęła w białym płaszczu, milcząca i nieruchoma.

— Mówił ktoś do ciebie? — spytał obojętnie Czarski.

— Jakiś przechodzień — odparła.

Wolnym ruchem przesunęła się przez pokój i usiadła w cieniu.

Po chwili do pokoju wszedł służący.

— Jakiś pan oddał ten bilet i pyta się, czy może wejść?

Czarski przeczytał na karcie słowa:

— Henryk Hesse, literat.

Ewa drgnęła. Spojrzała wzrokiem na męża, jakby chciała odpowiedź jego uprzedzić, ale on nie patrzył się na nią i rzekł:

— Dziwne odwiedziny o tej porze. Widocznie jakiś cudzoziemiec. Dla towarzyszy po piórze mam zawsze dom otwarty. Prosić!

Do pokoju wszedł człowiek młody jeszcze, bardzo szczupły, lecz o szerokich, barczystych ramionach. Twarz miał ściągłą, przejrzystą i zapadniętą, wąskie usta, zaciśnięte w trwałym uśmiechu i wielkie oczy czarne. Lekkiem skinieniem głowy powitał towarzystwo i wolnym krokiem szedł do Ewy.

— Mój mąż! — szepnęła wskazując na Czarskiego.

Nieznajomy przystanął i głębokie milczące spojrzenie skierował na Piotra.

— Jestem Henryk Hesse — rzekł po chwili. Proszę wybaczyć mi, że będę mówić po francusku. Zdaje mi się, iż najłatwiej będzie nam porozumieć się w tym języku. Po polsku umiem zaledwie kilka słów. Pan zapewne jest właścicielem mieszkania — Czarskim? A ci panowie?

— Orwicz i Wierbowski.

— Jesteśmy zatem w kole literackiem. Jak to dobrze, że jak ćma do światła poleciałem do muzyki i do śpiewu. Chciałem właśnie poznać panów. Dowiedzieć się, co dzieje się w Młodej Sztuce.

Tu zwrócił się do Wierbowskiego:

— Przyjeżdżam z Anglji, gdzie byłem przez lat kilka. Jest to zresztą, jakby drugi mój kraj rodzinny. Ale w Monachjum podczas przejazdu widziałem pańską sztukę. Tytuł jej „Powrót", a ja nazwałbym ją „Upiorem".

Mówił przez zaciśnięte usta i zdawało się, że szydzi. Potem dodał:

— Panią domu miałem zaszczyt poznać w stolicy Bawarji. Bywałem tam wiele wśród artystów. Spostrzegłem ją na balkonie i obecność jej ośmieliła mnie do wejścia w grono panów. Tak to niekiedy przypadek pozwala nam niespodziewanie znaleść to, czego się szuka.

Zakaszlał nagle.

— Panowie pozwolą, że usiądę. Czy mogę prosić o szklankę wody.

Czarski zadzwonił:

— Proszę podać panu wody. W jakim celu pan właśnie przyjechał tutaj?

— Tylko po to, by poznać wasze stosunki

i prądy literackie. Mam zamówione sprawozdania do angielskich pism artystycznych. Byłem już na wystawie obrazów. Kazałem zrobić sporo fotografji.

Wydobył proszek i wsypał go do podanej szklanki.

— Opium — rzekł — to jedno mi pomaga.

Milczenie zaległo w towarzystwie. Nikt jakoś nie zdobywał się, by przemówić do gościa. On powiódł wzrokiem i uśmiechnął się.

— Przykro mi, że przerwałem nastrój panów. Wszakże to główna nuta wasza — nastrój przelotny. Nieprawdaż? I pana, panie Orwicz i pana, panie Wierbowski i zapewne także pani — pani — Ewo!

— Muszę wyjaśnić — rzekła zagadnięta — że pan Hesse należał do najbardziej cenionych umysłów w Monachjum. Zarzucano mu tylko, że mało tworzy. Czy nie zmieniło się coś od tej pory?

— Zmieniło się i wiele, ale tylko wokół mnie, w mojem otoczeniu. Nie piszę prawie nic, ale za to lubię krytykować. To najłatwiej, nieprawdaż? Gdy pusta głowa i serce, łatwo potępia się innych. Jesteście sławni dzisiaj, zarabiacie dobrze i dusze wynosicie na sprzedaż!.. Ale o tem nie będę pisać do pism angielskich. Wiem, że każdy człowiek musi żyć.

— Zdaje się, że pan nie miał jeszcze czasu osądzić—rzekł podrażniony Czarski!—Skąd prawo ma pan przypuszczać, że sprzeniewierzyliśmy się Sztuce.

— Ach znam was! Znam was wszystkich. Żądza popularności. Czasem podleje się łezką liryczną, by podobało się. Nic nie szkodzi. Nie piszę, gdyż nie chcę nic sprzedawać, a artyzm, który uprzystępnia się dla tłumów i otrzymuje

od nich pieniądze, staje się nierządnicą. W sztuce jest wielkość i mrok i mrok.

Powstał potem i mówił dalej wolno:

— Trzeba mi odejść już. Wiem na razie wszystko, czego chciałem się dowiedzieć. Zostanę tutaj przez dłuższy czas. Pozwolę sobie odwiedzić państwa jeszcze. Poproszę też o fotografję... do angielskich pism. Spodziewam się, że otrzymam od każdego z panów. Nie chcę mrozić też, jak zwykle, wesołego towarzystwa. Dowidzenia!

Wyszedł. Orwicz i Wierbowski pożegnali się wkrótce także.

Czarski z nagłym wybuchem rzekł do żony:

— Powiedz mi kto on jest? Skąd ciebie zna? Po co przyszedł?

— Zbankrutowany literat... Cygan artystyczny. Boże! jak on schudł i zmienił się! Znałam go. Wszak wielu ludzi znałam w życiu.

Potem ujęła w ręce głowę Piotra, złożyła mu na czele pocałunek i rzekła:

— Pójdźmy spać! Noc jest tak cicha! cicha! cicha!

XXXV.

Przez dłuższy czas nie widywaliśmy Hessego. Po swych niespodzianych odwiedzinach zniknął bez śladu i nie przychodził do nas więcej. Po pewnym czasie wyjechałem na kilka dni do Warszawy i tam spotkałem go znowu.

Siedział przy oknie w kawiarni a na mój widok dał mi znak, żebym zatrzymał się i wybiegł do mnie jak do dobrego znajomego.

— Jakże cieszę się, że spotkałem pana — rzekł. — Wyjechałem w swoim czasie niespo-

dzianie. Jestem nerwowy i ulegam wrażeniom. Wasze miasto straciło naraz dla mnie wszelki urok i spodziewałem się, że tu będę czuć się lepiej. Nudzi mi się już jednak. Opisałem w korespondencjach wszystko, co widziałem i czego nie widziałem. Posłałem kilka sprawozdań do „Studio“ i do „Kunst“. Zwiedziłem wystawy, Wilanów, Łazienki. Tu jest szerzej, ale u was tętno biło żywiej. Wracam wobec tego. Czy pozwoli pan, bym państwa znów odwiedził.

— Jak pan chce — odpowiedziałem obojętnie.

Zaśmiał się.

— Moje wejście niespodziewane wśród ludzi, którzy znajdowali się pod wpływem pewnego nastroju, nie mogło usposobić ich dla mnie zbyt przychylnie. Chcę kategorycznej odpowiedzi. Może ma pan jakie — głębsze — przyczyny, by nie zapraszać mnie. Może panu chodzi o to, że panią Ewę znałem już w Monachjum? Rozumiem zupełnie. Gdy posiada się żonę tak piękną i wzbudzającą zachwyt tak ogólny...

Zrozumiałem ironję, kryjącą się w jego słowach.

— Nie uważam, by to mogło być przeszkodą. Zdaje mi się jednak, że nasz dom nie wydał się panu zbyt interesujący i o ile mogę sądzić, ocenia pan surowo dzieła moich przyjaciół Zarzuca im pan, że utwory swe pozwalają czytać publicznie.

— Niech mi pan nie przypomina moich żartów! Pozuję nieraz. Stroję się w pewien płaszcz indywidualności. W istocie jestem zmarnowanym włóczęgą, który może jedynie niekiedy poświęcić coś dla oryginalnego giestu. Masz pan teraz chwilę czasu? Mieszkam niedaleko. Przeczytam panu, co piszę o wystawach tutejszych.

Dowie się pan, jaki będzie sąd o nich w prasie zagranicznej.

Wydał mi się inny, niż przy pierwszem poznaniu. Starał się być uprzedzająco uprzejmy.

Udaliśmy się do jego pomieszkania.

— Oto, co zyskałem w Warszawie — rzekł— Niech pan przypatrzy się temu portretowi. Nie zabieram go z sobą obecnie, gdyż twórca jego wysyła go na wystawę. Szablon panie, wszędzie szablon. Sztuka, której zależy na chwytaniu podobieństwa. Zewnętrzne moje zarysy wcielone w znaki konwencjonalne. Wynik ten, iż każdy, kto spojrzy, dowie się tylko, że jestem mężczyzną, który ma chudą twarz, długi nos, wąskie usta....

— I dziwny wzrok.

— I niesamowite oczy... Mówią o mnie, że mam uroczne oczy.

Ale zaraz potem zmienił ton

— Niech pan siądzie. Opowiem panu o cygańskim swojem życiu. Po wyjeździe z Monachjum objechałem świat. Byłem w Australji, Stanach Zjednoczonych, na Borneo, w Chinach. Zarabiałem jak się dało, byle dalej móc pojechać. Bardzo szybko zresztą wyrobiłem sobie dobrze płatne korespondencje. Opisywałem swe podróże i podlewałem je sosem egzotycznym. Roiło się w nich od ljan, dzikich węży, giejsz i nenufarów. W gruncie rzeczy przekonałem się, że cała różnica polega na tem, że ludzie żują gumę w Ameryce, a spożywają smażone chrząszcze w Japonji.

— Barwa życia zależy od naszej zdolności odczuwania wrażeń.

Wzrok jego zaświecił się.

— Podobnego zdania był autor marynarz, którego spotkałem. Płakał on ze szczęścia na wi-

dok chińczyka, stojącego w herbaciarni. Zwał się Loti. Wrażenia.. ja mam rodzaj ich, który nęci mnie. Zakres szczupły, ale bardzo osobisty. Doznaję przy nich tyle rozkoszy, że pozazdrościłby mi ich niejeden. Rozwijam wtedy cały talent, całą sztukę grania w życiu. Ale o tem nie będę pisać publiczności.

Zamyślił się. Oczy jego w tej chwili już tliły się zaledwie.

— Co to znaczy jednak używanie narkotyków rzekł. — Niemogę bez nich żyć. Gdy przejdzie pora podniecenia, doznaję zawrotu głowy, tracę siły. Obiecałem panu pokazać swoją pracę. Może pan przejrzy te sprawozdania. Środkowa część dłuższego cyklu. Wysyłam je jutro.

Przeczytałem. Niemówiłem nic.

Przypatrywał mi się bacznie. Śledził wrażenie.

— Osądził pan, że niema w nich nic ciekawego? Słusznie. Ale dla tłumu czegóż więcej potrzeba?

Wróciłem wkrótce z Warszawy. Hesse odwiedził nas. Bywa u nas często, prawie codziennie.

XXXVI.

— Posłuchaj Piotrze, pomówimy o Henryku— rzekła raz do mnie Ewa.

Spojrzałem zlitością na jej bardzo bladą twarz. Wydawała mi się teraz słaba i wątła, chociaż piękniejsza jeszcze niż dawniej. Nie była zdrowa. Wiedziałem o tem. Polecono jej wystrzegać się wzruszeń, doczekać do lata i wyjechać, by leczyć się. Boże! czyż ja myślałem kiedy, że taka nieziemska istota może umrzeć tak jak inne. Ja-

kiś czarny mrok od pewnego czasu wyjrzał ku mnie i tylko, gdy trzymałem dłoń jej w rękach swoich czułem się spokojny.

Ale przecież nikt nie mówił mi, że ona umrze. Mogła żyć jeszcze dziesiątki lat. Ująłem więc i teraz rękę jej i wyrzekłem:

— Po co chcesz mówić o nim, poco? Przychodzi teraz często i obecność jego bawi cię. Nie szydzi z nas, stara się być uprzejmy i delikatny. Zdaje się, że chce być moim przyjacielem.

Ręka Ewy poruszyła się w moich dłoniach.

— Piotrze! dlaczego ty tak ufasz?

Drgnąłem cały. Zazdrość, którą tłumiłem sobie przez wzgląd na zdrowie Ewy, wybuchnęła we mnie znowu.

— Nie wierz w jego przyjaźń. To jest człowiek, który nie ogląda się na nic w życiu. Jego nie powstrzyma nic, gdy żądzę swą zechce zaspokoić. A ja patrzę na ciebie i widzę, że dręczą cię jego częste odwiedziny. Przypomnij sobie Borysowa i Widmana. Ja znam cię Piotrze!

Podniosła potem głowę ciężką od włosów i mówiła dalej:

— Nie powtarzaj mi tego, co ci teraz powiem. Kocham cię bardzo i gotowa jestem do wszystkiego dla twojego szczęścia i spokoju. Żyjemy tylko wśród najbliższych przyjaciół, czujemy się dobrze i jesteśmy szczęśliwi. Ale ty tak mało wiesz o mojej przeszłości.

— Tak — odparłem — ja tak mało wiem o twej przeszłości!

— A jednak wiesz przecie wszystko. Posłuchaj teraz, co powiem ci, Tylko nie unoś się. Dla nas obojga lepiej teraz, żebyś wiedział. Ja... kochałam Henryka.

— Ewo! dlaczego ja niewiem o tem.

— Nie spowiadałam ci się z tego, gdyż uwa-

żałam, że przeszło to i przeminęło. Byłam wówczas taka młoda! Wyjechałam z domu rodzinnego, prawie jak Widman, sama i bez opieki. Czułam potrzebę Piękna i nęciło mnie to, co mówiliśce o sztuce. Byłam zamożna, niezależna. Bywałam wiele w kołach artystycznych i tam poznałam Henryka...

Naraz stanęła mi w oczach Ewa, gdy zobaczyłem ją na sali Wesołego Wschodu. Czy przywiódł ją tam tylko kaprys i ciekawość? Czy nie poszła nasycić swoją żądzę wrażeń, w której niepokalaność wierzyłem tak święcie!

Zerwałem się gwałtownie.

— Powiedz prawdę! Tyś była kochanką Hessego!

Smętny uśmiech wybiegł na jej wargi.

— Widzisz Piotrze, nie zrywaj się tak nagle, bo to mnie boli. Ty wiesz, że nieczuję się dobrze w czasach ostatnich.

Nagle podniosła rękę, położyła mi na głowie i rzekła, patrząc powoli w oczy.

— Szaleńcze! i ty to możesz przypuszczać!

Jakże kochałem ją w tym uśmiechu! Ale cierpienie już pozostało w duszy. Więc ona mogła była kiedyś poślubić takiego człowieka, którym gardziłem. Tego włóczęgę, który szedł po całym świecie, podróżował od Europy do Australji, a wszędzie z cynizmem na ustach. Tego artystę, który olśniewał poglądami na sztukę, a nie zdobył się na nic poza napisaniem konwencjonalnego artykułu, bez żadnej głębi i indywidualności. Tego cygana, który zziębnięte członki i serce grzał zawsze w cudzem mieszkaniu, a szyderstwem płacił za gościnę. Ewa moja, najwyższe dobro moje, pani przejasna, Ewa!

— Posłuchaj! Ty nie znasz może dobrze kobiecego serca. Byłam młoda, szukałam celu w ży-

ciu. Kochałam tamtego za to właśnie, że nie może mieć własnego ognia i posiąść własnego domu. I on był młodszy także. Może lepszy. Chciałam zachęcić go do pracy, obudzić śpiące siły. Ty drogi mój, dobrocią swą zepsułeś mnie. I ja wtedy byłam lepsza, gdyż byłam bardziej ofiarna.

Chory był już wówczas. Nie zachwycałam się jego urodą. Zapragnął mojej miłości i obiecałam, że dam mu ją, gdy w czyn zamieni to, co mówi, gdy okaże się silny. Trwało to krótko. Nie przemógł się, poszedł w świat. Przysłał kilka listów, które zostały bez odpowiedzi. I ja przestałam o nim myśleć. Cierpiałam nad tem, że wpływ mój okazał się tak słaby. Ale przestałam o nim myśleć, gdyż zrozumiałam, że nie dosyć kocha mnie. Ty to znasz. Podrażniona godność kobieca.

— Wrócił obecnie. Przyjechał tu za tobą.

— Tak jest. Okazało się, że myślał o mnie, że pamiętał. Przybył zaś tutaj, gdyż dowiedział się, że wyjechałam tutaj ongi. Zobaczył mnie, przechodząc, na balkonie. Sądził, że jestem jeszcze panną. I jak widzisz, przyszedł, znalazł się między nami.

— Czy mówił co z tobą o tem obecnie?

— Opowiedział mi to wszystko. Dorzucił dużo słów o zmienności serca kobiet i śmiał się, że w życiu niema nic wiecznego. Prosił, bym mu choć zdaleka pozwoliła ogrzać się promieniami słońca, któremi sycę innego. Pozatem nie mówił o tobie złego nic. Ale nieraz słyszę od niego rzeczy cierpkie. I to nie jest człowiek, któryby mówił wszystko to, co myśli. Chciałam prosić cię byś nie zostawiał nas samych... Lepiej będzie, że wiesz o tem.

— Dam mu zrozumieć, że nie chcę, żeby nas odwiedzał.

— Nie czyń tego... To nie jest człowiek dobry, ale nie jest także szczęśliwy. Mam dla niego trochę życzliwości z dawnych lat. Niedługo ma wyjechać... na zawsze!

Potem rzekła poważnie, jakby zastanawiając się:

— Ja wiem, że ty tego nie zrobisz. Ty jesteś dobry, choć niekiedy boję się twojej zazdrości. Zanadto kochasz mnie, zanadto. To aż strachem jakimś przejmuje. A mnie jest bardzo dobrze przy tobie i umiesz opowiadać takie piękne rzeczy Wierzę bardzo w to, że nie rozłączymy się nigdy i będziemy razem w jakiejś krainie cudnej jak twoja miłość.

— A on nie jest dobry — zastanawiała się— ale zaciekawia mnie to, co mówi. I źle mu jest na świecie i nie trzeba go tak gwałtownie oddalać.

Wstała potem i usiadła na niskim krześle przy mojem biurku.

— Przeczytaj mi to co napisałeś wczoraj. Byłeś zajęty długo. Ja też lubię. gdy czytasz mi to, co piszesz.

A jednak miałaś słuszność Ewo! Jedynie przez wzgląd na ciebie pozostałem spokojny. Ohydna zazdrość wypełzła z mojej duszy. Jesteś cierpiąca, prawda, ale kocham cię w tej chwili sto razy więcej i sto razy namiętniej. Jesteś dziś najwyższem dobrem mojem i gotów jestem bronić cię i nie oddam cię nikomu, nikomu!

XXXVII.

W towarzystwie znajomych poznałam jakiegoś pana. Ma rasową twarz i ruchy wytworne. Lubię ludzi, którzy mają w sobie coś z rysunków dawnych czasów. Ten pan nazywa się Adamiecki,

Pociągnęło mię coś do niego i rozmawiałem z nim długo. Lubię takich starszych już światowców, którzy nie dokonali niczego wielkiego w życiu, grzeszyli wiele, ale nie popełnili zapewne nic takiego, co nieszlachetne. Typ to zresztą rzadki już obecnie.

Ewa miała także odwiedziny. Przyszła do niej jakaś panna blondynka, trochę w ubraniu zaniedbana. Nie potrzebowałem patrzeć z bliska, by domyślać się, że ma palce powalane atramentem. Przyniosła swoje rękopisy. Nie śmiała do mnie. Chciała przez Ewę dowiedzieć się o moje zdanie. Zeszyt był spory, zapisany dużem fjoletowem pismem, podpisany: „Stefa Mir".

Niegramatyczność w samym podpisie. Czytaliśmy te utwory z żoną we dwoje. Jest talent ale dużo gadaniny. Jeśli pióro tej pani tak szybko podąża to ileż ona mówić musi w życiu codziennem.

Dlaczego te postacie wybijają się teraz w myśl mojej z mową innych? Nie widywałem ich często, nie widywałam wówczas blisko, a przecież znane mi są tak dobrze. Ach wiem już.. Warszawa... Ostatnie miesiące... człowiek bez przeszłości...

O wiele więcej zaprząta teraz moją myśl ten cudzoziemiec, którego tak często widzę w mojem mieszkaniu. Działa mi na nerwy jego chuda, ironiczna twarz. Nie jestem też już z nim szczery. Odczuwa to i zdaje się w duszy śpiewać szyderczą jakąś piosenkę. Dochodziło już do pewnych nieporozumień między nami.

Ewa uspokaja mnie.. Mówi, że on ma wkrótce wyjechać. Ale ja widzę, że on czeka na chwilę, by zostać z nią bez mojej obecności. Podnieca go moja czujność, zaczyna ze mną grę. Wyzywa mnie. Czytam to z jego oczu.

Dziwny człowiek mimo wszystko. Spodziewa się wkrótce śmierci. Zdaje się, że używa ciągle opium. Tłomaczy to stanem swego zdrowia. Gdy ból nim zatarga, mówi pięknie, używa zwrotów niespodziewanych. Twierdzi, że odbierze sobie życie i pokazywał nam kartkę, którą stale przy sobie nosi. Napisał na niej: „Odchodzę sam. Winna głupota ludzi i świata". Czytuje nam swoje sprawozdania. Są płytkie i powierzchowne.

Wczoraj przyszedł z dużym bukietem dla Ewy. Od dawnego przyjaciela — rzekł, patrząc na mnie. Na razie wygrywa grę, gdyż zaledwie wstrzymałem się, by nie niszczyć tych kwiatów. Zdawało mi się, że gdy Ewa zbliżyła bukiet ten do twarzy, to położyła na nim usta! Uległem zapewne złudzeniu, ale szalałem z wściekłości.

— Nic trwałego w życiu — mówi nam — Traci się zdrowie, szczęście, kochanki. Po co przywiązywać się do kogoś, gdy należy do ostatniego tchu używać. Szkoda każdego niewyczerpanego dreszczu miłości, każdego pragnienia, które można zaspokoić. Człowiek, jeśli czego pragnie, wówczas chce posiąść, a jeśli chce posiąść, to — zdobędzie.

Unosi się. Dostaje napadu kaszlu. Potem znowu zaczyna mówić miękko i serdecznie. Zdaje mi się wówczas, że obawy moje są próżne, gdyż ten człowiek nie może nic złego uczynić. Tęskni za pracą, ale ta już zanadto wyczerpuje go. Opium podnieca go, ale niszczy mu organizm. Nie może odzwyczaić się. I na co komu takie marne, marne życie—mówi niemowa.

A ja wiem, że musi przyjść kres straszliwy. Przeżywam go jeszcze raz, wiedząc, do czego mnie zawiedzie. Z zimną krwią odtwarzam jeszcze raz to, co musi doprowadzić mnie do szaleństwa. Wiem, że to zabija mnie, ale nie mogę od

tego się oderwać. Wiem, że to okropne jest, co czeka mnie, ale nie chcę w myśli cofać się, pragnę tego...

Pewnego ranka wróciłem później. Wiedziałem, że Hesse ne przyjdzie dziś. Miał wyjechać na kilka dni. Nigdy zresztą rano nie przychodził. Wracałem wesół i spokojny. Dowiedziałem się, że książki moje mają ukazać się przełożone w kilku językach cudzoziemskich. Ewa ucieszy się. Ją tak bawiły moje skromne trjumfy. Pamiętam datę. Było w dniu dwudziestego czwartego marca. Szedłem przez ogród. Śnieg stopniał, a kępy zwiędłych ziół i roślin sterczały wśród trawników. Drzewa wyciągały ku mnie czarne konary. W powietrzu drżało coś dziwnego. Przedwiośnie!

Poszedłem do pokoju. Stanąłem w gabinecie i zobaczyłem w salonie Ewę i Hessego. Stał przed nią i mówił do niej:

— Zobaczyłem cię wówczas, gdy stałaś samotnie. Los to zrządził. Wydał cię w moje ręce. Nie odejdę stąd. Jesteś wszystkiem, czego teraz pożądam... Kochałem cię, kochałem ciebie wiecznie... Mogę odebrać sobie życie, ale musisz być ostatniem mojem tchnieniem przedzgonnem.

Wszedłem w drzwi i powiedziałem do niego krótko:

— Proszę wyjść!

Zmieszał się przez chwilę. Oczy jego zaświeciły niesamowitym ogniem. Potem oparł się o stół i zapytał:

— Dlaczego? Pan mi nie przeszkadza.

Ale w tej chwili zapomniałem o wszystkiem. Spojrzałem na Ewę. Jakże była blada! Ręce jej, oparte o poręcz fotelu drżały nerwowo. Pomyślałem o tem, co wiedziałem o stanie jej zdrowia. Rzuciłem się jej do nóg. Dotykałem rąk. Ręce te

ciepłe były, ożywiły się pod mojem dotknięciem. Umiosły się i do moich dłoni przywarły.

A on widział to wszystko. Stał napozór obojętny. Wyjął tytoń i w ręku kręcił papierosa. Może wtedy współczuł jej jednak. Czy ja wiem...

— Jeżeli pan chce zawiadomić mnie o czem, to proszę uczynić to listownie — rzekł. — Nie widzę powodu do tragedji.

Ukłonił się i wyszedł.

Zeszliśmy się razem znów wieczorem. Powiedziałem Ewie, że idę na zebranie u Orwicza, a jemu wyznaczyłem spotkanie na jednej z mało uczęszczanych dróg za miastem, które w lecie i na wiosnę roją się od przechodniów. Obecnie była tu pustka. Wiatr szemrząc, przelatywał wśród gałęzi. Było ciemno i samotnie.

Takiego miejsca też pragnąłem na naszą rozmowę. Spotkaliśmy się i szliśmy, nie witając się, w milczeniu.

— Czy pan wie, że żona moja chora jest? — zapytałem.

— Wiem o tem...

— Czy pan wie, iż choroba ta pojawiła się od chwili przyjazdu pana?

— Nic dziwnego — odpowiedział. — Jestem człowiek, który przynosi nieszczęście.

Przystanął na chwilę i rzekł:

— Mówią o mnie, że mam złe oczy. Z kim żyję bliżej, to wkrótce musi go coś złego spotkać. Pierwszy raz było to przed laty... Pana interesuje to?... Cieszę się, że rozmawiamy spokojnie... Otóż, by utrzymać się, przyjąłem miejsce korepetytora. Dom był zamożny, szczęśliwy. Oddano mi pod opiekę dwóch synów, chłopców ślicznych, mądrych, kochanych nad życie. Wyszliśmy raz tak, jak teraz z panem za miasto. Ze skrętu drogi nadjechał pędem zwykły chłopski

wóz. Uderzył jednego chłopca dyszlem. Przynieśliśmy do domu trupa. Mówiono wówczas, że brak dozoru. Wymówiono mi miejsce. Zaprzyjaźniłem się potem z kolegą uniwersyteckim. Powodziło mu się dobrze. Spaliśmy w jednym pokoju. Budzę się raz, ogarnięty nagłem przeczuciem... Świeca pali się... Towarzysz mój, ubrany w koszulę, siedzi na łóżku, a w ustach trzyma głupią, pospolitą dubeltówkę od polowania. Zawołałem nań... Nogą poruszył cyngiel... Oryginalne, co? Mówiono potem, że zakochał się nieszczęśliwie. W czasie podróży do Francji zaproszono mnie raz na wieś. Pobyłem tam kilka tygodni. Była zima. Gotowano uroczyście wieczór sylwestrowy „reveillon". Była tam młoda panienka z djabłem w oczach w wieku lat może szesnastu. Tydzień temu bawiła się z towarzyszkami. Kazała obstawić się kwiatami, zapalić świece i udawała, że leży na katafalku. Przestrzegano ją, że to niemądra zabawa. W tydzień potem leżała już na nim rzeczywiście, w białej sukni. Jakże jarzyły się świece! W sam dzień św. Sylwestra miała długą rozmowę z matką. Potem wróciła do swego pokoju i strzaskała sobie skroń. Ale tu— rzekł, uśmiechając się wąskiemi wargi — ja tylko wiedziałem powód, ja i— matka.

— I cóż pan na to? — mówił dalej. — Dziwi się pan jeszcze, że żona pańska chora? Musiałem i wam przynieść nieszczęście, jak przynoszę je każdemu! Należy się to wam, przyjęliście mnie tak serdecznie. Ale to nie koniec jeszcze. Niejedno jeszcze spotka pana.

Każde słowo jego paliło mi duszę, jakby kto ją biczem smagał. A on widział to i cieszył się z tego.

— Pilnował jej pan, strzegł przedemną... nie obroni pan jej jednak. Umrze, ale przedtem

będę ją miał! Klnę się na duszę moją... Jest to ostatnia rozkosz mego życia... Nie uchronisz jej pan... Kochała mnie... Uczucie znowu się obudzi... Będzie drżała w moich ramionach, a ty nie dowiesz się o tem, póki ja nie zechcę ci powiedzieć.

Czułem doń nienawiść, jaką może czuć tylko mężczyzna do mężczyzny w walce o kobietę. Ewa była moją, wiedziałem to, nie wierzyłem w jego pogróżki. Ale on znieważał ją... Zniesławiał ją każdy wyraz, który sycząco biegł z jego ust. Może to była zemsta za stracone nadzieje, ale chciał widocznie doprowadzić mnie do wściekłości.

Mówił dalej:

— Dziwisz się, że nie pracuję i nie tworzę. Ale sztuka nie jest dla tłumu. Sztuka jest w życiu. Wleczesz się za mną, jako nędzny cień! Słuchasz mnie, boisz się mnie... Powiedz, powiedz, o co prosisz...

— Żądam, by pan opuścił nasz dom, by przestał odwiedzać nas i wyjechał.

— Prosisz?

— Żądam!

— Spodziewasz się, że wyjadę? Nigdy nie miałem tego zamiaru. Mam jeszcze kilka miesięcy życia, pocóż więc miałbym wyrzec się kobiety, której pożądam. Minęło już wasze istnienie słoneczne. Krótko będziecie razem, ale i ten czas zatruję wam do ostatka. Nie zależy mi na życiu, czy myślisz, że zależy mi na tobie? Wiesz teraz, kto jestem. Czy myślisz, że boję się?

Wyjął browning z kieszeni. Ujął za lufę i podał mi do ręki.

— Strzelaj!

Nacisnąłem broń, przykładając mu ją prawie do twarzy!

XXXVIII.

Samobójstwo cudzoziemca, jak doniosły o tem pisma codzienne, nie sprawiło większego wrażenia. Przytaczano jedynie tekst tej banalnej dosyć karty, którą znaleziono przy nim. Zdawało się jakby i przy śmierci swojej nie dbał o wrażenie i nie starał się o olśniewanie tem, co było przeznaczone dla publiczności.

Uprosiłem swoich przyjaciół, by nic o wypadku tym nie wspominali Ewie. Gdy wróciłem do domu po owej tragicznej schadzce wieczornej, zastałem ją ulegającą ciężkiemu atakowi serca. Nie pytała mnie o nic. Posłałem po lekarzy.

Jeżeli po dokonaniu zbrodni winnego mają dręczyć groza lub wyrzuty sumienia, to ja uciekałem przed obłędem, czyniąc sobie tysiąc chłodnych uwag, podanych przez rozsądek. Zdawało mi się, że wykonałem dzieło sprawiedliwości, tłumaczyłem sobie, że spełniłem najprostszy obowiązek mężczyzny w obronie szczęścia swego domu, byłem świadomy wreszcie, iż to on sam przywiódł mnie do tego.

Człowiek ten jednak do śmierci został dla mnie zagadką. Czy nie chciał już żyć, czy też myślał, że nie wypalę z podanej broni, czemu zachęcał mnie do straszliwego czynu szyderczo i chłodno? Mógłbym też zapomnieć wyglądu jego twarzy, ale zawsze pamiętać będę wyraz jego ust i to nagłe drgnięcie ich, gdy padał.

Ewa leży na łóżku. Włosy ma zaplecione w dwa grube warkocze, z których jeden stacza się z kołdry i zsuwa aż ku ziemi. Jest blada, jakże bardzo dla mnie blada. Lekarze obok radzą po cichu. Wiem, co to znaczy. Pot zimny wybiega mi w kroplach na czoło. Ostatnie to próby

są. Rozwija się choroba, niedostrzeżona od lat. Jakże strasznie mi na duszy, jak strasznie!

Jest noc. Słyszę ciche szeptanie w drugim pokoju. Tutaj niema nikogo. Lękam zdradzić się ruchem lub wyrazem oczu, iż wiem, co ją czeka. Obawiam się każdego wzruszenia się jej, siedzę wpatrzony w nią, nieruchomy.

A ona zupełnie jest przytomna. Mówi do mnie bardzo serdecznym, owym cudownym dźwięcznym głosem:

— Piotrze!

Zbliżam się jeszcze więcej. Siadam na jej łóżku. A ona mówi cicho:

— Powiedz mi, co to stoją za postacie? Kto tam czeka w rogu pokoju?

— Niema tam nikogo, Ewo moja!

— Nie mów mi! Przecież widzę ich. To ojciec mój i matka. Po co oni przyszli tutaj? A tam jeszcze jest ktoś trzeci.

Wstrzymuję jakieś straszne łkanie:

— Nie, Ewa! Tam jest pusto. Wydaje ci się tylko.

— Widzę już. To on! Henryk! Piotrze! Byliśmy tak szczęśliwi. Czy on nie rozdzielił nas? Co stało się, Piotrze, że on przyszedł także. Czyś ty go zabił?

W tej chwili w drugim pokoju poczyna bić zegar. Czy kto nakręca go? W takiej chwili, o tej porze?

Liczę: raz, dwa, trzy, cztery... Każde z tych uderzeń młotem wali w moją pierś. Naliczyłem ich dwadzieścia cztery!

— Boję się, boję... — szepcze Ewa. W nagłem drgnieniu obejmuje mnie, chwyta mnie w pół.

A mnie zdaje się, że pokój jest pełen cieniów. Dusza moja zapada się w jakąś przepaść,

w jakąś głąb. Ogarnia mnie rozpacz straszna. Nie wiem już, co robić. Rzucam się na ziemię. Całuję kołdrę, ręce i nogi mojej Ewy. A w koło mnie coraz ciemniej i ciemniej. Jakby ktoś nakrywał mnie płachtą czarną. Gdzie zwrócę się — duchy, duchy. Czy szaleję; Uciekać! uciekać!

*

Pewnego dnia otrzymał pan Raul krótki list:

— Niech pan pożegna Lucy i powie jej, że jak nie mogłem żyć teraźniejszością, nie znając swej przeszłości, tak muszę odejść teraz, gdy przeszłość na wieczność zawołała mnie do siebie....

KONIEC.

Franciscan Fathers, Minor Conventuals

ELLICOTT CITY, MARYLAND

Franciscan Fathers, Junior Seminarians

ELLICOTT CITY, MARYLAND